

GLEN COOK

SŁODKI SREBRNY BLUES

PRZEŁOŻYŁA: ALEKSANDRA JAGIEŁŁOWICZ

DETEKTYW GARRET – TOM PIERWSZY

SCAN-DAL

I

Bach! Bach! Bach!

Brzmiało to tak, jakby ktoś walił w drzwi młotem kowalskim. Przewróciłem się na drugi bok i otworzyłem nabiegłe krwią oko. Za szybą nie dostrzegłem nikogo, ale nie zdziwiło mnie to zanadto. Ledwie rozróżnialny napis na brudnym szkle głosił:

GARRETT PRYWATNY DETEKTYW

Splukałem się, kupując szybę, i zmuszony byłem zostać własnym malarzem.

Okno było brudne jak ścieki z całego tygodnia, ale i tak nie na tyle, by nie przepuścić świdrującego światła poranka. To cholerne słońce jeszcze nie wzeszło! Pętałem się po barach aż do drugiej zmiany straży, śledząc faceta, który mógł doprowadzić mnie do innego faceta, a ten z kolei mógłby wiedzieć, gdzie znaleźć trzeciego faceta. Wszystko skończyło się pulsującym wściekle bólem głowy.

- Wynos się! - burknąłem. - Nieczynne!

Bach! Bach! Bach!

- Wynos się do diabła! - zawyłem. Efekt był taki, że moja głowa zaczęła zachowywać się jak jajko, które wyskoczyło z patelni. Miałem ochotę pomacać ją z tyłu i sprawdzić, czy żółtko nie wycieka, ale za dużo z tym było roboty. Lepiej dać spokój, położyć się i umrzeć.

Bach! Bach! Bach!

Mam kłopoty z zachowaniem zimnej krwi, zwłaszcza na kacu. Byłem już w połowie drogi do drzwi, wlokąc za sobą półmetrową pałę podrasowaną łożem, kiedy rozjaśniło mi się w jajecznicy.

Jeśli aż tak nalegają, musi to być ktoś z góry, dla kogo ta robota jest zbyt wredna, żeby polecieć ją własnym ludziom. Albo ktoś z dołu, żeby ci powiedziec, że nadepnąłeś na niewłaściwy odcisk. W tym ostatnim wypadku pała może się przydać.

Ostro otworzyłem drzwi.

W pierwszej chwili nie zauważyłem kobiety. Sięgała mi ledwo do piersi. Wybałuszyłem oczy na trzech stojących za nią facetów. Dźwigali na sobie dość żelastwa, żeby wyposażyć całą armię, ale nie na tyle, żeby mnie onieśmielić. Dwóch z nich miało około piętnastu lat, a

trzeci ze sto pięć.

- Chyba najazd kurdupli... - jęknąłem. Żaden z nich nie był wyższy od kobiety.

- Ty jesteś Garrett? - Wyglądała na rozczarowaną tym, co zobaczyła.

- Nie. Drugie drzwi w końcu korytarza. Cześć! - Trzask! Drugi pokój w głębi korytarza zajmował szczurołap na nocnej zmianie, który upodobał sobie granie mi na nerwach. Pomyślałem, że tym razem jego kolej.

Pokuśtykałem w stronę łóżka z niejasnym wrażeniem, że gdzieś już widziałem te typy.

Kręciłem się jak stary pies. Na kacu nie można znaleźć wygodnej pozycji, obojętne co masz pod sobą, piernat czy siennik. Właśnie powoli zaczynałem się wczuwać w pozycję poziomą...

Bach! Bach! Bach!

Przysiągłem sobie, że się nie ruszę. Powinni się domyślić.

Nie domyślili się. Wyglądało na to, że cały pokój się zawali. Chyba już nie zmrużę oka, uznałem.

Wstałem znowu - bardzo delikatnie - i wychyliłem kwartę wody. Przekąsiłem śmierdzącym piwskim i starałem się pozostać w odpowiednim nastroju.

- Nie mam zwyczaju walić po damskich głowach - zwierzyłem się małej kobiecie, otwierając powoli drzwi - ale dla ciebie chyba zrobię wyjątek.

Nie przejęła się tym wcale.

- Tatuś chce się z tobą widzieć, Garrett.

- Patrzcie, jak wspaniale się składa. Teraz rozumiem, dlaczego banda kurdupli usiłuje rozwalić moje drzwi. I czegoż życzy sobie król gnomów?

- Rózo, widzisz przecież, że pora jest nieodpowiednia dla pana Garretta - odezwał się uprzejmie stary piernik. - Czekaliśmy trzy dni, parę godzin nie robi różnicy.

Róża? Powiniennem chyba znać jakąś Różę. Ale skąd?

- Panie Garrett. Jestem Lester Tate. I pragnę przeprosić... w imieniu Róży... że niepokoimy pana o tej porze. Róża to uparte dziecko, a brat rozpieszczał ją przez całe życie. Nie zna innych pragnień oprócz własnych - powiedział spokojnym, znużonym głosem człowieka, który

większość czasu spędza na gadaniu jak dziad do obrazu.

- Lester Tate? - zapytałem. - Coś jak wujek Lester Denny'ego Tate'a?

- Tak.

- A, zaczynam kojarzyć. Piknik pod Słoniową Skałą trzy lata temu. Przyszedłem wtedy z Dennyem. - Przypuszczalnie nie chciałem tego pamiętać, bo Róża była wówczas niewymownie wredną babą. - Chyba to żelastwo przeszkodziło mi w rozpoznaniu waszych twarzy.

Denny Tate i ja wróciliśmy osiem lat temu, ale nie widziałem go od miesięcy.

- Jak się ma Denny? - zapytałem z lekkim poczuciem winy.

- Nie żyje - warknęła słodka siostrzyczka Róża.

* * *

Denny i ja byliśmy bohaterami Wojen Kantardzkich. Oznaczało to, że odbębniliśmy swoje pięć lat i wyszliśmy z tego żywi. Wielu chłopaków nie miało tyle szczęścia.

Zaczęliśmy mniej więcej w tym samym czasie. Siedzieliśmy w okopach jakieś trzydzieści kilometrów od siebie, ale spotkaliśmy się dopiero tu, w TunFaire, tysiąc trzysta kilometrów od pola walki. On był szwoleżerem z Fort Must, ja siedziałem w Marines, zazwyczaj na pokładzie Imperial Kimmswick i z daleka od Full Harbor. Ja walczyłem na wyspach, Denny jeździł aż po Kantard, goniąc Venageti albo przed nimi uciekając. Obaj dochrapaliśmy się stopnia sierżanta przed opuszczeniem wojska.

To była paskudna wojna. Zresztą, dalej jest paskudna. Wolę ją teraz, bo jest daleko.

Denny widział więcej draństwa niż ja. Wojna na morzu i na wyspach była imprezą towarzyszącą. Ani my, ani Venageti nie marnowaliśmy na nią magów. Cała furia i niszcząca siła czarów skupiła się na lądzie.

W każdym razie obaj przeżyliśmy naszą piątkę, większość czasu spędzając w tej samej okolicy, i mieliśmy trochę wspólnych tematów, kiedy już się spotkaliśmy. Wystarczyło to, dopóki nie poznaliśmy się lepiej.

- Ach, to dlatego wyglądacie jak chodzący arsenał. Co to ma być? Wendeta? Może lepiej wejdźcie...

Róża zagadała jak kura w trakcie znoszenia kwadratowego jaja.

Wuj Lester roześmiał się także, ale był to zupełnie inny dźwięk.

- Zamknij się, Róziu. Przepraszam, panie Garrett. Broń ma służyć wyłącznie zaspokojeniu upodobań Rózi do dramatycznych wystąpień. Wierzy święcie, że gdybyśmy tylko weszli nie uzbrojeni na ten teren, lokalni bandyci porwaliby ją natychmiast.

To nie był mój najlepszy poranek. Mało mam takich. Rzuciłem bez namysłu:

- Bandyci w tej okolicy mają trochę dobrego smaku. Rózia nie musi się niczego obawiać. Wszystkiemu winien kac.

Wujcio Lester wyszczerzył zęby. Róża spojrzała na mnie tak, jakbym był psim gówienkiem, które przykleiło się do jej buta. Spróbowałem podejść do sprawy zawodowo:

- Kto to zrobił? W czym mogę pomóc?

- Nikt tego nie zrobił - odparła Róża. - Spadł z konia i rozbił sobie głowę, złamał kark oraz kilka innych kości.

- Dziwne, jak taki zręczny jeździec mógł skończyć w ten sposób.

- Stało się to w biały dzień na zatłoczonej ulicy. Nie ma wątpliwości, że to był wypadek.

- Więc czego ode mnie chcecie? I do tego o wschodzie słońca?

- Powie ci Tato - oznajmiła Róża. Aż się gotowała od środka, i to na dobrą chwilę przed tym, zanim dałem jej powód do gniewu. - On wymyślił, żeby cię ściągnąć, nie ja.

Słabo znałem staruszka Denny'ego. Na tyle, żeby mówić o nim, używając jego imienia, gdybym był padalcem, który do rodziców przyjaciół mówi po imieniu zamiast per pan. Facet prowadził bardzo dobrze prosperujący zakład szewski. On, Denny i dwóch komiwojażerów zajmowali się obsługą klientów i kupców. Wuj Lester i tuzin uczniów robili buty na zamówienie armii. Wojna była dobrodziejstwem dla papcia Denny'ego.

Mówią, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Cóż. I tak już zostałem obudzony. Psia sierść i błyskotliwa konwersacja zredukowały dudnienie w mojej głowie do marszu jakiejś dziesiątki tysięcy legionów. Poza tym miałem niejasne poczucie winy, że nie postarałem się wcześniej zobaczyć z Dennyem, zanim ta stara dziwka z kosą wlaźła mu na grzbiet. Postanowiłem wybadać, po co staruszek potrzebował kogoś z mojej profesji, skoro nie było

wątpliwości, w jaki sposób Denny wyciągnął kopyta.

- Pozwólcie mi się pozbierać, i pójdziemy. Róża złośliwie wyszczerzyła ząbki.

Pomyślałem, że wystawiłem się na jej morderczy lewy prosty. Nie chciałem czekać, aż to do niej dotrze.

II

Willard Tate nie był większy niż reszta plemienia. Gnom. Miał łysinę na czubku głowy, włosy po bokach przycięte, ale z tyłu spływały mu aż na plecy i ramiona. Siedział zgarbiony nad swym warsztacikiem, wbijając malutkie, mosiężne gwoźdźki w obcas damskiego pantofelka. Najwidoczniej interes kwitł. Tate miał na nosie kwadratowe okulary TanHageen, a one nie są zbyt tanie.

Był zajęty pracą. Mając na uwadze jego stan po śmierci syna, mogłem przypuszczać, że w pracy topi swój smutek.

- Panie Tate?

Wiedział, że przyszedłem. Odmroziłem sobie pięty przez te dwadzieścia minut, kiedy mu o tym mówili. Precyzyjnym uderzeniem wbił jeszcze jeden gwóźdź i spojrzał na mnie znad okularów.

- Pan Garrett. Słyszałem, że śmiał się pan z naszego wzrostu.

- Jeżeli ktoś wyciąga mnie z łóżka przed wschodem słońca, robię się bardzo nieprzyjemny.

- Róża. Jeśli już musi iść do ciebie, zrobi to w najbardziej niemiły sposób. Źle ją wychowałem. Weź to pod uwagę, gdy będziesz miał własne dzieci...

Nie odezwałem się. Nie zjednam sobie zbyt wielu przyjaciół, mówiąc, że wołałbym oślepnąć niż mieć dzieci. Ci, którzy nie pomyślą, że kłamię, wezmą mnie za wariata.

- Czy ma pan problemy z niskimi ludźmi, panie Garrett? Około sześciu błyskotliwych odpowiedzi cisnęło mi się na usta, ale się powstrzymałem. Tate był cholernie poważny.

- W zasadzie nie. W przeciwnym razie Denny nie byłby moim kumplem. Dlaczego? Czy to ma jakieś znaczenie?

- Uboczne. Czy zastanawiał się pan kiedyś, dlaczego Tate'owie są tacy mali?

- Nie, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- To krew. Mamy w sobie odrobinę elfiej krwi. Po obu stronach, wiele pokoleń temu. Pamiętaj, bo później pomoże ci to zrozumieć pewne fakty.

Nie byłem zaskoczony. Podejrzewałem to już wcześniej, zwłaszcza

widząc stosunek Denny'ego do zwierząt. Wielu ludzi ma w sobie trochę elfiej krwi, ale kryją się z tym. Półelfy nie są lubiane.

Kac jakby trochę ustąpił, ale niezupełnie. Nie miałem cierpliwości.

- Czy możemy przejść do rzeczy, panie Tate? Chce mi pan nadać robotę czy co?

- Musisz kogoś odnaleźć. - Wstał ze stołka i zdjął skórzany fartuch. - Chodź ze mną.

Poszedłem. Zaprowadził mnie do tajemniczego światka Tate'ów na tyły fabryki. Denny nigdy tego nie zrobił.

- Nieźle sobie radzicie - zauważyłem, kiedy weszliśmy do autentycznego ogrodu, którego istnienia nawet nie podejrzewałem.

- Jakoś leci.

Chciałbym, żeby mnie tak leciało.

- Dokąd idziemy?

- Do mieszkania Denny'ego.

Budynki otaczały ogród, stykając się ze sobą. Od ulicy wyglądały jak jeden, monotony budynek magazyn, ale od ogrodu nigdy bym ich tak nie określił. Były równie ładne jak te na wzgórzu. Po prostu stały tyłem do ulicy i nie prowokowały.

Zastanawiałem się, czy Tate'owie po zakończeniu, budowy pozabijali robotników.

- Cale plemię tu mieszka?

- Tak.

- Niezbyt intymna atmosfera.

- Myślę, że i tak aż za bardzo intymna. Wszyscy mają oddzielne pokoje, a niektórzy nawet drzwi na ulicę. Denny też miał.

Ton Tate'a zwrócił moją uwagę, że to bardzo ważny fakt.

Moje zainteresowanie zdecydowanie wzrastało. Zachowanie Tate'a wskazywało na oburzenie, że Denny miał przed staruszką jakieś sekrety.

Zaprowadził mnie do mieszkania Denny'ego. Powietrze w środku było duszne i ciepłe jak w zamkniętym pomieszczeniu podczas upału. Nic się tam nie zmieniło od czasu, gdy Denny raz mnie zaprosił - przez drzwi od ulicy - poza tym że go tam nie było. Stanowiło to ogromną różnicę.

Pokój był prosto urządzony i czysty jak nowa tania trumna. Denny

miał ascetyczne upodobania. Nigdy bym nie pomyślał, że jego rodzina może żyć w takim komforcie.

- To w piwnicy - rzekł Tate.

- Co?

- To, co chcę, żebyś sobie obejrzał, zanim zacznę opowiadać. - Podniósł latarnię i zapalił ją długą zapalką, której nie zgasił.

W minutę potem znaleźliśmy się w piwnicy równie nieskazitelnie czystej jak górne pokoje. Staruszek Tate obszedł z zapalką wszystkie kinkiety, a ja, jak kot za leniwy nawet na to, żeby polizać własną łapę, po prostu stałem i gapiłem się z rozdziawionymi ustami.

Zapomniałem języka w gębie.

Jedynie w zmyślonych opowiadkach o smoczycach jamach można usłyszeć o takiej ilości szlachetnego metalu leżącego sobie na podłodze.

Właściwie, kiedy już mój mózg zaczął znów pracować, dotarło do mnie, że nie było tego aż tak dużo. Tylko trochę więcej, niż mogłem sobie wyobrazić w jednej kupie. Parę setek rabusiów pracujących na akord na dwie zmiany przez cztery, pięć lat mogłoby nazbierać akurat tyle samo.

- Gdzie... Jak...?

- Na większość pytań sam nie znam odpowiedzi, panie Garrett. Wiem tyle, ile było w notatkach Denny'ego, a on pisał je dla siebie. Wiedział, o czym pisze. Wystarczy jednak, aby zorientować się w ogólnym zarysie sprawy. Sądzę, że będzie pan chciał je przeczytać przed przystąpieniem do pracy.

Chciałem, rzeczywiście, ale nie słuchałem, co mówił. Mój kumpel Denny, szwec z piwnicą pełną srebra. Denny, który o forsie wspominał tylko raz przy okazji zagarnięcia przez jego regiment karawany Venageti uciekającej ze skarbem po klęsce w Jordan Wells.

- Ile tego? - wyskrzczałem. Nie było mi ani trochę lepiej. Mały facecik siedzący w tylnym rzędzie w mojej głowie zaczynał właśnie gwizdać i tupać. Nie przypuszczałem, że jestem tak wrażliwy na szmal.

- Sześćdziesiąt tysięcy marek w dukatowym srebrze karentyńskim. Równowartość osiemnastu tysięcy marek w dukatowym srebrze innych stanów. Sześćset dwadzieścia trzy ośmiouncjowe sztabki. Pięć kilogramów w większych sztabkach. Trochę mniej niż sto marek w

dukatowym złocie. I jeszcze bilon w miedzi i cynie. Sporo, ale w porównaniu ze srebrem to pestka.

- Nie wtedy, gdy kilka miedziaków stanowi o jedzeniu lub głodzie. Jak on to zdobył? Tylko nie mów mi, że szyciem balowych trzewiczków dla tłustych diuszes. Nikt nie staje się bogaty... pracując. - Omal nie powiedziałem: w uczciwy sposób.

- Handel metalami. - Tate obdarował mnie spojrzeniem „nie bądź naiwny”. - Gra na zmianie kursu złota w stosunku do srebra. Kupowanie srebra, kiedy jest tanie w stosunku do złota, i sprzedawanie, kiedy złoto jest tanie w stosunku do srebra. Zaczął od pieniędzy, które zarobił w wojsku, przerzucał je w tył i w przód po najlepszych kursach. To właśnie miałem na myśli, kiedy wspominałem ci o naszej elfiej krwi. My, elfy, zawsze mieliśmy smykałkę do srebra.

- Gadasz komunały, Papciu.

- Czy ty rozumiesz, co mówię? Nie chcę, żebyś pomyślał, że to nieuczciwie zdobyte srebro.

- Ależ rozumiem. - Co nie znaczyło wcale, że uważałem je za absolutnie uczciwe.

Każdy, kto ma choć minimum zdolności do odczytywania kursów, może się wzbogacić w ten sposób. Srebro na przemian leci w dół i skacze w górę, w zależności od powodzenia wojska w Kantardzie. Dopóki będziemy dręczeni przez czarowników, zapotrzebowanie na ten metal nie zmaleje.

Dziewięćdziesiąt procent całego srebra świata wydobywa się w Kantardzie. Choćby mówiło się nie wiem co, a historia dodawała drugie tyle, wojna toczy się właśnie o kopalnię. Jeżeli uda nam się uwolnić świat od czarowników i ich pazerności na mistyczny metal, pokój i dostatek zapanuje na całym świecie.

- No i...? - zapytał Tate.

- Co: no i...?

- Będziesz dla nas pracował?

Nieźle pytanie, pomyślałem sobie.

III

Spojrzałem na Tate'a - i zobaczyłem jednorazowego durnia, wariata usiłującego zrobić mnie w coś, w co, jak sądził, nie wszedłbym nigdy, gdybym znał szczegóły.

- Papciu, szłybyś buty, nie znając rozmiaru? Nie widząc nawet osoby, która je będzie nosić? Nie mając pojęcia, czy ci zapłaca? Zachowywałem cierpliwość, bo jesteś starszkiem Denny'ego, ale nie będę grał w ciuciubabkę.

Stary odchrząknął i zachichotał.

- Dobra, Papciu. Wyduś wreszcie. Zrzuć to z serca. Pokaż, czy ta świnka to chłopczyk, czy dziewczynka.

Przybrał zbolaty, niemal błagalny wyraz twarzy.

- Staram się tylko oddać sprawiedliwość mojemu synowi, spełnić jego ostatnią wolę.

Postawimy mu pomnik. Otworzysz wreszcie gębę czy nie? A może mam iść do domu i doleczyć tego kaca?

Dlaczego oni robią zawsze to samo? Każą ci rozwiązywać problem, a potem kłamią i ukrywają fakty. Ale Nigdy nie omieszkają upomnieć się o wynik.

- Musisz zrozumieć...

- Panie Tate, nie muszę rozumieć nic poza tym, co się tu naprawdę dzieje. Dlaczego nie zaczniesz od początku, nie powiesz mi, co wiesz, czego chcesz i po co ja ci jestem potrzebny? Tylko niczego nie przeocz. Jeśli zajmę się tą sprawą i dowiem, że coś ukryłeś, bardzo się zdenerwuję. Nie jestem zbyt miły, kiedy się denerwuję.

- Czy jest pan już po śniadaniu, Garrett? Oczywiście, że nie. Róża obudziła pana i natychmiast przywiozła tutaj. Może coś zjemy, a ja tymczasem uporządkuję myśli?

- Może przestaniesz kręcić, zanim się naprawdę wścieknę? Oblał się rumieńcem. Nie przywykł, żeby mu bezczelnie odpyskiwano.

- Papciu, zeznanie albo pożegnanie. Frymarczysz moim życiem.

- Do cholery, człowiek nie może... Zrobiłem krok w stronę schodów.

- Dobrze już. Wracaj. Przystanąłem.

- Po śmierci Denny'ego przyszedłem tutaj i znalazłem to wszystko -

wyznał. - I jeszcze testament. Rejestrowany testament.

Większość ludzi nie kłopotczy się rejestracją, ale i tak nie widziałem w tym nic nadzwyczajnego.

- I co?

- I w testamencie wyznacza ciebie i mnie wykonawcami swojej ostatniej woli.

- Cholerny, zatracony kurdupel! Skręciłbym mu kark, gdyby sam wcześniej tego nie zrobił. Więc o to chodzi! Te wszystkie ceregiele i spojrzenia spode łba to dlatego, że wciągnął w ten interes kogoś z zewnątrz?

- Raczej nie. Warunki testamentu są dość dziwaczne.

- A co? Powiedział każdemu, co o nim myśli?

- W pewnym sensie. Wszystko, z wyjątkiem honorarium wykonawców, pozostawił osobie, o której nikt z nas nigdy nie słyszał.

Parsknąłem śmiechem. Wypisz, wymaluj, cały Denny.

- No to co? Zarobił tę forszę i miał prawo nią dysponować.

- Nie przeczę. I nie martwię się tym, wierz mi lub nie. Jednak dla Róży...

- Wiesz, co on o niej myślał, czy mam ci powiedzieć?

- Jest jego siostrą.

- Rodziny się nie wybiera. „Bezużyteczny, leniwy, zasmarkany i wredny pętał”. To najuprzejmniejsze określenia, jakich używał. Od czasu do czasu pojawiała się też słówka „dziwka”.

- Ale...

- Nieważne. Nie interesuje mnie to. A więc chcecie, żebym odnalazł tego tajemniczego spadkobiercę, he? O to chodzi? A wtedy co?

Nieraz żądają, żebyś robił różne głupie rzeczy. Domyślałem się już, dlaczego Denny zarejestrował testament. Róża ma kolce.

- Powiedz jej tylko, że jest scheda do wzięcia. Spisz zeznanie, które można będzie dołączyć do dokumentacji wraz z poświadczeniem rejestracji. Już zaczynają nas molestować, żebyśmy wreszcie zaczęli coś robić w celu wypełnienia warunków testamentu.

Wyobrażam sobie. Znam tych szakali. Zanim dostałem pracę jako konsultant, często prowadziłem dla nich dochodzenia, ot tak, żeby związać koniec z końcem.

- Powiedziałeś „jej”. Czy to kobieta?

Odkąd znalazłem Denny'ego, nigdy nie wspominał o żadnej kobiecie. Myślałem, że jest całkowicie aseksualny.

- Tak. Stara przyjaciółka z czasów, kiedy był w wojsku. Chyba do końca się nie odkochał. Nie przerwali korespondencji nawet wtedy, kiedy wyszła za kogoś innego. W tych listach znajdziesz najwięcej poszlak. Też byłeś w Kantardzie, więc się zorientujesz, o jakie miejsca chodzi.

- Kantard?

- Właśnie tam mieszka. Dokąd idziesz?

- Raz byłem w Kantardzie. Wtedy nie miałem wyboru. Teraz mam. Znajdź sobie innego durnia, panie Tate.

- Garrett, jesteś pan jednym z wykonawców. A ja jestem za stary na taką podróż.

- Bajdy. Każdy prawnik obali to jednym splunięciem. Wykonawca nie musi się zgodzić, jeśli niczego nie podpisywał. Cześć.

- Panie Garrett, prawo pozwala wykonawcom wykorzystać do dziesięciu procent wartość majątku na pokrycie kosztów własnych i podróży. Wartość majątku Denny'ego wynosi około stu tysięcy marek.

Zastopowało mnie. Dało do myślenia. Na prawie dwa mgnienia oka.

- Pięć tysięcy to za mało, żeby dać się zabić, Papciu. Nie mam nikogo, żeby mu zostawić tę forszę.

- Dziesięć tysięcy, panie Garrett. Zrzekam się mojej części. Nie chcę jej.

Przyznam, że się zawahałem.

- Nie.

- Zapłacę pańskie wydatki z własnej kieszeni. To znaczy, że będzie pan miał dziesięć tysięcy na czysto.

Stałem jak wryty. W co gra ten stary przechera?

- Ile, Garrett?

- Jak to się stało, że tak gorąco pragniesz ją odnaleźć?

- Chcę się z nią spotkać. Chcę na własne oczy zobaczyć, jaka kobieta potrafiła tak omotać mojego syna. Podaj cenę, Garrett.

- Nawet bogactwo nic ci nie pomoże, jeśli dzikie psy z Kantardu ogryzą ci kości i wysąszą szpik.

- Podaj cenę, Garrett. Jestem starym człowiekiem, który stracił syna, moją jedyną nadzieję. Mam duży majątek i nie muszę już oszczędzać.

Jestem zdeterminowany. Chcę poznać tę kobietę. Powtarzam jeszcze raz, podaj swoją cenę.

Powinienem się zastanowić. Do diabła - zastanawiałem się. Co najmniej przez dziesięć minut.

- Daj mi tysiąc zaliczki. Obejrzę to, co zostawił po sobie Denny, powęszę tu i tam, zobaczę, czy to w ogóle jest do zrobienia. Powiem ci, kiedy zdecyduję.

Zeszliśmy do piwnicy. Przysunąłem krzesło do biurka, na którym leżały w stosach listy i zapiski Denny'ego.

- Muszę wrócić do pracy - oznajmił Tate. - Powiem Róży, żeby przyniosła ci coś do jedzenia.

Drobne kroczki Tate'a ucichły. Zacząłem rozważać możliwość, że kochana Różyczka wsunie mi do posiłku coś trującego. Westchnąłem i zająłem się pracą, w nadziei, że to śniadanie nie okaże się ostatnim w moim życiu.

IV

Po pierwsze, zacząłem szukać tego, co przeoczyła rodzinka Denny'ego. Skąpiradła z reguły uważają, że muszą wszystko ukrywać. Taka piwnica, na oko zupełnie zwyczajna, powinna mieć mnóstwo skrytek, gdzie można chomikować różne różności.

Właśnie spostrzegłem jedną, kiedy z pułapu spadła odrobina kurzu. Zacząłem nasłuchiwać. Ani szu, szu. Ktoś widocznie trenuje koci krok.

Byłem po uszy zatopiony w lekturze, nogi założyłem na biurko. Wreszcie pojawiły się na scenie moje bułeczki i Różyczka. Zmierzyłem ją wzrokiem uniesionym znad listu, który miał w sobie coś z deja vu. Mało mnie to obeszło. Zapach bułeczek ze świeżym leśnym miodem, herbata, kurze jaja, gorący chleb z masłem i konfitury były dla człowieka w moim stanie ducha zbyt rozpraszające.

Koza także mogła mnie rozproszyć. Uśmiechała się. Tak uśmiecha się żmija, zanim ukąsi. Kiedy taka jak ona uśmiecha się do ciebie, lepiej sprawdzić, czy za plecami nie stoi ci facet z nożem. Postawiła przede mną tacę, wciąż się uśmiechając. - Przyniosłam po trochu wszystkiego, co było w kuchni. Mam nadzieję, że wybierzesz coś dla siebie.

Kiedy jest taka miła, lepiej mieć za plecami gruby mur.

- Ktoś cię uraził? - spytałem.

- Nie. - Spojrzała na mnie zdumiona. - Dlaczego tak sądzisz?

- Twój wyraz twarzy. To musi być ból. Żadnej reakcji, oprócz:

- Wiec stary zdołał cię namówić, a może się mylę? Uniosłem brew.

- Namówić? Na co?

- Na poszukiwanie baby Denny'ego. W jej uśmiešku aż bulgotał wiotriol.

- Nic z tego. Obiecałem, że obejrzę sobie papiery Denny'ego i powęszę trochę po mieście. Potem powiem mu, co myślę, i wszystko.

- Zrobisz to. Ile ci dał za jej znalezienie?

Przybrałem najlepszą z mych pokerowych min i spojrzałem w wygodniałe, lodowate grudki jej oczu. Nie wierzę w te bzdury o oknach duszy. Widziałem zbyt wiele kłamliwych oczu. Za jej ślepiami krył się tylko ostry jak odłamki szkła grad i zmrożona stal.

- Dam ci dwadzieścia procent, jeśli jej nie znajdziesz. Dwadzieścia pięć, jeśli znajdziesz ją martwą.

Z nieruchomą twarzą zabrałem się do jedzenia. Była tam także szynka i kielbasa, a herbata okazała się tak dobra, że wypilem połowę zawartości czajnika, zanim dotknąłem czegokolwiek innego.

- Potrafię być bardzo hojna. - Obróciła się bokiem, żeby pokazać, czym dysponuje.

Miała wyposażenie. Wszystko, co trzeba, i w odpowiednich proporcjach. Śliczny, mały pakunczek, pełen zgnilizny.

- Denny mówił, że lubisz małe kobietki. Niektóre bardziej niż inne, pomyślałem.

- Staram się nie być okrutny dla moich bliźnich, Rózo. Mówiąc najprostszymi słowami, żeby cię nie urazić: nie jestem zainteresowany.

Dobrze przyjęła odmowę. Zignorowała ją.

- Wiesz, jadę z tobą.

- Ze mną? Dokąd?

- Do Kantardu.

- Chcę cię poinformować, panienko, że nie robię dla ciebie żadnej brudnej roboty i nawet nie pokażę się z tobą na ulicy. Dzięki za śniadanie. Potrzebowałem go i doceniam. A teraz wynoś się i pozwól mi spojrzeć, czy jest jakikolwiek powód, abym okazał się dość głupi i wszedł w ten interes.

- Jestem upartą kobietą, Garrett. Zwykle dostaję to, czego chcę. Jeżeli mi nie pomożesz, lepiej trzymaj się z daleka od całej sprawy. Ludzie, którzy wchodzą mi w drogę, cierpią na tym.

- Jeżeli nie wyniesiesz się z tego pokoju, zanim dokończę tę filiżankę herbaty, przełożę cię przez kolano i załatwię to, co stary zapomniał zrobić, kiedy jeszcze byłaś dość młoda, żeby skutecznie wbić ci do głowy trochę rozumu.

Zrejęterowała na schody.

- Zacznę krzyczeć, że mnie gwałcisz.

Wyszczrzyłem zęby. Ostatnia ucieczka babskiego sukinkota.

- Nie jestem tak bogaty jak ty, ale stać mnie na prawdomówcę. No, dalej. Zobaczymy, jak twój tatuś przyjmie stratę dwojga dzieci w ciągu jednego tygodnia.

Ruszyła po schodach na górę. Koniec zabawy.

Zawróciłem i z cienia pomiędzy dwoma filarami, wspartymi na zewnętrznych fundamentach, wyciągnąłem ciemny pakunek. Nie był ukryty, ale jednak zapakowany w kawaleryjski koc pod siodło. Wzdłuż całej ściany nie mógłbyś wetknąć nawet szpilki. Służba wiele znaczyła dla Denny'ego, zachował najmniejszą nawet pamiątkę. To, co zawiązał w koc, także musiało być ważne.

Swój worek marynarski wrzuciłem do zatoki, schodząc po trapie tego samego dnia, którego zakończyłem służbę. To chyba mówi samo za siebie, jak bardzo kochałem życie w Królewskiej Marynarce.

Węzełek Denny'ego zawierał stosik map wojskowych Kantardu, w większości naszych, jedynie kilka Venageti. Posiadanie każdej z nich nie było bezpieczne. Mogliby cię przymknąć za szpiegostwo. Ludzie zadający pytania w sądzie nie spoczną, dopóki wszystkiego nie wypiewasz.

Pośród map znajdowały się także plany, sporządzone na skórze tak cienko wyprawionej, że niemal przezroczystej, i kilka cienkich, drogich dzienników w twardych okładkach.

Zabrałem cały ten bagaż na biurko Denny'ego.

Każdy z planów dotyczył innej z decydujących bitew w ciągu ostatnich sześciu lat. Nazwiska kapitanów, komendantów i uzbrojenie. W jednym z zeszytów można było prześledzić każdą bitwę, dowódca po dowódcy i jednostka po jednostce.

Co, do cholery? Denny nie był maniakiem wojny.

Po przeczytaniu paru fragmentów zaczęło mi świtać. Na przykład tabela z nazwiskami oficerów królewskich:

7: Hrabia Agar: impulsywny, nadmiernie agresywny, nieraz działa poniżej swego poziomu inteligencji.

9: Margrave Leon: nieśmiały, zanim zacznie się stawiać, wie, czego chce; łatwo go wytrącić z rytmu w trakcie starcia.

14: Wicehrabia Noah: niepewny, w starciu niepotrzebnie okrutny, marnotrawca ludzi i materiału.

22: Glory Mooncalled: najlepszy ze wszystkich dowódców pod barwami Karentyny, doskonały taktyk, potrafi ruszyć z miejsca najwolniejszych i najbardziej tępych ludzi; przeszkodą jest dla niego niskie urodzenie, status najemnika i rola w Buncie Seigod, gdzie trzymał stronę Venageti; słabością jest trawiąca go nienawiść do

wojennych władców Venageti.

Była tam także lista Venageti, analiza potencjalnych złych i dobrych kombinacji. Kiedy zajmujesz się grzebaniem w złocie i srebrze, dobrze jest wiedzieć, kto kontroluje kopalnie srebra o kilka miesięcy drogi stąd. Denny całkiem poważnie próbował przechrzyć los.

Coś mi jednak śmierdziało. Denny zgarnął czterdzieści osiem marek łupu i odprawę. Nie zmienisz czterdziestu ośmiu marek w sto tysięcy bez ścinania zakrętów.

Rejestr działalności Denny'ego zawierał pewne wskazówki:

Notatka od V.: Agent Władcy Burzy Atto pytał o cenę 25 kilogramów srebra. Pierwszy dreszczyk emocji przed nową ofensywą?

Z. przekazał ustnie: Harrow przybił ze 100 kilogramami srebra balastu. Trzeba sprzedać, zanim Mooncalled dorwie Freemantle'a.

Harrow na południe z 500 kilogramami granulatu wewnątrz wypróżnionych komór balastowych. Jeszcze większa transakcja. Żeby tylko pogoda dopisała.

List od K. Władcy Wojennego Ironlock, 20 000 ludzi, 3 władców ognia z Południowego Kręgu, Trzeci Rytuał, zamówiony dla Lare'a. Atak przez Bled? Wicehrabia Blush broni. Kupić srebro w monetach.

V., Z. i wielu innych mogło być kumplami z kawalerii, z którymi Denny utrzymywał kontakty. Pewne oznaki wskazywały na ciasną siatkę operacyjną. Ale K. nie był kumplem z armii.

W ostatniej kolejności zająłem się listami spadkobierczyni i kochanki. Akurat wtedy wpadł kuzyn Tate'a, pytając, co chcę na lunch.

- Cokolwiek. To co wy jecie. I kwartę piwa. I powiedz staremu Tate'owi, że go potrzebuję.

I właśnie wtedy zacząłem czytać listy. Właśnie wtedy facet w tanich portkach zdecydował, że wraca do Kantardu. Reszta mojego ja stoczyła długą, chwalebnią bitwę.

V

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha - rzekł Tate. Spojrzałem na niego znad listu, na który gapiłem się już od pięciu minut.

- Co? Ach, taak. Niemalże. Panie Tate, powiedział mi pan, że to uczciwa forsa.

Nie odezwał się. Chyba podejrzewał, że to coś trefnego.

- Czy miał pan jakichś niezwykłych gości? - zapytałem. - Starych kumpli Denny'ego, nie wiadomo skąd i zadających mnóstwo pytań?

- Nie.

- No to będzie pan miał. Już niedługo. Tu jest za dużo różnych rzeczy, żeby je tak zostawić. Uważaj pan.

- Co to znaczy?

Wyglądało to na uczciwe pytanie. Może zatem nie znał życia na tyle, żeby doczytać się tego, co Denny napisał. Wyłożyłem mu kawę na ławę.

Nie uwierzył mi.

- Nieważne, co każdy z nas sobie myśli. Jedno jest ważne: jak dotąd, ta sprawa mnie interesuje. Potrzebuję tego tysiąca. Od początku proszę przygotować się na duże wydatki. I jeszcze pudło. Potrzebuję dużego pudła.

- Każę Lesterowi przynieść pieniądze z biura. Po co ci pudło?

- Żeby to wszystko zapakować.

- Nie.

- Coś powiedział?

- Nie zabierzesz stąd niczego.

- Zabieram wszystko albo sam siebie. Chcesz, żebym wykonał robotę, pozwól mi ją wykonać. Po mojemu.

- Panie Garrett...

- Papiu, płacisz za wyniki, a nie za prawo do pyskówek ze mną. Dawaj mi to pudło, a potem idź wbijać gwoździe w podeszwę. Nie mam czasu na skomlenie i wykręty.

Jeszcze nie odzyskał sił po tym, co mu powiedziałem o Dennym. Nie pozostała mu już żadna runda. Zabrał się i poszedł.

Najśmieszniejsze, że zostawił mnie z poczuciem winy, jakbym go

przetrenował tylko po to, by podrajcować swoje ego. Nie potrzebowałem tego uczucia. Podałem się zatem i pozwoliłem, żeby wszystko potoczyło się tak, jak chciał Tate.

Zabawne, jak potrafisz sam sobą manipulować od wewnątrz, a ktoś z zewnątrz nie.

Odchyliłem się i obserwowałem, jak ze stropu spada kurz; para leciutkich stóp podążyła za Tate'em. Wciąż jeszcze siedziałem w tej samej pozycji, kiedy kuzyn przyniósł piwo i lunch. Pochłaniałem je właśnie, gdy przyszedł Wuj Lester z opasłą sakiewką i potężną skrzynią. Dokończyłem piwo jednym, długim haustem, beknąłem, zasłaniając usta dłonią, i zapytałem:

- Co o tym sądzisz, Wujku Lester? Wzruszył ramionami.

- Nie mój cyrk, nie moje małpy.

- Jak to?

- Hę?

Zaczął zachowywać się jak ryjąca świnia, chrząkać i fukać na przemian.

- Czytałeś coś z tego? - zapytałem.

- Tak.

- Co na to powiesz?

- Wygląda, jakby Denny zabrnął w gówno. Wiesz zresztą lepiej ode mnie.

- Rzeczywiście. I miał cholernie dużo szczęścia jak na amatora. Przypuszczałeś kiedyś, że w coś się zaplątał?

- Nic a nic. Chyba że brać pod uwagę listy tej kobiety. Pisali do siebie w tę i we w tę przez cały czas. To nie było normalne. Nienaturalne.

- Tak?

- Chłopak był krewnym i nie żyje, o jednym i drugim mówi się albo dobrze, albo wcale. Ale ten mały był trochę dziwny. Zawsze samotny, zanim wyruszył na wojnę. Założę się, że to jedyna kobieta, jaką kiedykolwiek miał. Jeśli ją miał. Po powrocie nie spojrzął na żadną inną.

- Może już nie mógł?

Lester prychnął i obdarzył mnie jednym z tych spojrzeń, których nie widziałem ani u Tate'ów, ani u elfów od czasu... Chociaż właściwie,

pewne sprawy są traktowane jednakowo u wszystkich gatunków.

- Tak tylko pytałem. Nic podobnego nie myślałem. Wydawało się, że to go po prostu nie interesuje. Na spotkaniach z innymi chłopakami nigdy nie miał nic ciekawego do powiedzenia na ten temat.

Lester skrzywił się.

- Pewnie słuchał grzecznie, tak jak ty byś słuchał, gdybym ci zaczął opowiadać historie z mojego dzieciństwa.

Tu mnie miał.

Rzadko się zdarza, żeby Garrettowi zabrakło języka w gębie.

- Tym miłym akcentem zakończę... - Zachichotał.

Mruknąłem coś tylko, po czym znowu rozparłem się w fotelu, przymknąłem oczy i poddałem się myśli, która bardzo mnie rozstroiła. Zbieg okoliczności tak dawnych, że sam diabeł musiał mi go podsunąć.

Kayean Kronk.

Może Denny naprawdę spędził wszystkie te lata, zakochany we wspomnieniu. Przemyślałem to porządnie trzy razy, zanim się przełamałem.

Pozostało mi tylko jedno: pogadać z Truposzem.

VI

Nazywają go Truposzem, ponieważ został zabity czterysta lat temu. On jednak nie jest ani żywy, ani martwy. To Loghyr, a oni nie umierają tak po prostu, tylko dlatego że ktoś wbije w nich kilka ostrzy. Ich ciała przechodzą wszystkie stadia: stygnięcie, stężenie pośmiertne mięśni, śmiertelną błądź - ale nie ulegają rozkładowi. A przynajmniej nie w takim tempie, żeby byle człowiek mógł to zauważyć. Kości Loghyrów znajdowano w ruinach na wyspie Khatar. Kiedy się je wysuszy, są całkiem podobne do ludzkich.

- Cześć, Kupo Gnatów. Nie widać, żeby dieta ci pomogła.

Truposz to okrągłe dwieście kilogramów złości, nieco postrzępiony, tu i tam, gdzie dosięgły go mole, myszy i mrówki. Zaparkowali go na fotelu w ciemnym pokoju znajdującym się w domu, o którym mówiono, że jest zarazem opuszczony i nawiedzony. Truposz śmierdzi okropnie. Rozkład przebiega wolno, ale nieuchronnie.

- Mmm, i przydałaby ci się kąpiel.

Ogarnęło mnie psychiczne zimno, aż zadygotałem. Spał. Niełatwo się z nim dogadać, kiedy jest w dobrym humorze, ale wyrwany ze snu jest całkiem niemożliwy.

Ja nie śpię, ja medytuję.

Myśli łupnęły w mój biedny mózg.

- Przypuszczam, że to tylko kwestia podejścia.

Zimno psychiczne zmieniło się w całkiem dotykalne.

Zacząłem wydmuchiwać kłęby pary, a klamry na moich butach pokryły się szronem. Czym prędzej zająłem się drobnymi przygotowaniami, które są konieczne przy załatwianiu sprawy z Truposzem. Świeże kwiatki znalazły się w kryształowym wazonie, na brudnym blacie obok fotela. Potem zapaliłem świecę. Ponure poczucie humoru Truposza domagało się, żeby było ich trzynaście, wszystkie czarne, i żeby płonęły podczas konsultacji.

O ile wiem, jest jedynym Loghyrem, który skomercjalizował swój geniusz. I wcale nie potrzebuje światła świec, żeby widzieć interesantów i kwiaty. Udaje tylko, że potrzebuje. Lubi to.

Aha! Teraz cię widzę, Garrett! Ty zarazo. Nie możesz zostawić mnie

w spokoju? Kręcisz się tu codziennie, jesteś gorszy od moli i myszy.

- Nie było mnie tu od pięciu miesięcy, Kościotrupku. A sądząc po wyglądzie tego miejsca, medytowałeś przez cały ten czas.

Mysz ukryta za jego olbrzymim fotelem straciła cierpliwość i wyszła. Truposz chwycił ją mocą swego umysłu i wyrzucił z domu. Cała chmara moli poderwała się i rozpierzchła. Nie był w stanie skrzywdzić robactwa, które chciało go zjeść, ale ludziom, usiłującym zmusić go do pracy, potrafił stworzyć piekło na ziemi.

- Powinieneś czasem popracować - tłumaczyłem mu. - Nawet nieboszczyk musi płacić czynsz. A ty potrzebujesz kogoś, kto cię wykąpie i posprząta wokół; że nie wspomnę o wytępieniu wszelkiej gadziny.

Wielki, lśniący i czarny pajak wypełznął z ryjowatego nozdrza na końcu jego dwudziestocentymetrowego kinola. Spojrzał na mnie i widocznie mu się nie spodobałem, bo schował się z powrotem.

Tanie kwiaty.

- Nieprawda. - Nie dałem mu, absolutnie, żadnego legalnego powodu do skarg. Nie mógł mnie wyrzucić tylko dlatego, że nie chciało mu się pracować. Znałem stan jego finansów. Gospodarz Truposza przyszedł do mnie po jego zaległy czynsz.

Zdaje się, że znowu podłapałeś byle jakiego klienta, Garrett. Dalej wieszysz za niewiernymi żonami?

- Wiesz lepiej. - Dzięki niemu wygrzebałem się z tego.

Ile?

- Winien mi jesteś miesięczny czynsz.

Masz zadowoloną, pewną siebie gębę faceta, którego wydatki znajdują pokrycie. - I co z tego? Ile musisz naciskać klienta, żeby zaczął kwiczyć?

- Nie wiem.

Sądząc po tym, jak wyglądasz, wystarczy. A wyglądasz na faceta, który złapał za ogon kurę znoszącą złote jaja. Nadawaj.

- Co?

Przestań udawać idiotę, Garrett. Za stary na to jesteś. Przytaszczyłeś się tu, żeby mnie nudzić. To najgorsze, kiedy jesteś martwy. Nuda. Cholerna nuda. I nic nie możesz zrobić.

- Loghyrowie, nawet żywi, też nic nie robią.

Nadawaj, Garrett. Moja gościnność przeciera się na zgięciach.

Wygrałem, albo coś koło tego. Słuchał, a ja przekazywałem mu słowo po słowie, pokazywałem mapę po mapie. Gładziutki, profesjonalny raport. Potknąłem się tylko dwa razy, raz na imieniu Kayean, a drugi, kiedy koło mojej głowy przeleciała kolejna rozwrzeszczana mysz. Nasze spotkanie trwało parę godzin i cholernie zaschło mi w gardle. Byłem jednak na to przygotowany, w końcu przechodziłem przez to nie pierwszy raz.

Napełniałem się właśnie piwem, kiedy w mojej głowie zabręczało:

Bardzo dokładne. Przynajmniej to, co przedstawiłeś. A co zataiłeś?

- Nic, masz wszystko jak na dłoni.

Łzesz, Garrett. I do tego niezbyt przekonująco. Może jednak okłamujesz bardziej siebie niż mnie. Potknąłeś się na imieniu kobiety. Ono coś dla ciebie znaczy.

Jeśli okłamujesz najlepszego przyjaciela, to tak, jakbyś okłamywał sam siebie. Truposz nie kłapie gębą na prawo i lewo.

- To prawda.

Dalej.

- Kayean Kronk poznałem, kiedy byłem w Kantardzie. Jej ojciec był jednym z Syndyków w Port Fell. Kiedy ją spotkałem, miała siedemnaście lat, a ja dziewiętnaście. Wzięło mnie, i to mocno. Myślałem, że ją także. Potem jednak przyszła kampania na wyspach i mogliśmy się widywać tylko przez dwa dni w miesiącu, ponieważ resztę czasu spędzałem na morzu. Po około sześciu miesiącach wróciłem i zastałem bardzo miły liścik, z prośbą, żebym przestał przyjeżdżać, że jest zakochana... no, normalne sprawy. Już nigdy jej nie widziałem. Słyszałem, że chodzi z kawalerzystą, a jej ojciec nie cierpi go jeszcze bardziej niż mnie. I to był ostatni raz, kiedy miałem od niej wiadomość. Aż do dziś. Miałem potem kilka trudnych lat. Naprawdę mnie wzięło.

Koniec spowiedzi.

Długie milczenie.

Czy twój przyjaciel nigdy nie wymienił imienia kobiety?

- W ogóle nie wspomniał o kobiecie.

Dziwny zbieg okoliczności, bardzo naciągany, ale nie niemożliwy. Dobrze byłoby wiedzieć, czy zdawał sobie sprawę z tego, kim był

poprzedni kochanek tej kobiety. Jak się spotkaliście?

- W tawernie dla weteranów. Polubiliśmy się. Nie przypominam sobie żadnego szczegółu świadczącego o tym, że Denny znał mnie z opowiadań osoby trzeciej. Nie wydaje mi się, aby był facetem kręcącym się koło byłego kochanka swojej kochanki. Stawiam całą jego fortunę, że to ja byłem Marine, z którym się spotykała.

Możesz się zakładać. Zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi wpłaczę się w to tylko z powodu kwoty, jaka wchodzi w grę?

- Dlatego tu przyszedłem, potrzebuję twojej rady. Główną radę zignorujesz na pewno.

- To znaczy?

Zostaw to w spokoju. Zajmij się sprawami rozwodowymi, bo w tej jednej możesz zostawić własną skórę. Szczególnie na styku z Kantardem. Z całą pewnością jest w to zamieszanych wielu bardzo ważnych ludzi, choćby nawet marginalnie.

- Jak to?

Za kogo wysłała ta kobieta?

- Nie wiem. Dlaczego pytasz? Sądzisz, że to ważne?

Odważyłbym się nawet na stwierdzenie, że to klucz do całej sprawy.

- Dlaczego?

Z listów kobiety jasno wynika, że miała dostęp do ściśle tajnych, a nawet niebezpiecznych dla ewentualnego posiadacza, informacji. Przesyła dane nie tylko dotyczące aktualnych ruchów i przyszłych planów waszych armii, lecz także armii Venageti. Stąd wypływa wniosek, że dama posiada jedyną w swoim rodzaju pozycję. Wy, ludzie, nie pozwalacie, aby samice robiły kariery na tak odpowiedzialnych stanowiskach. Stąd kolejny wniosek, że owa dama jest w związku z mężczyzną mającym taką właśnie pozycję.

Mentalny sposób mówienia Truposza nie różnił się nawet w niuansach od normalnej mowy - o ile przyzwyczaisz się do braku mimiki i gestykulacji. Teraz Kościotrup dławił się szczęściem.

- Sam bym na to szybko wpadł - odparłem.

Mniej więcej w tej samej chwili, kiedy ktoś poderzwałby ci gardło. Liczysz na swój talent do przebijania się przez przeszkody albo pokonywania ich blefem. To wspólna dla waszej rasy wada. Wydaje się wam, że praca mózgiem jest wstydliva lub bolesna. Wolicie złapać za

miecz na pierwszy...

Wskoczył na swego ukochanego konika. Wkrótce zacznie piąć peany na temat nieskończonej wyższości rozumowania, logiki i mądrości Loghyrów. Wyłączyłem się zatem.

Można to zrobić, jeśli akurat jest zajęty dumaniem nad własną wspaniałością, o ile, oczywiście, jesteś dość subtelny i nie zwrócisz jego uwagi na to, co robisz. Ukryłem się za moim piwem i liczyłem do dziesięciu. Słyszałem to już wiele razy. Wiedziałem, ile czasu mu potrzeba, żeby się wyżyć.

Garrett!

Przeliczyłem się o kilka sekund. Prawdopodobnie oszukiwał. W końcu on także znał mnie dość dobrze. Tym razem jednak był niezwykle łagodny. Nie użył żadnej ze swoich dziecinnych sztuczek. Może dałem mu do myślenia dość dużo, aby przestał się nudzić jako nieboszczyk

- Tak?

Uważaj. Pytałem, czy masz zamiar pójść na to.

- Nie jestem pewien.

Kłamiesz, aż ci się z tyłka kurzy. Mam więc dla ciebie radę. Zważywszy, że zamierzasz działać. Nie chodź tam samotnie, i nie pozwól, aby uczucie wlało w paradę twemu wrodzonemu instynktowi tego, co dla ciebie najlepsze. Kimkolwiek ta kobieta jest, była lub będzie, nie jest to już ta siedemnastoletnia dziewczyna, którą kochałeś. A ty też nie jesteś tym cielecookim dziewiętnastoletnim Marine. Jeśli choć na minutę pozwolisz sobie uwierzyć, że te dni mogą wrócić, będziesz zgubiony. Tamte czasy umarły. Przyjmij opinię eksperta w tej sprawie. Ja wiem, co to znaczy nie żyć. Nie ma sposobu, by odzyskać zdrowie. Żyje się wspomnieniami i marzeniami. I jedno, i drugie może stać się śmiertelne dla faceta, który stracił z oczu linię demarkacyjną pomiędzy nimi a rzeczywistością.

- Koniec przemówienia?

Koniec przemówienia. Wysłuchałeś?

- Wysłuchałem. Słyszysz mnie?

- Słyszę.

To dobrze. Jesteś zarazą, zgnilizną zatruwającą moje upływające stulecia, Garrett; ale mnie bawisz. Nie chcę jeszcze cię stracić. W

Kantardzie zachowaj ostrożność. Nie będzie mnie tam, żeby cię wyciągać z tarapatów, w które wpadłeś przez swoją głupotę. To idiotyczne, ale będzie mi ciebie brakowało, twojej bezczelności, nieposłuszeństwa, i tak dalej...

To była najprzyjemniejsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek powiedział. Musiałem wyjść, zanim byśmy się całkowicie rozczulili. Po kolejnym piwku wykopałem go jeszcze i posprzątałem trochę jego siedzibę.

VII

Kiedy opuściłem Truposza, było już dawno po kolacji. Cienie wydłużyły się i miały kolor indygo. Niebo przybierało barwy, które zwykle widuje się wyłącznie w malarstwie elfów. To był długi dzień i wszystko wskazywało na to, że jeszcze się nie skończył.

Pierwszą i najważniejszą sprawą było spotkanie z gospodarzem Truposza i zapłacenie czynszu za kilka miesięcy z góry.

Jeśli kiedykolwiek uda mi się zbić fortunę, kupię dla niego tę rudę, chociaż on sam też mógłby to zrobić, gdyby chciał. Zarobienie takiej kwoty wymagałoby jednak kilku miesięcy wyteżonej pracy, a on już na samą myśl o tym dostawał psychicznych spazmów.

Kolejnym krokiem było spotkanie z Morleyem Dotesem, o którym pomyślałem już wcześniej, zanim Truposz odradził mi samotną wyprawę. Kantard nie jest miejscem dla samotników.

Ciężka łapa wychynęła nagle z ciemności alei, spadła na moje ramie i mocno szarpnęła.

Miasto też nie zawsze jest bezpiecznym miejscem.

Walnąłem w ścianę i zrobiłem unik przed pięścią, którą poczułem raczej, niż zobaczyłem. Wycisnąłem z siebie słabiutki prawy prosty, który miał posłużyć odwróceniu uwagi, zanim wystosowałem klasyczny dziewczynski kop w łydkę. Góra mięśni i ścięgien zagradzająca mi drogę odtańcowała w tył na tyle daleko, że mogłem się dokładnie przyjrzeć jej gabarytom. Były potworne.

- Saucerhead Tharpe.

- Hej, Garrett. Chłopie, gdybym wiedział, że to ty, nigdy nie wziąłbym tej roboty.

- Gówno prawda. Założę się, że wszystkim innym też wtykasz tę ciemnotę.

- Au, Garrett, nie bądź taki. Wiesz przecież, że każdy chce jakoś żyć.

Kątem oka spostrzegłem znajomą, drobną figurkę przyglądającą się zajściu z drugiej strony ulicy. Wyciągnąłem grubą sakiewkę zawierającą część fortuny, którą jej wuj zaofiarował mi wcześniej.

- Hej, coś ty, Garrett. Wiesz, że nie możesz mnie przekupić, bym dał spokój. Przykro mi strasznie, że wypadło na ciebie i mnie. Ale wziąłem

forsę za wykonanie roboty. Co by się ze mną stało, gdyby wszyscy się dowiedzieli, że można mnie przekupić? Bardzo, bardzo mi przykro, Garrett, ale muszę zrobić to, za co mi zapłacono.

Nie oczekiwałem powodzenia, ale należało spróbować.

- Byłbym ostatnią osobą, która namawiałaby cię do zerwania umowy, Saucerhead.

- Aj, ale się cieszę. Bałem się, że nie zrozumiesz.

- Chcę ci zlecić robotę, Saucerhead. Tu masz pięć marek.

- Aha. Będę się czuł o wiele lepiej, jeśli coś dla ciebie zrobię

- Chodzi o tę kobietę po drugiej stronie ulicy, tę, która nasłała cię na mnie. Kiedy skończymy, chcę, żebyś zabrał ją na bazar, obdarł z ubrania, przełożył przez kolano i wlepił jej trzydzieści solidnych klapsów na goły tyłek. Potem ją puścisz i pozwolisz wrócić do domu.

- Nago?

- Nago.

- Nie uda jej się nawet wyjść z bazaru, Garrett.

- Dostaniesz następne pięć marek, jeśli dotrze do domu cała i zdrowa. Ale nie chcę, żeby wiedziała, że jej pilnujesz.

- Załatwione, Garrett. - Saucerhead wyszczerzył zęby i wyciągnął łapę wielkości rakiety śnieżnej.

Wpuściłem w nią pięć marek.

Dłoń Saucerheada zagłębiła się w kieszeni.

Walnąłem go sakiewką w skroń, wkładając w to wszystkie siły. A potem rzuciłem się do ucieczki jak szalony. Przebiegłem dwa kroki.

Uczciwie zapracował pieniądze, które dostał od Róży. Wykonał zadanie co do joty.

Usiłowałem się bronić, oczywiście, ba, nawet mi się to udawało. Niewielu byłoby w stanie stawiać opór Saucerheadowi przez całą minutę. Przyłożyłem mu tak, że chyba to sobie zapamiętał przez następny kwadrans.

Troskliwy facet z tego Tharpe'a. Kiedy już obejrzałem wszystkie gwiazdy i padłem na twarz, starannie wetknął pode mnie sakiewkę, ot tak, na wszelki wypadek, gdyby ktoś przechodził, zanim się ocknę. A potem zajął się kolejną robotą według rozpiski w swoim kalendarzyku.

VIII

Bolało mnie wszędzie. Zarobiłem około dwóch akrów siniaków. Saucerhead wynalazł na moim ciele miejsca do bicia, o których sam nie wiedziałem, że je mam. Całym ciałem i duszą marzyłem o tym, żeby przeleżeć w łóżku przynajmniej tydzień. Tylko moja głowa pamiętała o tym, że już najwyższy czas znaleźć Morleya Dotesa. Morley jest najlepszy we wszelkiego rodzaju rozróbach. I - jak sam twierdzi - jest także najlepszy we wszystkim innym, co robi. Są tacy, którzy chcieliby ujrzyć go i Saucerheada na jednym ringu, ot tak, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie. Żaden z nich jednak nie skrzywdzi nawet muchy, dopóki mu nie zapłacą. A Saucerhead nie jest taki głupi, żeby dać się naslać na Morleya. Ten również nie jest na tyle próżny, by zawrzeć kontrakt na głowę Saucerheada. Żadnego z nich nie obchodzi także, kto jest lepszy. Na tej podstawie można zatem sądzić to i owo na temat ich profesjonalizmu.

Jedynym i oczywistym miejscem pobytu Morleya jest tak zwany Dom Radości Morleya.

Nazwa tego przybytku to jeden z najgorszych dowcipów Dotesa. Takie sobie przytulisko dla elfowatych, karthów i pośrednich.

Żarcie serwują wegetariańskie i bez alkoholu, program rozrywkowy mają tak monotony i nieprzenikniony, że w zestawieniu z Morleyem życie martwego Loghyra jest wręcz podniecające. Jednakże Dotes i jemu podobni bawią się tam świetnie.

Zaledwie wszedłem do środka, w knajpie zapanowała kompletna cisza. Zignorowałem arsenał morderczych spojrzeń i pokuśtykałem do baru. Barman Morleya obrzucił mnie taksującym spojrzeniem i wyszczerzył spiczaste ząbki czarnego elfa.

- Masz chyba talent do budzenia w ludziach agresji, co, Garrett?

- Powinieneś widzieć tego drugiego.

- Widziałem. Przyszedł tu na małe co nieco. Nie miał nawet zadrapania.

Za moimi plecami na nowo rozbrzmiał gwar rozmów. Barman był tak przyjacielski, jak to tylko potrafią czarne elfy, co czyniło ze mnie marginalną, acz jako tako tolerowaną niższą formę życia. Coś w

rodzaju psa pijącego piwo w tawernie dla ludzi.

- Plotki już krążą, co?

- Wszyscy, którzy się tobą interesują w jakikolwiek sposób, znają już całą historię. Wyrównałeś rachunki w całkiem sprytny sposób.

- Aha. To już się rozniosło? I jak poszło?

- Dotarła do domu. Sądzę, że ta osóbką już więcej z tobą nie zadrze, Garrett. - Zachichotał tak, że ciarki mi przeszły po plecach. Na dźwięk takiego śmiechu zastanawiasz się, czy kiedykolwiek ockniesz się z koszmaru. - Następnym razem wynajmie kogoś, kto ci poderżnie gardło.

Taka możliwość też mi przyszła do głowy. Odnotowałem w myśli, że muszę przejrzeć mój podręczny arsenał. W normalnych przypadkach szybkość nóg uważam za wystarczającą ochronę, więc obładowuję się żelastwem jedynie w szczególnych sytuacjach.

A ten przypadek zaczynał mi wyglądać na szczególnie szczególny.

Truposz mnie ostrzegwał.

- Gdzie Morley?

- Na górze. - Pokazał palcem. - Zajęty.

Ruszyłem w stronę schodów.

Barman otworzył usta, żeby na mnie ryknąć, ale szybko przemyślał sprawę. To mogło wywołać zamieszki.

- Hej, Garrett, jesteś mi krewny pięć marek. Obróciłem się i wybałuszyłem na niego oko.

- Saucerhead kazał je ściągnąć z twojego rachunku - dodał.

- Taki wyszczerz jak twój powinien zostać odlany w brązie i przechowany dla potomności - odparowałem.

Wyszczerz zrobił się jeszcze większy.

- Ten wielki dureń nie jest taki głupi, na jakiego wygląda, nie?

Zsuwałem się ostrożnie po schodach, plecami do tłumu. Nie warto im pokazywać, co mam przy sobie. Lepiej, żeby tym łasym na forszę chłopakom nie wykluły się we łbach jakieś dziwne pomysły.

- Ani, ani. - Rzuciłem mu pięć monet i skierowałem się na górę, zanim przyszło mu do głowy, żeby znowu mnie zatrzymać.

Załomotałem do drzwi prywatnego apartamentu Morleya. Bez skutku. Rąbnąłem jeszcze raz, omal nie wyrwijając zawiasów.

- Wynoś się, Garrett. Jestem zajęty.

Wyważyłem ramieniem drzwi, które zresztą nie były zamknięte. Czyjaś żona zaskrzeczała i dała nura do drugiego pokoju, ciągnąc za sobą garść odzienia. Poza tym udało mi się jedynie dostrzec koniuszek dekoracyjnego ogona. Chyba go nie znałem.

Morley robił wszystko, żeby zachować na golasa elfie dostojęństwo, odziany tylko w skarpetki i wściekły grymas. Niezbyt mu się to udawało, chociaż jest półkrwi czarnym elfem.

- Jak zwykle, ładujesz się w najmniej odpowiednim momencie, że już nie wspomnę o manierach.

- Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Magia.

- Aha, magia, tu mi się zgina... - Wykonałem odpowiedni gest. - Nie potrafisz nawet sprawić, żeby jedzenie zniknęło ci z talerza, o ile te pomyje w ogóle można nazwać jedzeniem.

- Ach, ach, uważaj, co mówisz. Winien mi jesteś już jedne przeprosiny.

- Nie przepraszam. Mama robi to za mnie. Skąd wiedziałeś że to ja?

- Rura akustyczna z baru. Chłopie, ależ ty okropnie wyglądasz. Saucerhead musiał sprzedać tej dziwce swój towar eksportowy. Coś ty jej zrobił?

- Nie chciałem dla niej kłamać, oszukiwać i kraść. A potem jej odmówiłem, kiedy chciała mnie przekupić tym swoim wielkim napiwkim.

Wybuchnął śmiechem.

- Nigdy się nie nauczysz. Następnym razem wychędoż dziewczę i odejdz. Będzie siedziała i zastanawiała się, co było nie tak, zamiast wysyłać za tobą rzezimieszków. - Uśmiech zniknął mu z twarzy. - Czego chcesz, Garrett?

- Oferta pracy w sam raz dla ciebie.

- Mam nadzieję, że nic głupiego z Saucerheadem Tharpe'em w roli głównej.

- Nie. Jest robota, w której potrzebuję pewnego wsparcia. Powinienem podziękować Saucerheadowi za to, że mi przypomniał, iż muszę się z tym spieszyć, bo inaczej ucierpię na zdrowiu. Dla mnie pięć procent od stu tysięcy marek plus wydatki. Ty jesteś wydatkiem.

Zagwizdał bezgłośnie. Stulone wargi jeszcze bardziej uwydatniły

jego ciemne, ciosane rysy.

- Co mam robić? Porwać jednego z władców Venageti?

- Jesteś bliżej celu, niż sądzisz. Muszę jechać do Kantardu, znaleźć kobietę, która właśnie odziedziczyła ponad sto patyków. Muszę ją namówić, żeby przyjechała upomnieć się o forszę albo scedowała prawo na następnego spadkobiercę w linii.

- To nie wygląda źle, jeśli nie liczyć Kantardu.

- Wokoło kręcą się ludzie, którzy nie są pewni, czy zmarły miał prawo dysponować tą forszą. W jego rodzinie jest kilka osób, które czują głęboką niechęć do rozstania się z taką fortuną na rzecz obcej osoby. Podobne trudności mogą się pojawić ze strony spadkobiercy. Być może ich stosunki były, delikatnie mówiąc, nierozsądne.

- Lubię, kiedy zaczynasz gadać świństwa, Garrett. I uwielbiam patrzeć, co forsa potrafi zrobić z wami, ludźmi. To jedyna rzecz, która ratuje was przed całkowitą bezbarwnością.

Nie umiałem mu na to odpowiedzieć. Ludzie rzeczywiście głupieją na widok pieniędzy.

- Rozumiem, że twój szef sam ma w tym interes. Inaczej zapewne trzymałby z całą rodziną.

- Możliwe.

- Czy on jest tak samo bogaty jak ty?

- Możliwe. Zainteresowany?

- Możliwe.

Skrzywiłem się, a on wyszczerzył zęby.

- Powiedzmy, że na początek połączę trochę za tobą. Jesteś dość gadatliwym facetem. Powiem ci, kiedy usłyszę dość, by się zdecydować.

- Och, mam szczęśliwy dzień! Przyjemność z twojego towarzystwa, i to za darmo! Jasne, że tak.

- Kto powiedział, że za darmo?

- Ja. Nie ma roboty, nie ma forsy.

- Masz problem z zajęciem stanowiska, Garrett. Dobra, co teraz zamierzasz robić?

- Nadziać się pysznym stekiem. Zmarszczył nos i skrzywił się niemiłosiernie.

- Przez to czerwone mięso macie wszyscy taki dziwny zapach. Gdzie

się spotkamy?

Uniosłem brew.

- Mam jeszcze przed sobą parę nie dokończonych spraw - wyjaśnił obojętnie.

Zerknąłem na drzwi drugiego pokoju.

- Rozumiem. Jeszcze tu wrócę.

IX

Morley pieścił się tak długo, że niemal straciłem dobry humor, który wrócił mi za sprawą piwa i pełnego żołądka.

- Masz poważną wadę, Garrett. Wiąże się to chyba z twoim mniemaniem o sobie. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi powie coś głupiego, co akurat przyjdzie im do głowy, i ani myśli zastanawiać się, jak widzą to inni. Z tobą każde cholerne słowo to kontakt z bogami.

To była moja ulica. W moim domu paliły się światła.

- Możesz mówić całkiem bez zobowiązań, Garrett. Cholera, powinienś robić to co ja. Wierzyć w każde słowo, które akurat wypowiesz, jak w wyrocznię, a rano zapomnieć o wszystkim. Wrażenie szczerości liczy się bardziej niż rzeczywista prawdomówność. Ludzie chcą wierzyć tylko przez kilka minut. Wiedzą, co jest grane. Weź na przykład tę damę, z którą dzisiaj byłem. Czy ja ją kocham? A może ona mnie kocha? Nie, do pioruna. Nie chciałyby się ze mną pokazać publicznie. Ale i tak musiałem powiedzieć wszystko co należy.

Nie wiem, jak on na to wpadł, ale zaczął gadać bzdury, W gruncie rzeczy miałem to gdzieś.

- Jesteś na liście płac czy nie? - zapytałem. Spojrzał w moje okna.

- Towarzystwo?

- Na to wygląda.

- Może mają przyjazne zamiary?

- Moi przyjaciele mają lepsze maniery.

- O ile pamiętam, twierdziłeś, że nie masz żadnych przyjaciół. Wchodzisz?

- Tak. Idziesz za mną?

- Przynajmniej na razie. Moja sytuacja finansowa nie jest taka, jaka powinna być. Ostatnio miałem parę wpadek w tej dziedzinie.

- D'Guni znowu biega.

- Chcesz się szybko wzbogacić, Garrett? Zejdz nad jezioro i zobacz, jak postawiłem moją forszę. A potem postaw dokładnie na odwrót. Obojętnie, na jaką pluchę postawię, zaraz skręca na środek i kręci się w kółko, podczas gdy cała reszta kieruje się wprost na drugi brzeg. A jeśli już nie skręci, zaraz ją coś zeżre.

- Wyścig nie zawsze wygrywają najszybsi.

Tylko elfy obstawiają niemal przypadkowe wyniki wyścigów wodnych pajaków.

- Gotów?

- Ruszaj.

Drzwi były otwarte. Co za troskliwość. Dostrzegłem czterech. Dwaj siedzieli na moim łóżku, pozostała dwójka zajmowała moje jedyne krzesła. Trzech rozpoznałem jako weteranów kawalerii z bandy Denny'ego. Ten, którego nazywali Vasco, mógł być V. z jego notatek. Wszyscy razem starali się wyglądać na twardzieli.

Domyślałem się, że we własnym mniemaniu byli twardzielami. W końcu przeżyli Kantard. Nie mieli jednak tego szczególnego wyglądu, którego nabiera się, wyrastając na ulicy.

- Rozgoście się, chłopaki - powiedziałem. - Czujcie się jak u siebie w domu. Poczęstujcie się drinkiem. Mój dom jest waszym domem.

- Zobacz, czy jest uzbrojony, Quinn - odezwał się Vasco.

- Jest uzbrojony - oznajmił Morley zza moich pleców. - Możesz mi wierzyć na słowo.

Jeden z gości zachichotał.

- Patrz, Vee. Czarnuch mieszaniec przebrany za człowieka.

- Amatorzy - powiedział Morley.

- Amatorzy - zgodziłem się. - Ale wszyscy zawodowcy zaczęli kiedyś jako amatorzy.

- Niektórzy muszą ciężko zapracować na swoją wiedzę - oznajmił jeden z nich.

Chciał przez to powiedzieć, że każdy po ciemnej stronie prawa, kto tylko wie, co robi, powinien go znać. Vasco gestem ręki powstrzymał faceta o niewyparzonej gębie.

- Zdaje się, że masz pewne pojęcie, po co tu jesteśmy, Garrett. Jest jednak parę spraw, które powinienes naprawdę zrozumieć.

- Amatorzy - powtórzyłem. - Zawodowcy wiedzą, kiedy przegrali.

- Ta forsa nie należy do Denny'ego, Garrett. Przynajmniej nie więcej niż jedna trzecia.

- Zawodowcy nie wkładają wszystkich jaj do jednego koszyka i nie stawiają koszyka tam, gdzie go nie mogą osiągnąć. Na waszym miejscu, chłopaki, poszukałbym sobie innego zajęcia. Bez kontaktów

Denny'ego wasz stary będzie musiał przejść na hazard.

Vasco skrzywił się. Chyba wiedziałem za dużo.

- Z tej strony jesteśmy kryci. Musimy się tylko dobrać do papierów Denny'ego i nauczyć się jego stylu. Tamci wcale nie muszą wiedzieć, że on nie żyje.

Przemyśleli to. Może wcale nie byli aż tacy głupi.

- Co z nimi zrobiłeś, Garrett?

- Dochodzimy do sedna sprawy, co?

- Tak. Wyłożę ci to jasno. Możemy przeżyć stratę srebra, jeśli dostaniemy papiery, a ty będziesz się trzymał z daleka od Kantardu. Nie podoba nam się to, ale przeżyjemy. Radzę ci zatem, schowaj do kieszeni swoją zaliczkę i odejdz. Jeśli już bardzo chcesz pokazać, że coś robisz, opuść miasto na jakiś czas, a potem wróć i powiedz, że dziewczyny nie mogłeś znaleźć. Albo sfalszuj zrzeczenie się majątku.

- Brzmi nieźle - stwierdziłem. - Praktyczne rozwiązanie na każdą okazję.

Spojrzeli na mnie z ulgą.

- Cały problem polega na tym, że kiedy opuściłem Marines, postanowiłem, iż nigdy więcej nie pozwolę komukolwiek wtrącać się w moje życie. Byliście w wojsku, chłopcy; wiecie, jak to jest.

Zamurowało ich na chwilę. Wreszcie odezwał się Vasco:

- Garrett, wygląda na to, że już miałeś kiepski dzień. Nie chciałbym ci zrobić sińców na sińcach. Może jeszcze to sobie przemyślisz.

- Powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia. Ja też chyba dość jasno się wyraziłem. Lepiej, żebyście się wynieśli. Zazwyczaj nie jestem aż tak tolerancyjny, jeśli chodzi o nieproszone gości.

Vasco westchnął.

Takie westchnienie wydawał z siebie niegdyś mój sierżant musztry, kiedy rekrut był szczególnie uparty lub tępy.

- Quinn, uważaj na mieszańca.

Sprężyłem się. Przygotowałem się już do wykonania pierwszego ruchu.

- Odsuń się, Garrett. - Głos Morleya przepelniony był taką samą rozpaczą. - Przyszedł czas na odrobinę starej, elfickiej magii.

- Vee?

- Bierz go, Quinn.

Kiedy Morley wchodzi do akcji, wydaje się, że wyrasta mu około sześciu dodatkowych kończyn. Używa ich wszystkich w takim tempie, że oko ledwie nadąża. A kiedy nie kopie ani nie operuje pięściami, zaczyna gryźć, walić bykiem, ładować z biodra lub podbijać kolana.

Zaczął wysokim skokiem w górę, waląc Quinna - tup! lup! - obu piętami dokładnie między oczy. Bez lądowania przeleciał do następnej ofiary, a tymczasem Quinn zwinął chorągiewkę i przeniósł się do krainy marzeń.

Vasco rzucił się na mnie.

Pamiętałem, że nie należy się pakować w drakę z facetem równie dobrym jak ja, jeśli po ostatnim biciu ma się ciało posiniaczone i obolałe.

Złapał mnie w blok, który skończył się turlaniem po podłodze w niedźwiedzim uścisku. Przez cały czas usiłował uderzyć mnie czołem w skroń, ale udało mi się złapać go zębami za ucho i przygryźć. To go trochę ostudziło. Odskoczył ode mnie, a ja z pozycji leżącej machnąłem nogą i przyłożyłem mu piętą w tył głowy, aż miękko spłynął na podłogę.

Poderwałem się, złapałem nieboraka za fąfel na karku i siedzenie spodni, po czym wyprosiłem za drzwi przy akompaniamencie starej jak świat przemowy na temat zasmarkanych karłowatych wojaków, którzy nie potrafią raz na zawsze uznać wyższości swych naturalnych panów - Marines.

Dźwięk tłuczonego szkła sprawił, że pędem wróciłem do pokoju w sukurs Morleyowi.

Właśnie sprzątał swoją część roboty. Wzrokiem pokazał na Quinna.

- Bierz za drugi koniec i pomóż mi go wyrzucić.
- Rozwaliłeś moje okno.
- Za ten numer obciążę cię podwójnie, Garrett. Sprowokowałeś ich.
- Nie zapłacę ci, kurduplu. Wyrzuciłeś kogoś przez moje osobiste okno.

- Nigdy nie usłyszałeś ani słowa z tego, co mówiłem o prawdzie i szczerości. Miałeś doskonałą szansę na załatwienie sprawy, kiedy Vee zasugerował ci, żebyś zgarnął zaliczkę i zwiął. Ale nie! Brzydki Garrett ma za plecami Morleya Dotesa. Kłapie gębą jak starym workiem i prowokuje całą bandę do złego.

- Bez ciebie zrobiłbym to samo!

Przekrzywił głowę i spojrzał na mnie jak ptak na nieznanego sobie robala.

- Pragnienie śmierci. Skłonności samobójcze. Wiesz, co jest tego przyczyną, Garrett? Dieta. Właśnie tak. Ciężka od mięsa, ludzka dieta. Potrzebujesz więcej hartu. Nie zaprawiłeś się wystarczająco, bebechy wiążą ci się na supeł. A kiedy one wiążą ci się na supeł, wpadasz w ten niebezpieczny, samoniszczący nastrój.

- Jeśli mowa o bebechach, to chyba je z kogoś wypruję. Musiałeś koniecznie wywalić kogoś właśnie przez okno?

- Przestań z tym cholernym oknem!

- Wiesz, ile takie okno kosztuje? Masz chociaż blade pojęcie?

- Nawet jednej setnej tego, ile zapłacisz za tę robotę, jeśli zaraz nie przestaniesz skrzeczeć. Dobra! Następnym razem uprzejmie ich poproszę, żeby raczyli wyjść przez drzwi jak grzeczne dzieci. Daj spokój. Wybiegajmy to.

- Biegać? Dokąd? Dlaczego?

- Wyrobić tę nerwową energię. Uwolnić się od fluidów walki płynących w naszych żyłach. Pięć kilometrów powinno wystarczyć.

- Powiem ci zaraz, dokąd pobiegnę. Pobiegnę do łóżka. A potem będę się ruszał tylko tyle, żeby oddychać.

- Żartujesz. W takim stanie? Jeśli nie rozciągniesz mięśni, a potem nie ochłodzisz ich dokładnie, obudzisz się tak sztywny, że nie będziesz mógł zrobić kroku.

- Wiesz co? Przeleć te pięć kilometrów za mnie. Pomyślę o tym, żeby darować ci okno. - Runąłem na łóżko. - Przydałoby mi się z pięć litrów lodowatego piwa...

Morley nie odpowiedział. Już go nie było.

X

Bach! Bach! Bach!

Poranek to cudowna rzecz. Ma tylko jedną wadę: przychodzi o okropnie nieodpowiedniej porze dnia. W chwili gdy wszystkie ranne ptaszki świata aż palą się do swej misji przyniesienia radości oglądania wschodu słońca wszystkim narodom. Szczególnie mnie.

Bach! Bach! Bach!

Już drugi taki poranek. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem niechcący nie obraziłem Siedmiu Wielkich Diabłów z Modrel.

Odbębniłem zwyczajową litanie przkleństw i grózb. Nic nie pomogło.

Morley promieniałby, gdyby mnie zobaczył. Byłem tak sztywny, jak tylko mógł sobie zażyczyć. Zanim spuściłem stopy na podłogę i usiadłem, minęły trzy minuty.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, była zgnilozielona gęba średnicy pół metra, zaglądnąca przez wybite okno.

- Gleep! - zauważyłem z niezrównaną inteligencją. Gęba wyszczerzyła zęby.

Był to groll, hybryda człowieka, trolla i Gadającego Potwora, którego nazwy nigdy nie wymienia się w kulturalnej rozmowie. Czym prędzej także się wyszczerzyłem. Grolle mają powolny umysł i szybkie reakcje.

Wielki, ropuszy pysk otworzył się, dając ujście przerażającemu basowi, który stanowi ich namiastkę mowy. Nie pojąłem, o co mu chodzi. Zresztą i tak nie mówił do mnie.

Walenie w drzwi ustało.

- Cześć, stary - zaskrzeczałem i wywindowałem się do pozycji stojącej. Uznałem, że lepiej otworzyć, zanim cierpliwość grolla wyczerpie się i facet wejdzie przez mur.

Za drzwiami był drugi taki sam. Wyglądał identycznie: wielki, szeroki i paskudny. W skarpetkach miałyby z sześć metrów wzrostu... gdyby nosił skarpetki. Odziany był w niewiele więcej: pas z narzędziami, przepaskę biodrową i pusty stelaż na багаż.

Przepaska biodrowa wydawała się zbyt kusa, by nie obrazić

skromności postronnych.

Od tej pory będę ich obu nazywał: On, przez duże O.

Oba grolle zauważyły moje zakłopotanie i wyszczerzyły paszcze. Tak właśnie wygląda grollove poczucie humoru.

- Zaprosiłbym was, gdybyście się zmieścili - powiedziałem. Dla grolli lepiej być uprzejmym, bez względu na przekonania. Oczywiście, jeśli nie chcesz przemyśleć swojego stosunku do grolli przydepnięty zielonymi, pełnymi odcisków paluchami.

Mniejszy groll wysunął się przed większego.

- Ja się chyba zmieszczę - powiedział. - I chętnie napiję się czegoś.

- Kim, u diabła, jesteście?

- Ja w rzeczywistości mam na imię Dojango, a to są moi bracia, Marsha i Doris.

- Bracia?

- W rzeczywistości jesteśmy trojaczkami. Oczywiście, z innych matek - dodał w odpowiedzi na moje nie wypowiedziane pytanie.

Trojaczki z trzech różnych matek. Fajnie. Nie drążyłem tematu. Dość mam problemów z tym, co opowiadają mi ludzie. Reszta to niepotrzebne przemęczanie mózgu.

- Co tu robicie, do cholery?

- W rzeczywistości przysłała nas Morley Dotes.

- Po co? W rzeczywistości?

Jeden z wielkich grolli warknął na mnie.

Przy użyciu palców zdołałem uformować przyjazny uśmiech.

- Do pomocy w Kantardzie.

Główny sprawca, Morley Dotes, chyłkiem wśliznął się na scenę.

- A więc postanowiłeś wziąć robotę, co?

- W danej chwili istnieją pewne warunki dotyczące moich kredytodawców, z powodu których lepiej, abym był zatrudniony, i to jak najdalej poza miastem.

- Aha, i myślisz, że zbiorę pod parasol tak zwanych warunków wszystkich twoich kumpli. A jeśli mój pracodawca zapragnie wyznaczyć dno w rezerwie funduszy?

- Gdybyś użył przynajmniej połowy tego swojego zapyziałego łapaczowskiego mózdzku, błogosławiłbyś moją dalekowzroczność.

- Jeszcze za wczesny ranek, o Wielmożny Panie, abym pamiętał

własne imię.

- Pomyśl o mułach.

- Muły? Co do cholery mają z tym wspólnego jakieś muły?

- Jedziemy do Kantardu. Nikt nie zaryzykuje wynajęcia lub pożyczania nam jucznych zwierząt. Będziemy musieli je kupić. Z drugiej strony zarobek Dorisa i Marshy wyniesie mniej więcej tyle, ile zakup stadka dobrych mułów. A one mogą nieść dwa razy tyle i dwa razy dłużej. A poza tym przydają się w walce.

To miało sens. Brzmiało rozsądnie. Jednakże...

- A co z kolegą Dojango?

- Taak - westchnął Morley. - Dojango Roze. Cóż, Garrett, one nie chcą się rozdzielać.

Zdaje się, że zawyłem.

- Sprzedaż wiązana?

- Dojango potrafi walczyć białą bronią, wywachiwać wodę i znosić drewno na opał. Rozumie Dorisa i Marshę, a jeśli masz go na oku, potrafi nawet ugotować jadalny posiłek, nie zwęglając go zanadto.

- Staram się nie poślinić na samą myśl.

Obrzuciłem spojrzeniem trojaczki z różnych matek. Uśmiechały się przyjaźnie i po grollemu. Chyba myślały, że Morley mnie kupił.

- Trzymaj Dojanga z dala od soczku, i wszystko będzie w porządku - dorzucił Dotes.

Wszyscy wiedzą, że mieszańce mają słabe głowy. Uśmiech-wyszczesz Dojango stał się przepaszający.

- Ile mnie ten cyrk będzie kosztował?

Morley rzucił bezczelnie taką kwotę, że aż mnie zamurowało. Zatrzasnąłem drzwi i wróciłem do łóżka. Jeden z trojaczków musiał go podnieść, żeby mógł wyrzaskiwać swoje propozycje przez wybite okno. Udawałem, że lekko chrapię, dopóki nie zaczęły unosić się w powietrzu pewne apetyczne liczby całkowite. W istocie Morley był tak zgodny, że zacząłem się zastanawiać, jak paskudna jest jego sytuacja finansowa. Nie potrzebowałem więcej kłopotów.

- To twoja dieta powoduje ten kozi upór, wiesz o tym, Garrett? To okropne czerwone mięso pełne soków wzburzonych przerażeniem mordowanego zwierzęcia! A ty nigdy nie ćwiczysz, żeby je wypocić!

- Tak właśnie myślałem, Morley. Za dużo zimnego piwa i nie dość

zielonych, liściastych jarzynek!

- Bazie, Garrett. Bielutkie serduszka tuż przy korzeniach młodej rośliny, posiekane na sałatkę. Nie tylko smaczne, ale obdarzone niemal mistyczną zdolnością uwalniania dusz mięsożerców od poczucia winy.

- Gówno prawda.

Kiedy byłem w Marines, napadliśmy na wyspę, gdzie Venageti bardzo szybko odcieśli nas od statków i zapędzili na bagna. Bazie stanowiły główny element naszego pożywienia aż do chwili, gdy losy walki się odwróciły. Nie przypominam sobie, żeby w jakiś szczególnie sposób podziały na temperamenty naszych kaprali i sierżantów, którzy wydawali się dość mięsożerni, by pożreć własne małe. Raczej przeciwnie, i to w postępie geometrycznym.

Odbiliśmy sobie to na Venageti, kiedy przyszedł odpowiedni czas.

Może nie zacząłem jeść bazi wystarczająco wcześnie.

- Wiesz co, Morley, pewnego razu pracowałem dla profesora z uniwersytetu. Facet bez przerwy sypał faktami, czy kto chciał słuchać, czy nie. Raz stwierdził, że istnieje dwieście czterdzieści osiem gatunków jarzyn, owoców, zieleniny i korzeni, które są jadane przez ludzi. Świnie żrą jedynie dwieście czterdzieści sześć spośród nich. Nie tkną ani zielonej papryki, ani serduszek bazi. Oznacza to, że świnie mają więcej rozsądku niż ludzie.

- Nie ma sensu cię nawracać, co? Jesteś zdecydowany, żeby popełnić samobójstwo w zwolnionym tempie. Czy zatrudnisz chłopaków?

- Już są zatrudnieni. - Miałem nadzieję, że tego nie pożałuję.

- Kiedy możemy wyruszyć?

- Spiesz ci się, Morley? Musisz szybko opuścić miasto? To dlatego tak chętnie jedziesz do Kantardu?

Dotes wzruszył ramionami.

Ten gest stanowił dla mnie wystarczającą odpowiedź. Zważywszy talenty i sławę Morleya, musiał mu się dobrać do skóry ktoś naprawdę ważny. W moim mniemaniu tłum aż tak grubych ryb w tym mieście zawęzał się do jednej osoby.

- Od kiedy Kolchak gra na wyścigach pajaków, Morley? Natychmiast zniknął z okna.

- Jesteś o wiele za sprytny, Garrett, żeby miało ci to wyjść na zdrowie - usłyszałem jeszcze jego głos. Kiedyś wyjdzie ci to bokiem.

Będę w kontakcie. Idziemy, wy, woły! Dojango! Zostaw to, Doris! - wrzeszczał jak mulnik, próbujący zmusić zaprzęg do jazdy.

Wróciłem do łóżka i zacząłem się zastanawiać, czy nie lepiej wykorzystać część forsy Tate'a na wstawienie nowej szyby. Może czegoś jaskrawego, z kolorowym nazwiskiem wtopionym w szkło.

XI

Ten cholerny stary wszechświat nie ma pojęcia o znaczeniu słowa litość, przynajmniej w stosunku do mnie. Zaledwie chrapanąłem sobie smacznie, drzwi znowu zaczęły drgać jak talerz perkusji.

- Muszę w końcu coś z tym zrobić - mruknąłem, kiedy spadłem na podłogę. - Na przykład przeprowadzić się i nie powiedzieć o tym nikomu.

Dwaj z nich musieli zderzyć się z czymś twardym, bo byli cali posiniaczeni i obandażowani, a jeden miał nawet rękę na temblaku.

- Co się stało?

- Nieprzyjaźnie nastawieni goście. Willard chciałby z tobą o tym pogadać.

- Dobra. Zaraz będę gotów.

Zamarudziłem tylko tyle, żeby zrobić z siebie ludzką istotę, łyknąć trochę wody i wziąć do garści wzmocniony ołowiem argument.

Willard Tate był kompletnie roztrzęsiony. Czekał, załamując ręce. Przez całe życie tylko słyszałem to wyrażenie, ale pierwszy raz widziałem zrozpaczoną istotę, jeśli nie liczyć starych panien, dla których każdy oddech jest ściskającym serce dramatem.

- Co się stało?

Wujcio Lester milczał jak ryba. Może się bał, że zwinę żagle, jeśli dowiem się zbyt wiele. Tate chwycił moją rękę w dłonie i potrząsnął z całych sił.

- Dziękuję, że pan przyszedł. Dziękuję. Nie wiedziałem, co mogę z tym zrobić.

- Co się stało? - zapytałem znowu, kiedy uczeplił się mojego ramienia i zaczął mnie ciągnąć jak uparte dziecko.

Lester i chłopcy podążyli za nami. Po drodze dostrzegłem w ogrodzie bladą jak trup Różę. Skierowaliśmy się do pokoju Denny'ego.

Tate nic nie powiedział. Pokazał mi.

Pomieszczenie było jedną wielką ruiną. Uczniowie ciągle jeszcze sprząтали. Kilku z nich miało na sobie bandażę i siniaki. Jakaś mądra dusza zabarykadowała wejście od ulicy, zabijając drzwi deskami.

Tate wskazał palcem.

Ciało leżało na brzuchu pośrodku pokoju, z jedną ręką wyciągniętą w stronę drzwi.

- Co się stało? - zapytałem. Trzeci raz podział jak zakłęcie.

- To się stało około północy. Postawiłem chłopców na straży, na wszelki wypadek. Zdenerwowałeś mnie tym, co powiedziałaś. Pięciu ludzi włamało się, przez drzwi od strony ulicy. Chłopcy byli sprytni. Ode przyszedł i wszystkich pobudził. Inni schowali się i pozwolili, żeby włamywacze zeszli na dół. Przyłapaliśmy ich, kiedy próbowali wyjść. Chcieliśmy ich tylko złapać, ale oni wpadli w panikę i zaczęli walczyć. Nie obawiali się, że mogą nas skrzywdzić. A teraz mamy to na głowie.

Przykłęknąłem i spojrzałem w twarz nieboszczyka. Zaczął już pęcznieć, ale wciąż jeszcze można było dostrzec zadrapania i skaleczenia, które zarobił w czasie lotu z mojego mieszkania przez zamknięte okno.

- Ukradli coś?

- Sprawdziłem - wtrącił Wujcio Lester. - Całe złoto i srebro jest na miejscu.

- Nie przyszli po złoto i srebro.

- Co?

Wszyscy Tate'owie są inteligentni, ale starannie się z tym kryją. Może to jedynie choroba biznesmena.

- Szukali papierów Denny'ego. Listów od tej kobiety. Postarałem się, żeby wszystko ukryć, ale coś mogłem przeoczyć. Te listy mogą być więcej warte niż cała forsa, którą mogliby stąd wynieść.

Stary Tate wyglądał na zaskoczonego, więc opowiedziałem mu o mojej rozmówce z kolesiami Denny'ego. Nie chciał uwierzyć.

- Ależ to...

- Konszachty z wrogiem, jeśli przestaniemy owijać w bawełnę i spojrzymy na nagie fakty.

- Znam mojego syna, panie Garrett. Denny nie zdradziłby Karenty.

- Czy ja coś mówiłem o zdradzie?

- Nie, ale pomyślałem. Głównie w kontekście tego, co się stało z ludźmi dość głupimi na to, by dać się przyłapać na konszachtach z Venageti. Nie mam w tym względzie żadnych oporów moralnych. Wojna jest potyczką dwóch gangów szlachty i czarnoksiężników,

którzy starają się przejąć kontrolę nad kopalniami srebra. Ich posiadanie dałoby właścicielowi niemal władzę nad światem, ale motyw wojny nie jest ani trochę ważniejszy niż w wypadku awantur między gangami ulicznymi w TunFaire.

Jestem Karentyńczykiem, więc wołałbym, aby wygrał gang rządzący moim krajem. Lubię być zwycięzcą. Każdy to lubi. Nie rozdieram jednak szat, jeśli ktoś oprócz szlachty skorzysta co nieco z zamieszania. Wyjaśniłem to Tate'owi.

- Problem polega na tym, że łącze wciąż istnieje - tłumaczyłem. - I paru niezłych twardzieli stara się utrzymać taki stan rzeczy, co oznacza, że nie życzą sobie, abyśmy się wtrącali. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Więc potrzebują papierów, listów i czego tam jeszcze Denny'ego, żeby utrzymać kontakt z kobietą.

- Szybko łapiesz, o co chodzi, Papciu. Puszczą wszystkie skarby za te listy, w których Denny wciąż będzie żył, choć ich nigdy nie napisał.

Przetrawił to sobie. Walczyły w nim dwie siły: jedna - popychająca go do zagrabienia wszystkiego, póki w ogóle jeszcze coś zostało, druga - powodująca jego ośli upór. Może gdyby był nieco biedniejszy... no ale gdzieś po drodze podjął już decyzję i trzymał się jej jak ostatniej deski ratunku. Zmienione okoliczności nie były w stanie nim zachwiać.

- Chcę się spotkać z tą kobietą, Garrett.

- To twój kark - stwierdziłem, usiłując zawiesić znacząco głos - i twojej rodziny. Tym lepem na muchy mógłby być jeden z twoich chłopców. - Wskazałem na trupa.

Teraz do niego dotarło. Nadął się. Jego twarz przybrała purpurową barwę, a oczy wyszły mu na wierzch, co w wypadku pół-elfa stanowi niezapomniany widok. Zaczął się trząść.

Nie uległ jednak. W jakiś sposób udało mu się opanować.

- Ma pan rację, Garrett - przyznał wkrótce. - To ryzyko nie przemyślane przeze mnie do końca. Jeśli, jak pan mówi, ci ludzie byli kumplami Denny'ego, którzy przeżyli Kantard, mamy kupę szczęścia, że nie zginęło kilku moich chłopców.

- Jak powiedziałaś, ogarnęła ich panika. Chcieli po prostu zwiać. Ale następnym razem mogą zacząć szukać guza.

- Uważa pan, że będzie jakiś następny raz? Kiedy już raz omal ich nie złapano?

- Zdaje się, że nie rozumie pan, co tu jest stawką, panie Tate. W ciągu ośmiu lat Denny wraz z tymi facetami przemienił garść zdobyczej forsy w fortunę - sto tysięcy marek - plus oczywiście wszelkie rozrywki, jakie im się przytrafiły po drodze, ale o tym nie wspominałem. - Nie chciałem odzierać ze złudzeń staruszka. - Niech pan tylko pomyśli, co mogliby zdziałać z takim kapitałem przez następne osiem lat.

Przyskrzyniono by ich zapewne. Bogactwo ściąga uwagę. Myślę jednak, że Denny wiedział o tym i odpowiednio korygował plany.

- Może i nie, panie Garrett. Jestem tylko szewcem. Moim obszarem zainteresowań jest rodzina i synowie, a także rodzinna tradycja, która przetrwała więcej pokoleń, niż można zliczyć. Tradycja, która umarła wraz z Dennym.

Co za rozpaczliwy stary nudziarz. Uważam, że rozumiał doskonale. Po prostu już go to nie obchodziło.

- Jest pan zatem pewien, że powrócą?

- I będą ziać ogniem, Papciu.

- To mnie zmusza do podjęcia pewnych kroków.

- Jedynym krokiem, jaki powinien pan podjąć, jest ugoda.

- Nie z tymi świniami. Oni... wraz z tą kobietą... uwiedli mi syna...

Wyłączyłem odbiór i skierowałem uwagę na piwnicę. O ile mogłem stwierdzić, nic się nie zmieniło. Z tego wynikało, że raczej nie znaleźli niczego, co mógłbym przeoczyć.

- Słucham? Przepraszam, zamyśliłem się.

Spojrzał na mnie tak, jakby wiedział dlaczego. Nie mógł jednak powiedzieć nic paskudnego, mając nóż na gardle.

- Pytałem, czy zna pan kogoś zaufanego, kogo mógłbym postawić na straży majątku.

- Nie.

Znałem kogoś takiego. Siebie. Ale miałem po dziurki w nosie zimnych, samotnych nocy, spędzonych na oczekiwaniu na coś, co nigdy się nie wydarzy, a kiedy już się stanie, będzie naprawdę zabójcze.

- Czekaj - tknęło mnie. - Mam kogoś. Ludzie, którzy wraz ze mną jadą do Kantardu. Chyba oddam przysługę nam obu, jeśli zdołam ich tu ulokować.

I Morleyowi także, o ile wybawi go to z opalów. Tate zrobił głupią minę.

- Więc jednak pan jedzie? A wydawało się, że był pan zdecydowanie przeciwny.

- I dalej jestem przeciwny. Decyzja o tej podróży może się okazać mniej więcej tak rozsądna jak nurkowanie w kłębowisku zmij. Nie wiem nawet, czy to ma sens. Powiedziałem jednak, że się przyjrzę. Tak naprawdę to jeszcze nie zdecydowałem ani w jedną, ani w drugą stronę.

Uśmiechnął się. Potem wyszczerzył zęby. Obawiałem się, że spróbuje poklepać mnie po plecach i odbije mi nerkę. Powstrzymał się, na szczęście. Ten staruszek Tate jest rzeczywiście bardzo opanowany.

Spowaźniał nagle.

- Co może pan zrobić z ciałem tego mężczyzny, panie Garrett? Spodziewałem się, że prędzej czy później do tego dojdziemy.

- Nic.

- Co?

- Nic. To nie moja sprawa.

Staruszek głośno zachłysnął się powietrzem. Potem jednak na paluszkach zakradł się do jego duszy cwany kupczyk.

- Chce pan ode mnie premię? Nie ma sprawy. Ile?

- Proszę nie robić sobie kłopotu. Nie ma pan tyle. Palcem nie dotknę tego sztywnego. Nie należy to do mojego zakresu działania. Moja rada jest taka: wezwać urzędasów i niech oni się tym zajmą. Pan będzie czysty. Zabity podczas próby włamania.

- Nie. Nie chcę, żeby ktokolwiek wtykał nos w moje rodzinne sprawy.

- Więc weź pan chłopców i niech wrzucą go do rzeki albo zostawią w jakiejś alejce na dole.

Niemal co rano znajdowano w rzece jakieś zwłoki. W alejkach także. Nie wywoływało to szczególnych komentarzy, chyba że był to ktoś ważny.

Tate stwierdził, że nie może mnie osiągnąć przez moją chciwość. Dał spokój.

- Więc niech pan tam idzie i przyśle ludzi najszybciej, jak tylko można. Mam kupić roboty. Proszę mnie informować.

I tyle go widziałem.

Powęszyłem jeszcze trochę, dumając, czy zły błysk w oku Tate'a nie oznacza przypadkiem, że staruszek zechce ozdobić nieboszczykiem Morleya i trojaczki.

XII

Z powały znowu sypał się pył. Zauważyłem to już kilka razy przed odejściem Tate'a. Zdaje się, że słodka Różyczka znowu rozwiesza uszy. Zignorowałem to.

Szukałem i patrzyłem, ale nie mogłem stwierdzić, żeby czegoś brakowało. Usiadłem na chwilę, by wszystko przemyśleć. Z daleka śmierdziało potencjalnymi kłopotami. A ja zbliżałem się do momentu, w którym musiałem wreszcie podjąć prawdziwą decyzję.

Lokalny punkt siatki poradzi sobie sam. Nie mam tu czego szukać. Z drugiego jednak końca...

Nie chciałem jeszcze o tym myśleć. Bez względu na to, jak gładko potoczyłyby się sprawy, historia wyglądała nieprzyjemnie. Nieprzyjemna będzie już sama podróż i wizyta w Kantardzie.

Na górze ktoś otworzył i zamknął drzwi. Chwilę potem usłyszałem rozmowę dwóch kobiet, z których jedną, tą o kłótliwym głosie, na pewno była Róża. Zaintrygowało mnie, do kogo należy drugi głos.

Schodziła do piwnicy, zaanonsowana rozkosznym zapachem. Okazała się ognistym rudzielcem o prostych, długich włosach, zielonych jak nefryty, kilku piegach na buzi i dużych, twardych piersiach dumnie sterczących pod jedwabną bluzką z falbankami. Pomiędzy nimi a bluzką nie było niczego oprócz moich marzeń.

- Gdzie oni cię chowali? - zawołałem, podskakując do niej, by wziąć tacę ze śniadaniem. - Kim jesteś?

- Mam na imię Tionie. A ty Garrett. Kiedy widziałeś mnie po raz ostatni, byłam smarkulą na patykowatych nóżkach. - Spojrzała mi prosto w oczy i uśmiechnęła się. Jej równe białe ząbki wyglądały na ostre. Miałem ochotę wyciągnąć rękę, żeby mnie ugryzła.

- Wciąż jeszcze możesz mieć patykowate nogi, sądząc po tym, co widać spod spódnicy.

Spódnica sięgała jej do kostek. Uśmiech Tionie stał się nieco bezczelny.

- Może będziesz miał szczęście i kiedyś je sobie obejrzysz. Nigdy nic nie wiadomo.

Moje szczęście zeszło po schodach właśnie w tym momencie.

- Tionie! Zrobiłaś już, co do ciebie należało. Wynoś się. Udaliśmy, że nie słyszymy.

- Nie jesteś chyba siostrą Denny'ego? - zapytałem rudowłosą. - Nigdy o tobie nie wspominał.

- Jestem jego kuzynką i o mnie się nie mówi. Sprawiam kłopoty.

- Tak? Myślałem, że to specjalność Róży.

- Róża jest po prostu nieznośna. To im nie przeszkadza. Róża obraża ludzi lub doprowadza ich do szału. Ja sprawiam, że sąsiedzi plotkują.

Róża zabulgotała i poczerwieniała. Tionie mrugnęła do mnie.

- Do zobaczenia, Garrett.

Aha, chciałbym. Ta okruszynka była kobietą w wystarczającym stopniu, żeby normalny facet przysiadł na tylnych łapach i wył do księżycy. Ślicznie zamiotła kuperkiem, mijając Różę, po czym weszła na schody.

Jeśli przyjrzeć się uważnie i nie brać pod uwagę osobowości głodnej modliszki, Róża także była osobką, na której warto zawiesić oko. Jawiła się jako śliczny pakunczek wypchany w jak najbardziej właściwych miejscach i wykonany z materiałów w najlepszym gatunku. Róża również kręciła odwłokiem w sposób obiecujący fajerwerki - jeśli tylko chciała. Ale jej fajerwerki z reguły urywały głowę.

Łypaliśmy na siebie jak dwa kocury gotowe do walki i oboje doszliśmy do wniosku, że to, co jej przyszło do głowy, tym razem także nie ma szans powodzenia. Była sfrustrowana, bo nie wymyśliła nic innego.

- Jeśli się na coś porywasz, lepiej mieć chronione tyły - rzuciłem od niechcenia. - Na przykład przez Saucerheada Tharpe'a.

- Racja, Garrett, ale i tak niech cię szlag trafi. Jak dożyłeś swoich lat, będąc takim uparciuchem?

- Dzięki temu, że najczęściej miałem rację. Nie byłabyś takim złym dzieckiem, gdyby w twoim świecie znalazło się miejsce dla drugiej osoby.

Przez kilka sekund miałem wrażenie, że ona naprawdę chciała, żeby ktoś inny znalazł się w jej świecie.

- Szkoda, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach - mruknęła.

- Aha - odparłem, choć wcale tego nie czułem. Byłaby problemem w każdych okolicznościach. Taka się po prostu urodziła.

- Nie mamy chyba żadnych wspólnych tematów, co?

- Niewiele. Chyba że nabierzesz jakiegoś uczucia do swojego brata. Lubilem Denny'ego. A ty?

Chyba trąciłem jakąś strunę. Nareszcie.

- To nie w porządku, że tak sobie umarł. Był najmilszym facetem, jakiego znałam. Nawet jeśli to mój brat. Ta kantardzka dziwka...

- Spokojnie! - wtrąciłem ostro, zdradzając się na tyle, żeby dać jej sporo do myślenia.

- A co to oznacza dla ciebie, Garrett? Nie licząc, naturalnie, kupy forsy w kieszeni? Nikt nie jedzie do Kantardu wyłącznie dla samej gotówki.

Kiedy to powiedziała, pomyślałem o Morleyu Dotesie. Pomyślałem o sobie. Zastanowiłem się nad sobą. Garrett - twardziel, superman. Nieosiągalny. Bez uczuciowych przecieków. A teraz gotów byłem zrobić coś, czego nie zdecydowałby się uczynić żaden łotr przy zdrowych zmysłach.

Jak staruszek Tate, chciałem sobie obejrzyć kobietę, która potrafiła nałożyć cugle Denny'emu. Wymieniliśmy spojrzenia. Róża stwierdziła, że nie ustąpię ani na milimetr.

- Uważaj, Garrett. Nie daj się zabić. Zajrzyj do mnie, jak to wszystko się skończy.

- Nic z tego nie wyjdzie, Rózo.

- Może byłoby zabawnie choć spróbować. Pożegłowała ku schodom. Z tej perspektywy wyglądała nieźle. Może...

W sekundę potem, gdy drzwi za nią się zatrzasnęły, a mój zdrowy rozsądek rozpaczliwie walczył o życie, ze szczytu schodów spojrziała na mnie okolona miedzią buzia.

- Nawet o tym nie myśl, Garrett. Nie kochałabym cię ani trochę. Tionie także zniknęła.

Zachłysnąłem się powietrzem, zabalgotałem raz i drugi, a potem zebrałem oszalałą sforę myśli.

Kiedy wszedłem na schody, Tionie już nie było. Zostałem sam z nieboszczykiem, kumplem Denny'ego. W ogrodzie także nie było nawet śladu po Róży czy Tionie. Zamknąłem drzwi i przejrzałem

kieszenie zabitego.

Jakiś padlinożerca zawitał tu już przede mną. Kieszenie były puste.

XIII

Staruszek Tate w jakiś sposób pozbył się ciała. Chyba wrzucił je do rzeki, tak mi się przynajmniej wydaje. Nie pytałem, nikt też nie pisał ani słowa na ten temat. Wielu ludzi, o których słuch zaginął od dawna, wybrało się na taką właśnie samotną kąpiel.

Umieściłem Morleya i trojaczki u Denny'ego. Morley uznał to za świetny pomysł. Podzielałem tę opinię, toteż wybrałem się wieczorem do jego mieszkania i, świdrowany oczami mieszkańców-dziwolągów, usiłowałem wywęszyć jakikolwiek powód usprawiedliwiający zapał, z jakim Morley dołączył do tej szalonej wyprawy.

Nawet blask świec nie rozjaśnił mi w łepetynie. Zorientowałem się tylko, że nie jestem jedynym obserwatorem.

W takiej pracy jak moja możesz dość szybko wyhodować sobie szósty zmysł. Natychmiast odkryłem dwa egzemplarze wagi co najmniej ciężkiej. Jeden był człowiekiem i wyglądał tak, jakby mógł się zmierzyć z Saucerheadem Tharpe'em. Drugi dał tak paskudnie i tak dokładnie wcisnął się w kąt, że nie w stanie powiedzieć, co to za jeden. Prawdopodobnie mieszaniec z krwią trolla lub kobolda w żyłach, a może nie tylko. Równie szeroki jak wysoki. Urodę miał prrefasonowaną, i to chyba wielokrotnie, za każdym razem na lepsze.

Barman orientował się, że łączą mnie jakieś interesy z Morleyem i pozostał uprzejmy. Zapytałem go o tych dwóch.

- Nie znam - odpowiedział. - Ten szpetny był tu już wczoraj. Przesiedział cały wieczór, przytulony do piwa, które przyniósł ze sobą. Wyrzuciłbym go na zbity pysk, gdyby nie zamówił posiłku.

- To byłby ciekawy widok. - Wychyliłem kufel wody, która tu uchodziła za piwo i dałem barmanowi napiwek, żeby uspokoić jego sumienie. - Myślisz, że to ludzie jakiegoś lokalnego kacyka?

- Nie, chyba że są spoza miasta.

Tak właśnie myślałem. Nie rozpoznałem ich, ale wyglądali jak wcielenie kłopotów. Cóż, guzik mnie to obchodzi, póki nie interesują się moją skromną osobą.

Dałem spokój, wykończyłem wodę i ruszyłem do apartamentu Morleya. Było tam kilka miejsc, gdzie mogłem spokojnie przyłożyć

ucho do podłogi. Sprawdziłem kilka z nich i niczego się nie dowiedziałem.

Ciekawe.

Poszedłem do siebie. Po drodze zastanawiałem się, czy szklarz już zaczął robotę. Rachunkiem za wstawienie szyby bezwstydnie obciążyłem starego Tate'a.

Nowe okno było na miejscu, literki wyglądały ślicznie jak blondyneczka w niedzielnej sukience. Minąłem je jednak, nie przyglądając się uważnie. Przygarbiłem się, zacząłem powłóczyć nogami.

Chyba jednak nie pójde do domu.

Były pewne problemy. Po pierwsze, ktoś stał przy wywietrzniku obok drzwi szczurołapa. Czuję smród tytoniu, który palił choć nie widziałem ognika fajki. Po drugie, ktoś czekał w środku. Ktokolwiek to był, zapalił wszystkie lampy, szafując olejem, tak że dostałem wysypki na wątrobie.

Znałem takiego namiętnego palacza. Jeszcze jeden kumpel Denny'ego. Kolejny stary żołnierz nazwiskiem Barbera. Palił tyle, że przez większość czasu nie wiedział, czy znajduje się na tym świecie, czy już na drugim. Żaloszny typ, zawsze po uszy w kłopotach, ponieważ można go było namówić dosłownie do wszystkiego. Denny opiekował się nim, podobnie jak innymi.

Rozpłynąłem się w cieniu domu i przysiadłem pod ścianą, która wyraźnie domagała się uszczelnienia. Widok na moje mieszkanie był mniej więcej tak malowniczy jak obraz przedstawiający wysypisko śmieci.

Przez długi czas panował intensywny spokój, jeśli nie liczyć rozbłysków, kiedy mój strażnik zapalał fajkę, ani przejścia pijaków tak zaprawionych, że nawet nie bali się pogrążonych w mroku ulic. Dopiero kiedy poczułem na twarzy aromatyczne światło księżyca, zaczęło się dziać coś ciekawego. Parka facetów szeptała z moim palaczem.

Przeszli obok, nie zauważając mnie. Za to ja przyjrzałem im się dość dokładnie. Vasco i Quinn, starzy znajomi. Chcieliby mi zrobić krzywdę, co?

Nie poruszyłem się, choć miałem ochotę zmieść kilka łbów.

Zastanowiło mnie jednak to światło. Vasco i Quinn nie próbowali rozmawiać z tym kimś w środku, kimkolwiek był. Może ten ktokolwiek nie należał do ich bandy?

Kimże więc był?

Mój przyjaciel szczurołap wrócił ze swojej zmiany na cmentarzu, pijany jak zwykle. W chwilach kiedy opuszcza mnie litościwy nastrój, chętnie bym go widział, jak wpada do jednej z wykopanych przez siebie dziur.

Podszedł do mojego nowego okna i zajrzał do środka.

Cokolwiek zobaczył, musiało to być ciekawe. Patrzył aż przez minutę. Potem, przesuwając się, rzucał wokoło spłoszone spojrzenia. Nie spostrzegł nikogo, i to musiało dodać mu odwagi. Wyciągnął rękę i na próbę przycisnął klamkę.

Drzwi się uchyliły.

Z cienia wytoczył się Barbera i rzucił na szczurołapa, po prostu włączając mu na kark. Kiedy stłukł go do wysokości około jednego metra, przestał i ruszył w moją stronę.

Mała wiadomość dla mnie od kumpli Denny'ego. Pomyłka doręczyciela. Uznałem, że przydałaby się odpowiedź.

Wynurzyłem się z cienia, kiedy Barbera mnie mijał. Zauważył mnie kątem oka. Powiedziałem „Hej, tam” i przejechałem go po skroni moją pałą. Oczy wyszły mu z orbit. Próbował się obrócić.

Nie upadł. Tylko kolana mu zmiękły i oczy zasnuły się mgłą. Kopnąłem go z dołu, poprawiłem pięścią od góry i walnąłem pałą w czoło, aż odskoczyła. Zaczął się trochę ślaniać na nogach.

Kiedy są na haju, trzeba się z nimi mocno napracować.

Dałem mu wszystko, czego potrzebował, i jeszcze trochę, a kiedy już nie wiedział, na jakiej planecie się znajduje, złapałem go za siedzenie spodni i wyprowadziłem w alejkę, gdzie obdarowałem go paroma ciosami mojej maczugi. Potem zabrałem mu kapciuch z tytoniem.

W chwilę później wynająłem półkarła, półgoblina, żeby zaniósł ten kapciuch Vasco. Dołączyłem wiadomość, że palacz nie wywiązał się z zadania.

Teraz już spokojnie mogłem zająć się moim intruzem.

Nie było żadnego zajmowania się. Zaledwie zdążyłem dojść do miejsca, z którego mogłem widzieć moje mieszkanie, ujrzałem, jak

wdziera się do niego grupka Tate'ów, depcząc po jęczącym szczurołapie, jakby był końskim łajnem. Po chwili wyszli, ciągnąc za sobą wściekłą Tionie.

Jasne. Takie właśnie mam zasrane szczęście. Kiedy już znajdę garnek złota po drugiej stronie tęczy, muszę złamać nogę o dziesięć kroków od niego i patrzeć, jak jakiś błazen go zabiera. I mogę sobie tylko pojęczeć.

Odczekałem, aż ulica opustoszeje. Potem zafundowałem sobie wiadro piwa i zamknąłem się w domu. Nikt mi nie przeszkodził.

XIV

Miałem zamiar zaskoczyć wszystkich i pojawić się u Tate'a bladym świtem, gotów wyruszyć w podróż. Niestety, przyśniły mi się kości Loghyra.

Może to piwo. To zielone. Mimo to nie powinienem zignorować snu. Równie dobrze mogło to być wezwanie od Truposza.

Jedyną wadą wstawania o świcie jest obecność słońca. Dostajesz po oczach, a kiedy znowu wchodzisz do pomieszczenia, nie widzisz kompletnie nic.

Właśnie takie kompletne nic zobaczyłem, wchodząc do mieszkania Truposza. Było ciemno jak w krypcie.

Najwyższy czas, Garrett. Szedłeś przez Khaphé?

- To nie był sen, co? Nie.

- O co ci chodzi?

Nie mam możliwości śledzić z oddali wszystkich twoich przygód. Jeśli chcesz mojej rady i pomocy, musisz od czasu do czasu składać mi raport.

Doszedłem do wniosku, że w jego wykonaniu słowa te znaczyły tyle, że jestem jego własnością. Cóż, jak dają, to brać...

- Co ci interesuje?

Szczegóły tego, co zobaczyłeś i usłyszałeś od czasu twoich ostatnich odwiedzin.

Przekazałem mu wszystko, nie omijając niczego. Myślał przez dłuższą chwilę.

Kup sobie kilka pierścieni z trucizną. Noś nóż w butce. To nie była rada, której się spodziewałem.

- Po co?

Czy znany jesteś z takich zabezpieczeń?

- Nie.

Więc rób to, czego się po tobie nie spodziewają.

- I po to tłukłem się aż tutaj?

To najlepsze, co mogę zrobić, opierając się na otrzymanej od ciebie informacji.

Niech to będzie moja wina. Dokładnie w jego stylu. Zrobiłem trochę

koło niego, posprzątałem pokój i zapaliłem kilka świec siarkowych, żeby wzmocnić płuca robactwu. Zacząłem się zastanawiać, co sądzi Morley o oddychaniu powietrzem. Wdychanie zielonych, liściastych jarzynek może być trochę kłopotliwe.

Zastosowałem się do rady Truposza. Zgromadziłem nieco śmiertcionośnego sprzętu. Wziąłem nawet kilka petard, które pamiętałem jeszcze z czasów Marines. No, niech teraz spróbują zbliżyć się do mnie, pomyślałem. Jestem gotów na wszystko.

Konie. Stanowią jedną z tych drobnych niedogodności, które trzeba znieść, kiedy się wyrusza w długą podróż. No, chyba że chcesz iść pieszo. Morley Dotes darzy ten rodzaj ćwiczeń wielką estymą, co oznacza, że wiąże się on z bólem fizycznym. Osobiście nie należę do osób zainteresowanych dobrowolnym zadawaniem sobie bólu lub innych cierpień. Wybrałem się do znajomego kwatermistrza, czarnego wielkoluda, przez wszystkich zwanego Kolesiem. Był człowiekiem, ale gdzieś po drodze musiał otrzymać trochę obcej krwi. Miał około trzech metrów wzrostu. Nasączone kolorem blizny klanowe na policzkach nadawały mu wygląd wściekłej bestii, ale w rzeczywistości był słodkim facetem, najmiłszym, jakiego może wydać ludzki ród.

Ponure rysy rozjaśniły się na mój widok, gdy tylko znalazłem się na dziedzińcu. Podeszedł do mnie z szeroko rozpostartymi ramionami, szczerząc zęby, jakbym zamierzał kupić konie dla całego batalionu. Uchyliłem się. Mógłby mnie zmiażdżyć w uścisku. Gdyby miał instynkt mordercy, mógłby zbić fortunę jako zawodowy zapaśnik.

Kiedyś oddałem mu pewną przysługę. Moja interwencja u faceta, który nie chciał płacić, uratowała Kolesia od bankructwa. Jasne, zawdzięczał mi małą fortunę, ale jego uśmiech nie był przez to ani trochę szerszy, niż gdybym był przechodniem wprost z ulicy.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Garrett? Powiedz, i już to masz. Na mój rachunek. Co tylko chcesz.

- Potrzebuję kilku koni i sprzętu obozowego dla pięciu ludzi na trzy do czterech miesięcy.

- Już je masz. Wybierasz się spróbować szczęścia w wędrówce? Aż tak źle ci idzie?

- Mam robotę. Dlatego muszę wyjechać z miasta.

- Trzy, cztery miesiące to kawał drogi w tę i z powrotem. Dokąd się

wybierasz? - Skierował się do stajni, gdzie cały klan czworonożnych morderców, których krew aż kipiała od złości, czekał tylko na moje przybycie.

- Do Kantardu.

Niezbyt dogaduję się z końmi. Potrafię jeździć konno, ale nie bez kłopotów i tylko wtedy, kiedy muszę. Jestem chłopakiem z miasta i nigdy nie starałem się włączyć ze zwierzakami, które w dodatku za coś tam mnie organicznie nie lubią.

Koleś zwolnił. Spojrzał na mnie wzrokiem, którym obdarza się z reguły wyjątkowo durnego kuzynka, mówiącego właśnie coś jeszcze głupszego niż zwykle.

- Kantard? Garrett, jesteś wspaniałym facetem i wierzę w ciebie bez zastrzeżeń. Jeśli jakikolwiek cywil może wjechać do Kantardu i wyjechać w jednym kawałku, to jesteś nim właśnie ty. Nie daję jednak głowy za swoje zwierzęta.

- Koleś, wszystko płacę. Niczego nie ryzykujesz.

- Nie mów do mnie takim tonem, Garrett.

Jakim tonem? Naprawdę nie chciałem zasmucić faceta.

Weszliśmy do boksów Ich Diabelskich Mości Koni. Dwadzieścia par ogromnych i wściekłych brązowych oczu skierowało się na mnie. Niemal słyszałem, jak mnie obgadują w swoim tajnym języku i knują różne podłości.

- To jest Piorun. - Koleś zaprezentował mi czarnego ogiera z paszczą pełną krwiożerczych wielkich zębów. - Mądre zwierzę. Częściowo układane do bitwy.

- Nie.

Koleś wzruszył ramionami, przeszedł do następnego boksu.

- To może Huragan? Szybki, zwinny i odrobinę nieodpowiedzialny. Całkiem jak ty. Powinniście się doskonale rozumieć. Uzupełniające się osobowości.

- Nie. I żadnej Burzy, żadnego Szalonego, nic, co nosi imię ziejące ogniem i robi wszystko, żeby na nie zasłużyć. Chciałbym starą kobyłę na ostatnich nogach, o imieniu w rodzaju: Stokrotka, i odpowiednim do niego temperamentem.

- To obrzydliwe, Garrett. Jesteś człowiekiem czy myszą?

- Pi-pi. Ja i konie nie rozumiemy się. Ostatnim razem, kiedy

jechałem konno, bestia zrobiła mi kawał i obróciła się, gdy na nią wsiadałem. A potem stała za moimi plecami i się śmiała.

- Konie się nie śmieją, Garrett. To bardzo poważne stworzenia.

- Pobądź trochę ze mną, to zobaczysz, jak konają ze śmiechu.

- Skoro masz problemy ze zwierzętami, dlaczego jedziesz drogą lądową? Wynajmij barkę rzeczną do Leifmold, a potem łódź na południe. Zaoszczędzisz bite dziewięćset pięćdziesiąt kilometrów.

Dlaczego nie? Ano dlatego, że nigdy mi to nie przyszło do głowy. Nieraz zdarza ci się wpaść w taką rutynę, że nic nie widzisz dookoła siebie. Nie chciałem jechać do Kantardu, więc wymyśliłem sobie, że lepiej jechać i wrócić jak najszybciej. Najszybsza droga z jednego miejsca do drugiego to zazwyczaj droga najkrótsza. A najkrótsza droga z TunFaire do Kantardu wiedzie lądem.

Łapa wielkości średniej szynki spadła mi na plecy.

- Hej, Garrett. Wyglądasz jak człowiek, który właśnie przeżył religijne objawienie.

- Właśnie tak było. A pierwszym świętym w moim kościele będzie Święty Koleś.

- Jeśli tylko w zakresie obowiązków służbowych nie znajdzie się męczeństwo.

- Zachowaj wiarę, przyjacielu, i dawaj dużo datków. To wszystko, o co chodzi w kościele.

- Przeważnie chodzi o dary. Mówiłem ci już, że raz o mały włos nie założyłem własnego kościoła?

- Nie.

- Zastanawiałem się nad tym, kiedy myślałem, że stracę stajnię. Wydaje mi się, że taki facet jak ja, odpowiednio ubrany, byłby cholernie fajnym prorokiem. A w mieście tak przeżartym przez bóstwa jak TunFaire ludzie zawsze domagają się czegoś nowego.

- Nie sądziłem, że jesteś aż tak cyniczny.

- Ja? Cyniczny? Nigdy w życiu! Wróć, kiedy będziesz potrzebował konia, Garrett.

XV

Kiedy pojawiłem się u Tate'a z torbą podróżną na ramieniu, Morley i trojaczki siedzieli sobie wygodnie i wyglądali na zadowolonych.

- No i co, chłopcy? Zarobiliście na swoje utrzymanie? A może ćwiczycie miny na wypadek nowej epidemii Śmiejącej się Śmierci?

Morley przestał żuć marchewkę tylko na tę chwilę, żeby oznajmić:

- Rozwaliliśmy dziś rano parę głów, Garrett.

Doris pokiwał swoją i zaskrzypiał coś w swoim dialekcie.

- Stwierdził, że sam rozwalił dwadzieścia łbów - wyjaśnił Morley. - Przesadza. Nie było ich więcej niż piętnastu. Niektórych nawet rozpoznałem. Straceńcy drugiego gatunku. Ktokolwiek ich wynajął, chciał to zrobić jak najtaniej. No i dostał to, za co zapłacił.

Zastanawiałem się, czy któryś z nich rozpoznał Morleya.

- Zabrali coś?

- Dużo siniaków i parę złamań.

- Myślę o czymś namacalnym.

- A to nie jest dla ciebie dość namacalne?

- Cholera, wiesz, co mam na myśli.

- Aleśmy wrażliwi z samego rana! Nie słuchałeś ani trochę, kiedy ci mówiłem o błonniku.

- Morley!

- Nie. Nic.

- Dziękuję,

- Co masz w torbie?

- Sprzęt podróżny. Wyruszamy.

- Dzisiaj?

- Masz jakieś powody, żeby czekać?

- Właściwie nie. Zaskoczyłeś mnie. O to chodziło.

- Przygotowania skończone. Wy też jesteście gotowi do drogi. Idziemy teraz na statek i ukrywamy się do momentu odbicia od brzegu.

- Statek? O czym ty mówisz? Jaki statek?

Morley był błady jak śmiertelnie przerażony duch. Trojaczki jakby pozieleniały na gębach, co przy bladocytrynowej cerze Dorisa i Marshy dało ciekawy efekt.

- Statek? - zaskrzeczał znowu Morley.
- Statek. Płyniemy barką do Leifmold, potem łapiemy łódź przybrzeżną na południe. Trzymamy się wody, jak długo zdołamy, a następnie wychodzimy na brzeg i robimy to, co mamy do zrobienia na lądzie.
- Garrett, my się łączymy z wodą jeszcze gorzej niż olej.
- Nonsens. Wszyscy wielcy nawigatorzy pochodzili z elfów.
- Wszyscy wielcy nawigatorzy byli stuknięci. Ja dostaję choroby morskiej od patrzenia na wyścigi pajaków wodnych. Dlatego nigdy nie potrafię postawić tak, jak należy.
- Może twoja dieta nie zawiera dość krochmalu. Spojrzał na mnie wzrokiem zranionego szczeniaka.
- Jedźmy lądem, Garrett.
- Nigdy w życiu. Nie rozmawiam z końmi.
- To pójdziemy pieszo. Trojaczki mogą nieść...
- Kto tu płaci, Morley? Zaskomlał cichutko.
- Zgoda. Szef mówi, że wsiadamy na statek i płyniemy tak daleko, jak tylko się da, a potem robimy tę najgorszą robotę. Zbieraj chłopaków i bagaże. Wyruszamy za piętnaście minut.

Wyszedłem i zapolowałem na Papcia Tate'a. Wyjaśniłem mu, że zabieramy się do roboty i wkrótce opuścimy miasto. Przez chwilę sprzeczaaliśmy się o pieniądze na wydatki. Żeby dostać to, co chciałem, musiałem jemu też dać to, co chciał, to znaczy dość dokładny opis mojego planu.

Który, naturalnie, mogłem jeszcze zmienić.

Nie lubię mówić ludziom wszystkiego. Wpływa to na opinię o mnie jako osoby nieodpowiedzialnej.

XVI

Barka rzeczna Cekin Binkeya przypominała mi żonę sklepikarza. Była w średnim wieku, średniej klasy, nieco zużyta, odrobinę przyciężka, niezwykle uparta i pewna siebie, wymagająca mistrzowskiego przymilania się i czulenia, żeby wydobyć z niej wszystko, co najbardziej kochające i najlepsze, ale też wierna, ciepła, pełna niezłomnego optymizmu w trosce o dzieci. Morley znenawidził ją od pierwszego wejrzenia. Woli typy smukłe, chude, eleganckie i szybkie.

Mistrz Arbanos, szyper, był wyrośniętym gnosem pochodzącym z mniejszości etnicznej, którą ignoranci myślą czasem z goblinami ziemnymi (choć każdy idiota wie, że gobliny ziemne nie wyłażą w dzień, gdyż słońce usmażyłoby im gałki oczne). Kiedy już ulokował nas w pomieszczeniu, które z humorystycznym uśmieszkiem nazwał kajutą, odciągnął mnie na bok.

- Nie wypłyniemy przed jutrzejszym świtem. Mam nadzieję, że to nie pokrzyżuje waszych planów.

- Nie.

Jako wścibska i podejrzliwa osoba chciałem jednak wiedzieć, co się stało.

- Cargo się opóźnia, to znaczy jego najważniejsza część. Dwadzieścia pięć skrzynek TunFaire Gold. Nikomu nie ufają. Wierzą, że tylko ja i mój brat potrafimy je przewieźć rzeką bez zmacania.

TunFaire Gold to przednie wino, podobno źle znoszące transport.

- No i siedzę - żalił się - z ośmioma tonami ziemniaków, dwoma cebulami, trzema stali i czterdziestoma solonymi świńskimi głowami, które już zaczynają się psuć, siedzę i czekam, aż wypieszczą się z tym zepsutym sokiem z winogron z TagEndu. Gdybym nie dostał za to więcej forsy niż za resztę ładunku razem wziętą, powiedziałbym im, gdzie mogą sobie wsadzić tę truciznę TunFaire Gold! Żebyś wiedział, że powiedziałbym im!

Ładunek. Jakież to podniecające.

- Żaden kłopot. Musimy tylko dojechać tam w rozsądnym czasie.

- O, z tym też nie będzie kłopotu. Dojedziemy tak, jakbyśmy

wypłynęli o normalnej porze.

- Tak? W jaki sposób?

- Wyruszymy z falą odpływu, dodatkowe pięć węzłów prądu będzie nas nieść przez miejsce, gdzie zwykle rzeka płynie najwolniej. Myślałem tylko, że spieszo wam wyruszyć, sądząc po upodobaniu, z jakim pańscy przyjaciele siedzą pod pokładem i wachają dorszowy smród. Z tego, co słyszałem, nie wszystkie szczury lądowe za nim przepadają.

Nie wspominałem o smrodzie, ponieważ z natury jestem dobrze wychowanym chłopcem. No, ale...

- Skoro to pan o tym napomknął...

- O czym?

- Chwileczkę.

Nabrzeżem kuśtykał jeden z kuzynów czy też bratanków Tate'a i obłąkanym wzrokiem rozglądał się po statkach. Pokryty był zeschlą krwią. Ludzie usuwali mu się z drogi i gapili w ślad za nim.

- Panie Garrett! Oni mają Tionie i Różę! Powiedzieli, że jeśli nie damy im papierów Denny'ego...

Zemdlał. Złapałem go, podniosłem i ułożyłem na pokładzie. Mistrz Arbanos spojrział na mnie ze zgrozą. Zanim zaczął narzekać, wcisnąłem mu kilka marek i jego osobowość zmieniła się natychmiast jak u wilkołaka w promieniach księżyca. Mogłoby się wydawać, że jest matką chłopaka.

Łyk bulgoczącej w manierce brandy przywrócił chłopca do stanu używalności. Opowiedział wszystko po kolei.

Róża i Tionie, jak co dzień, wybrały się razem na popołudniowe zakupy. Towarzyszili im: Lester, kuzyni i bratankowie, oraz kilku pomocników z kuchni. Także jak zwykle. Kiedy wracały ze służącymi i dwoma chłopcami obładowanymi jarzynami, i Bóg jeszcze wie czym, stało się to najgorsze. Spadła na nich katastrofa w osobie Vasco i pół tuzina opryszków.

- Złapali Tionie i Różę, zanim zdążyliśmy rzucić zakupy i wyciągnąć broń. Wujek Lester był jedynym, który mógł... Oni go zabili, panie Garrett...

- Zrobiliście im coś? - Chłopak nie byłby w tak opłakanym stanie, gdyby nie próbowali. Musiałem się dowiedzieć, ile krwi popłynęło,

żeby się zorientować, czy kobiety mają jakąś szansę.

- Trochę - wyznał. - Nie sądzę, żebyśmy kogoś zabili. Musieliśmy najpierw się wycofywać. Wtedy właśnie powiedzieli nam, że dostaniemy je z powrotem, jeśli damy im listy, notatki i inne rzeczy Denny'ego.

Cóż, nie mieli prawdziwego powodu, aby popełnić morderstwo. Rachunek krwi był wyrównany. Wujcio Lester za jednego z nich. Można się targować. Problem tkwił w tym, że się zorientują, iż jadę na południe, skoro tylko zaczną się interesować wymianą.

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Mnie to śmierdzi - stwierdził Morley.

- Myślałem, że się ukrywasz. - Ciekawe, jak długo siedział na tym worku cebuli i podsłuchiwał. Nie, to wcale nie znaczy, że mógł usłyszeć coś, czego nie powinien.

Wzruszył ramionami.

- Powiedzieli ci, gdzie możesz ich znaleźć? - zwróciłem się do chłopaka.

- Tak. Stalowy...

W tym momencie zmaterializował się Staruszek Tate. Myślałem, że nigdy nie opuszcza rodzinnego gniazda. Wpadł na pokład, trzęsąc się na całym ciele. Został zrzucony ze swej wysokości i był tak cholernie wściekły, że mógł tylko parskać.

- Siadaj na chwilę, Papciu - poradziłem mu. - Już nad tym pracuję.

Klapnął na drugi worek z cebulą, krótko skinął głową Morleyowi. Mistrz Arbanos skrzywił się, ale trzymał głowę na kłódkę.

- A oto rada - powiedziałem. - Musimy dobić targu. Tate parsknął, ruszył głową i syknął:

- Gdyby chodziło tylko o Różę, chętnie posłałbym ich do wszystkich diabłów.

- Racja. Słuchaj, włożyłem papiery i wszystko inne do skrzynki i zabrałem ją z twojego domu, żeby tamci nie dostali jej w łapy, gdyby się włamali. Nie podejrzewam ich o to. W każdym razie musimy przeprowadzić wymianę w taki sposób, by dostać panie z powrotem w jednym kawałku. Myślę, że jestem w stanie to zrobić, ale musicie mi zaufać.

Tate znowu zaczął poparSKIWAĆ.

- On jest ekspertem, panie Tate - odezwał się Morley. - Niech wypróbuje swoje sposoby.

Mówił tonem o wiele bardziej dyplomatycznym, niż mnie się to udaje.

- Słucham. - Tate łypnął na mnie ponuro.

- Mistrzu Arbanos, o której jutro wypływamy?

- Pięć minut po siódmej.

- Dobrze. Panie Tate, pójdzie pan pod Stalowego... - Pstryknąłem palcami na chłopca.

- Stalowego Goblina - podpowiedział.

- Pod Stalowego Goblina. Ktokolwiek się tam z tobą spotka, powiedz mu, że ma dostarczyć kobiety jutro pięć minut po siódmej. Tutaj. Inaczej nie ma gadki. Powiem im, gdzie mogą znaleźć papiery, jeśli zobaczą, że kobiety wyglądają tak, iż mogą spokojnie wrócić do swoich. Właściwie, jeśli mistrz Arbanos pożyczycy mi pióra i papieru, sam napiszę instrukcje.

Tate chciał się sprzeczać. Zawsze chce się sprzeczać. Ten stary kozioł nie zgodziłby się ze mną nawet, gdybym powiedział, że niebo jest niebieskie. Pozwoliłem mu bulgotać w czasie, kiedy pisałem notatkę. Mistrz Arbanos zbija fortunę na sprzedawaniu mi usług.

- Po prostu udawaj, że ty to ja - powiedziałem Tate'owi, wręczając mu złożoną kartkę. - Nie kłóć się z nimi. Powiedz, że tak ma być, chęć czy nie.

- Ale...

- Zechcą. Nie oczekują, że im zaufam. Będą wiedzieli, że spróbuje uziemić ich tak, żeby nam nie zawadzali. I sprawdzą mnie. Dowiedzą się, że robiłem takie rzeczy już kilka razy i zawsze dostawałem to, co chciałem.

To prawda. Przynajmniej do tej pory. Tym razem jednak porwanie i szantaż nie stanowiły całej sprawy. Porwanie było częścią czegoś większego.

Nagle zacząłem przyjmować to wszystko w sposób bardzo osobisty.

Tate rozchmurzył się i wziął w garść, opanował strach, po czym zabrał kartkę i odmaszerował. Chłopaka umyliśmy, opatrzyli i wysłali do domu.

XVII

Vasco nie chciał rozgrywać partii według moich reguł, chociaż przyprowadził ze sobą kobiety. Przybył o czasie, co wskazywało jasno, że wygram, jeśli się nie ugnę.

Pozostawił Różę i Tionie na nabrzeżu pod strażą sześciu chłopów, w odległości piętnastu metrów, a sam wszedł na pokład.

- Wciąż się starasz, żeby ktoś ci poderżnął gardło, co? - zapytałem.

Zacisnął wargi, ale nie dał się sprowokować. Sierżanci w Kantardzie potrafią ci wpoić kontrolę nad własnym temperamentem. Rozejrzył się uważnie, ale nie spostrzegł niczego podejrzanego.

Powinien czuć się niespokojnie. Z wielkim tylko trudem udało mi się powstrzymać Morleya, który chciał roznieść bandę Vasco na strzępy i spuścić z prądem.

- Zanim zaczniesz - zwróciłem się do Vasco - musisz wiedzieć i zrozumieć, że nie zależy mi specjalnie na tych kobietach, podobnie zresztą jak na papierach Denny'ego. Dlatego właśnie zgadzam się na wymianę.

- Gdzie są papiery, Garrett?

- Gdzie są kobiety?

- Tam. Nie widzisz?...

- Nie widzę ich na statku. Nie dostaniesz nawet kartki, dopóki nie będzie za późno, żebyś mógł mnie wykiwać.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Nie wiem. Ostatnio nie wykazałeś zbyt wiele rozsądku.

- Nie wrobisz mnie w nic głupiego, Garrett.

- Nie muszę. Świetnie sobie radzisz beze mnie. Bierz te kobiety. Mistrz Arbanos gotów był do podniesienia kotwicy.

- Jaką mam gwarancję, że nas nie kiwasz? Wymieniłem mu to w podpunktach:

- Po pierwsze, w tych sprawach zawsze gram czysto. Po drugie, papiery nie są mi na nic potrzebne. Po trzecie, wiem, kim jesteś, więc nie muszę się teraz z tobą babrać. Przyjdę po twój kark wtedy, kiedy mi to będzie odpowiadało.

- Baw się w twarziela, Garrett, baw. Poparzysz sobie palce.

- Naślesz na mnie Barberę?

Jeszcze mocniej zacisnął usta. Obrócił się, skoczył na nabrzeże i machnął do swoich gamoni, żeby zwolnili kobiety.

Gestem przywołałem je na pokład Cekina.

Ruszyły powoli. Zdaje się, że przeczuwały, iż krew może trysnąć lada sekunda.

Vasco odstąpił dwa kroki od nabrzeża.

- No więc, gdzie są papiery, Garrett?

Nie miałem nic do powiedzenia. Wciąż znajdował się między mną i kobietami. Rozejrzałem się wokoło jak znużony turysta

I wtedy spostrzegłem tych dwóch z knajpy Morleya. Wielgasa i Brzydala. Nie razem, ale w pobliżu, zrelaksowanych i wtopionych w tłum gapiący się na odpływające statki.

Cofnąłem się o kilka kroków, jakbym miał zamiar zrobić dziewczynom miejsce do skoku na pokład. Nieznacznie pochyliłem się do Morleya przycupniętego za workiem cebuli.

- Zerknij na tego faceta, który siedzi na beli bawełny - szepnąłem.

- Dawaj, Garrett - ponaglił Vasco.

Udałem, że nie słyszę. Kobietom brakowało jeszcze paru metrów. Nawet skwaszona twarz Róży zajaśniała pewną nadzieją. Mistrz Arbanos zaczął luzować liny.

- Widzę go - szepnął Morley. - Co z nim?

- Kto to jest?

- A skąd ja, u diabła, mam wiedzieć? Nigdy w życiu go nie widziałem.

- A ja tak. Raz. Tamtej nocy. Kręcił się w okolicy z tym drugim, który opiera się o beczkę solonej wieprzowiny - zacząłem wyjaśniać, ale się powstrzymałem. Rozsądniej było zatrzymać tę historię na długie, zimowe wieczory.

- Tego też nie znam - odparł Morley.

- Dawaj, Garrett. - Vasco właśnie doszedł do wniosku, że najwyraźniej mam zamiar go wykiwać. Ruszył w ślad za kobietami.

- Biegiem! - ryknąłem do nich. A do Vasco: - Są w pudełku, w opuszczonym domu przy Way of the Harlequin, na zachód od Wizard's Reach.

- Zapłacisz głową, jeśli ich tam nie ma, Garrett.

- Częstuj się, ilekroć zechcesz kawalek i uda ci się go zdobyć. Nie krępuj się.

Statek zaczął powoli dryfować od nabrzeża. Kobiety wzięły sobie do serca moją radę, pobiegły i skoczyły. Rozkoszny kłęb różnych pyszności znalazł się nagle wprost w moich ramionach. Morley złapał Różę; wydawał odpowiednie pomruki w zetknięciu się z taką obfitością nieoczekiwanych skarbów. Zaśmiałem się.

Vasco podreptał z powrotem, wywarkując rozkazy pod adresem swoich rycerzy.

Nie mogłem powstrzymać chichotu.

- Co w tym takiego śmiesznego? - zapytała Tionie. Nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby się ode mnie odkleić. Pomyślałem, że trzeba by ją odepchnąć... może tak gdzieś w przyszłym tygodniu.

- Po prostu wyobrażam sobie, co się stanie, jeśli zechcą zabrać te papiery.

- Czy to znaczy, że ich okłamałeś?

Nabrzeże było już w odległości pięciu metrów. Brzydał zlał z beli bawełny. Nie zwrócił na nas szczególnej uwagi. Ja też nie miałem zamiaru się na niego oglądać. Tionie nie będzie tak wisiąca całą wieczność.

- O, nie. Powiedziałem mu prawdę. Tyle tylko, że nie całą.

- Amatorzy - mruknął Morley, odrywając się od Róży, która robiła mu dokładnie to samo co Tionie mnie. - Nie mają wśród siebie żadnych zawodowców i nie wiedzą, co to takiego mieszkanie Truposza. Sprytnie, Garrett. Przypomnij mi, żebym nie znalazł się nigdy po przeciwnej stronie. Jesteś tak śliski, że ślizgałbyś się pod górę.

Spojrzałem na dwóch facetów na nabrzeżu i zamyśliłem się.

- Powiedziałam ci, Garrett, że jadę z tobą - zagruchała Róża. tak jakby sama to wszystko zaplanowała. Szybko pozbyła się strachu.

- To niech ci się dalej tak wydaje - odparłem obojętnie. - Proszę bardzo.

Miałem zamiar poprosić mistrza Arbanosa, żeby wysadził je o jakies trzy kilometry dalej, i nareszcie mieć święty spokój.

Cholera! Ta Tionie jest bez litości!

Mniej więcej w tej chwili Staruszek Tate pojawił się w doku, ale było już za późno na cokolwiek poza pożegnaniem.

- Panie Arbanos, gdzie możemy przybić do brzegu, żeby wysadzić nasze panie? - zapytałem tak głośno, by Tate usłyszał tę informację.

- Leifmold - odkrzyknął. Leifmold. Na drugim końcu wybrzeża.

Nie ustąpi. Ogłuchł na wszelkie propozycje finansowe w tej dziedzinie. Ma reputację, rozkład jazdy i przyływ, i na pewno nie zechce ryzykować żadnej z tych rzeczy dla byle napiwku, który mógłbym mu zaofiarować.

Kłóciłem się, a Róża chichotała złośliwie.

Uśmiech Tionie był bardziej obiecujący.

XVIII

Jedyną wadą tego cholernego statku był brak intymności. Ledwie spróbujesz głaskania po rączce i dmuchania w uszko, a już masz na karku Dorisa albo Marszę, albo Dojanga, albo jakiegoś cholernego majtka, który w dodatku robi oczy jak spodki. Obaj z Morleyem omal nie dostaliśmy fioła od tego podglądania. Róża wykazywała wielką ochotę na przyjacielskie stosunki z moim kumplem. A on, rzecz jasna, miał naprawdę złote ręce.

Domyślam się, że wcinanie jarzynek dobrze wpływa na to i owo.

Leifmold nie znajduje się na drugim końcu świata. Przy pierwszej lepszej okazji zahaczyłem Morleya i zapytałem:

- Jak się pozbędziemy tej parki?

- Źle dobierasz słowa, Garrett. Ale i tak rozumiem twoją frustrację. Czy twój pryncypał ma w Leifmold zaufanych wspólników?

- Nie wiem.

- A dlaczego nie wiesz?

- Nigdy nie miałem powodu, żeby pytać.

- Niedobrze. Teraz musimy to wyczarować z dziewczyn. - Jego ton nie brzmiał zbyt optymistycznie. Róża zaczęła się śmiać, skoro tylko spróbowaliśmy z niej coś wyciągnąć. Tionie udawała, że nie słyszy. Obaj z Morleyem poszliśmy na rufę, żeby się pomartwić we dwóch.

- Nic z tego, Garrett - burknął po chwili.

- Aha - odmruknąłem.

- Nie ma siły. - Aha.

- Kiecki w Kantardzie. Gorsze niż trucizna, z tego co słyszałem. Jeśli zabierzemy tam kobiety, to tak, jakbyśmy już nie żyli. Mamy to jak na piśmie.

- Wiem. Ale nie możemy ich tak po prostu porzucić. Spojrzał na mnie zezem i palnął:

- Gdybym nie przypisywał twojego zachowania kiepskiej głowie do interesów, powiedziałbym, że jesteś zbyt romantyczny. Bagaż to bagaż. Żadna z nich nie siedzi na czymś wyjątkowym, czego inna kobieta nie ma.

Na rzece panował spory tłok, ponieważ większość statków ruszyła

wraz z odpływem. Były na pewno szybsze od Cekina Binkeya, ale jeden z nich, zwinny i luksusowy jacht, wydawał się jakby przywiązany na smyczy do naszej rufy.

- Nie wiem, jak taki facet jak ty może mieć tyle szczęścia. Jacht miał żagiel w żółte i niebieskie pasy, był smukły i aż śmierdział bogactwem. A bogactwo oznacza siłę. Mógł nas wyprzedzić bez trudu, ale nie, włókł się za nami.

- One lubią, kiedy się je tak traktuje, Garrett. Jeśli nie traktujesz ich jak szczury, zaczynają myśleć, że są odpowiedzialne za to, co robią. Znasz kobiety. One nigdy się nie przyznają, że dostały kopa w tyłek, bo rozrabiały.

- A może spróbujemy tak... jeśli mistrz Arbanos się zgodzi- No, słucham.

- Zanim zawiniemy do portu, zwiążemy je. Mistrz Arbanos ukryje dziewczyny podczas załadunku i wyładunku, a potem zabierze z powrotem do TunFaire. Oł, jako część towaru.

- Niegłupi pomysł. A kiedy już będziesz z nim rozmawiał, spytaj go o ten statek z żaglem w paski.

A już zastanawiałem się, czy zauważył. Mistrz Arbanos zachował się zgodnie z moimi przewidywaniami. Dyktował przecież warunki, a ja znajdowałem się między młotem i kowadłem, i on o tym wiedział. Zapłaciłem. W końcu i tak wszystko szło na rachunek Tate'a.

Zapytałem o jacht z pasiastym żaglem. Spojrzał na mnie jak na idiotę.

- Przepraszam, zapomniałem, że jesteś szczurem lądowym. To Tajfun, osobisty statek Władcy Burzy Thunderheada. Wszyscy na rzece go znają. Pływa do Leifmold i z powrotem, obnosząc jego barwy.

- Ojejejeje - mruknąłem.

- Władca Burzy nigdy nie pływa nim osobiście. To tylko reklama. Właścicielką jachtu jest karthyjska dziwka o temperamentie i moralności kota dachowca. Miała już kłopoty ze wszystkimi, jak rzeka długa i szeroka. Niektórzy uważają, że na noc zwija żagiel w paski i podnosi czarny.

- Co to znaczy?

- Że na noc, kiedy nikt nie patrzy, zmienia się w rzecznego pirata.

- To tylko plotki czy coś w tym jest?

- Do licha, czy to nie moje zafajdane szczęście, żeby siedzieć na barce akurat wtedy, kiedy po rzece kręcą się piraci? Bogowie chyba wynajęli sobie specjalnego faceta, żeby mi komplikował życie. Kto wie? Oni są piratami, widziałem, jak odpływają.

- I co? - Trzeba go było ciągnąć za język.

- Nie pozostawiają świadków. Dlatego nie brałem nigdy ładunku, na który oni mogliby mieć ochotę.

Wszystkie kółeczka, dźwigienki i przekładnie w moim mózgu pracowały na pełnych obrotach jak w zegarku. Zegarku, który się odrobinę spóźnia... Jaki rodzaj ładunku mógłby interesować pirata działającego na statku, który należy do jednego z Władców Burzy? O co w tym wszystkim chodzi? Srebro. Kochane sreberko. Paliwo do czarodziejskich motorków. Jeszcze jedna komplikacja? A do diabła, dlaczego nie? Ze wszystkich innych stron byłem chroniony.

Podkarmiłem mistrza Arbanosa porządną porcją metalowego cukru. Zapewnił, że moje polecenia dotyczące kobiet zostaną wykonane. Damy będą traktowane jak królowe, a w powrotnej drodze dostarczone staremu Tate'owi do rąk własnych.

Nie mogłem żądać niczego lepszego.

* * *

Załoga mistrza Arbanosa - wszyscy co do jednego jego krewniacy - zabrała się do dziewczyn na dobę przed osiągnięciem Leifmold. Przyłapali je we śnie.

Co za język i przekleństwa! Nie do wiary! Spodziewałem się, że Róża nie będzie zbyt uprzejma, ale Tionie?! Zaklasyfikowałem ją wcześniej jako damę, przynajmniej częściowo. Okazało się, że to ona wrzeszczała najgłośniej.

Poza tym wszystko poszło gładko.

Morze znajdowało się po naszej lewej ręce. Leifmold wspinało się na strome wzgórza po prawej jakiś kilometr od nas. Czekaliśmy, żeby wziąć pilota, który był konieczny, jeśli Cekin Binkeya miał przebrnąć przez zasadzki zastawione na bandytów Venageti.

Morley rozwalił się na rufie.

- Chodź tu - mruknął, leniwie przyzywając mnie gestem. Chrupał surowego kartofla wykradzionego z ładunku.

Z widocznym wstrętem spojrziałem na bulwę.

- Niezły, jeśli go leciutko posolić - powiedział Morley.

- I zdrowy dla ciebie, bez wątpienia.

- Jasne. Zerknij na nabrzeże.

Zerknąłem. I zobaczyłem, o co mu chodziło. Pasiasty żagiel wchodził właśnie do doku. Minął nas nocą i dorwał pierwszego dostępnego pilota.

- Trzeba go mieć na oku - przyznałem.

- Przeglądałeś papiery Denny'ego. Wspominał coś o Władcy Burzy Thunderheadzie?

- Nie. Ale wspominał o paru innych czarodziejach. Chętnie spojrzę na to pod kątem powiązań pośrednich.

Kiedy się rozważa możliwość udziału czarodziejów w jakiejś sprawie, należy się liczyć z najgorszym.

Były szanse, że pasiasty żagiel nie miał z nami nic wspólnego. Ja jednak wolałem przyjąć paranoiczną możliwość, że jednak ma.

Baby dały się jak opętane, kiedy je wiązaliśmy, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Morley, ja oraz Doris i Marsha poszliśmy, żeby poszukać któregoś ze statków przybrzeżnych zarekomendowanych nam przez mistrza Arbanosa. Morley zostawił Dojanga na obserwacji jachtu Władcy Burzy. Nikt nie powinien go rozpoznać, nawet gdyby został rozpoznany.

Szczęśliwie znaleźliśmy statek o nazwie Złocona Dama, który miał podnieść kotwicę następnego poranka. Jego kapitan okazał się podatny na nasz sposób perswazji.

Morley jakby nieco poszarzał na zgięciach.

- Na rzece szło ci niezłe.

- Na rzece nie ma fal, Garrett. Tłumów fal, wzdłuż całego wybrzeża, i statku, który płynie równolegle do nich. - Oczy wyszły mu na wierzch. - Nie mówmy o tym. Poszukajmy jakiegoś lokum na noc i wynośmy się z tego miasta. Znam tu knajpę, bodaj lepszą nawet niż moja... Nigdy nie powtarzaj nikomu, że się do tego przyznałem... Musisz ją zobaczyć.

- Nie mam nastroju na korzonki i orzeszki, Morley. Przed nami długa podróż, więc wolałbym coś bardziej konkretnego.

- Konkretnego? Nie obchodzi cię, co robisz ze swoim ciałem?

Przysięgam, spodoba ci się. To będzie dla ciebie jakaś odmiana, a czerwone mięso w końcu kiedyś cię zabije.

- Przerabialiśmy już czerwone mięso, Morley. Ale skoro mówisz o samobójstwie, to jak sądzisz, kto ma większą szansę umrzeć młodo: ja, jedząc to, co lubię, czy ty, zadając się z cudzymi żonami?

- Mówisz teraz o jabłkach i pomarańczach, koleś.

- Mówię o śmierci, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Przez chwilę nie kojarzył.

- Umrę szczęśliwy - rzekł w końcu.

- I ja też, Morley. Bez kawałków orzecha między zębami.

- Poddam się - odparł. - Proszę. Popelnij samobójstwo, truj się, ile chcesz.

- Właśnie to zamierzam zrobić.

Kątem oka pochwyciłem szyld tawerny. Droga wzdłuż rzeki była strasznie sucha.

- Mam chrapkę na jednego głębszego.

Doris i Marsha także rozpoznali słowo „piwo”, kiedy już je zobaczyli. Zaczęli kołysać się i mrużyć. Morley poszwargota z nimi.

Cholera! Nie dość, że trojaczki, to jeszcze potrójni alkoholicy?

- Kiedy tylko znajdziemy nocleg - odezwałem się - ktoś musi pójść i skontaktować się z Dojango, żeby mógł nas przynajmniej znaleźć.

Morley zakończył targi z Dorisem i Marsha.

- Chcą po wiadrze na łebka, to im wystarczy.

- Po wiadrze?

- To wyrośnięte chłopaki, Garrett.

- Zauważyłem.

Weszliśmy do tawerny. Było pusto z powodu wczesnej godziny, ale na nasz widok zapadła cisza tak głęboka, że od razu wiedziałem, co się kroi. Weszliśmy tam, gdzie nas nie chcą. Nigdy mnie to nie powstrzymywało. Rzuciłem monetę na szynkwias.

- Kufel dla mnie i po wiaderku dla tych dużych chłopców. A ten mój kumpel wypije wszystko, co uda ci się wycisnąć z rzepy.

Ujrzałem lodowate spojrzenie.

- Nie obsługujemy tu takich.

- Wiesz, stary, oni niezbyt dobrze mówią po karentyńsku, więc jeśli na nich popatrzysz, to zobaczysz, że się uśmiechają. Nie sądzę jednak,

żeby uśmiechali się dalej, jeśli będę zmuszony przetłumaczyć im to, co powiedziałaś. Masz chyba pojęcie, co potrafi para zdenerwowanych grolli.

Przemyślał sprawę i nie zamierzał się kłócić. Może znalazłby tu z pięćdziesięciu ludzi, którzy by go poparli, ale Doris i Marsha też już zaczęli coś przewąchiwać. Ich uśmiechy Zniknęły, a na mordach pojawiła się troska.

- Chcemy piwa - zaznaczyłem. - Nie kobiet. Nie roześmiał się, tylko sięgnął do kurka.

Niewielu ludzi jest takimi idiotami, żeby rozwścieczyć grolla. Robią się wtedy naprawdę nieprzyjemne.

- Niezłe piwo - oznajmiłem, wychylając trzeci kufel, podczas gdy Doris i Marsha zajmowali się swoimi skopkami od mleka. -I korona też ci z głowy nie spadła, no nie?

Barman nie miał ochoty na żarciki. Większość jego stałych klientów opuściła go.

Poszliśmy za ich przykładem.

Na zewnątrz zebrało się około pięćdziesięciu urażonych chłopów. Wyglądało na to, że mają kiepski humor.

- Powinienem przyjrzeć się sąsiadom - mruknąłem do Morleya.

- Podoba mi się twój sposób myślenia, Garrett.

Półówka cegły, rzucona przez typa nazwiskiem Anonim, upadła nam do stóp. Ktoś musiał niezłe wyteńczyć ramię. Doris, a może Marsha, wyciągnął łapę i uniósł ją do oczu. Przyglądał się przez sekundę, po czym ścisnął palce i pozwolił, by pył uleciał z wiatrem.

Wywarło to wrażenie na mnie, ale nie na tłumie.

Wyrwał zatem drąg, z którego zwisał szyld tawerny. Zerwał blachę i zakreślił drągiem jak pałąk. Teraz dotarło. Tłum zaczął się przeredzać.

- Czy muł potrafiłby to zrobić? - syknął Morley. - Nie.

Szukając noclegu, wykazaliśmy nieco więcej przezorności.

XIX

- No to gdzie on jest, do diabła? - zapytałem. Po Dojangu ani śladu, ani popiołu.

Morley wyglądał kiepsko. Miał smutną minę już od jakiegoś czasu i zastanawiałem się, czy nie kupić mu pęczka marchewki albo czegoś podobnego.

- Chyba będziemy musieli przejrzeć parki i tawerny - wymamrotał.

- Rzucę okiem na tamten statek. Kiedy znajdziecie Dojango, szukajcie mnie na molo.

Morley powiedział coś do trojaczków. Burknęły i ruszyły w drogę, a ja skierowałem się tam, skąd mogłem przyjrzeć się jachtowi o pasiastym żaglu.

Nie zobaczyłem wiele. Paru ludzi wносиło jedne paki, wносиło inne. Nietrudno było pojąć, dlaczego Dojango zrezygnował. Obserwacja to nudne zajęcie. Trzeba być cierpliwym, żeby tym zarabiać na życie.

Jakiś facet wyszedł na pokład. Wychylił się przez reling, odcharknął i splunął do wody.

- Ciekawe - burknąłem pod nosem.

To był Wielgas z knajpy Morleya i z molo. Rozejrzał się po wodzie niemal tak, jakby mnie usłyszał. Potem wzruszył ramionami i wrócił do kajuty.

- Ciekawe - powtórzyłem.

Może Dojango zostałyby na czatach, gdyby wcześniej zobaczył tego faceta.

Przeczaiłem się w cieniu, marząc o kuflu zimnego piwa, i zastanawiałem się, co robi Morley. Nic się nie działo, poza tym, że ładowacze skończyli już swoją robotę.

Usłyszałem za plecami obcy szelest. Może wreszcie... Obejrzałem się i zobaczyłem Wielgasa. Nie był w najlepszym humorze.

Zsunąłem się z beli, na której się wylegiwałem. Czyżbym potrzebował jakichś śmiertelnych narzędzi?

Skoczył na górę i chlasnął belę krótką pałą. Bez oskarżeń. Bez pytań. Czysty biznes. Uchyliłem się w bok i przyłożyłem mu po bebechach.

Z takim samym rezultatem waliłbym po bebechach beczkę solonej świniny. Pała mogła roztrzepać mi mózg na pianę. Wyciągnąłem nóż.

Nie musiałem go użyć. Nadeszła odsiecz kawalerii w postaci Marshy, czy tam Dorisa. Groll złapał Wielgasa za ramię i przytrzymał jak lalkę. Na jego zielonej gębie pojawił się uśmiech pełen zachwytu. Niedbale rzucił faceta na bale. Wielgas nawet nie pisnął. Moje wycie słychać byłoby w promieniu osiemdziesięciu kilometrów.

Doris - albo Marsha - dał mi znać, żebym poszedł za nim.

- Poradziłbym sobie - mamrotałem, wlokąc się noga za nogą. Prawdopodobnie. Tak samo, jak poradziłem sobie z Saucerheadem, waląc całym ciałem w jego pałę, aż się połamała. Ta sprawa wyczyniała cuda z moim mniemaniem o sobie.

Dojango nie był pijany jak bela. Wypił tylko tyle, żeby chodzić po ścianach i wyć do księżycy. Marsha trzymał go pod kontrolą, podczas gdy Doris opowiadał, co wydarzyło się na nabrzeżu. A może na odwrót, cholera wie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Kiepska sprawa - odezwał się Morley. Poczucie humoru nagle go opuściło.

Rzeczywiście kiepska. Miałem już jednak do czynienia z czarodziejami. Możesz sobie z nimi poradzić, jeśli potrafisz pracować stopami. Mają więcej uchwytów niż przeciętny łobuz uliczny. Największy problem polega na tym, że są zepsuci jak stuletnie kurze jajo. Władują się w każdy wszawy interes. Publicznie jednak dbają o nieskazitelną opinię, więc dobrze mieć czasem w kieszeni trochę mazidla, żeby je rozsmarować, gdzie trzeba.

- Jutro wyjeżdżamy i nasze kłopoty się skończą.

- Skończą się na pewno, kiedy nauczę się skutecznie uszkadzać rasy D'Gumi.

- To znaczy nigdy?

- Może nawet trochę dłużej.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy przyjrzeć się bliżej twojej diecie, Morley. Taki uporczywy pesymizm musi być wynikiem niedoboru czegoś.

- Jedyne niedobory, na jakie się skarżam, to: brak szczęścia, środków finansowych i damskiego towarzystwa.

- Myślałem, że ty i Róża...

- Tak jak powiedziałaś, ona chce czegoś za nic. Miała szansę na jedyne w życiu doświadczenie, a próbowała mi się sprzedać! Tak jakby

było w niej coś szczególnego. Jakby kobieta z jej charakterem mogła w ogóle rozwinąć jakikolwiek talent! Nigdy was, ludzi, nie zrozumieć. Co wy robicie waszym kobietom...?

- To, co im robimy, niczym nie różni się od tego, co ty im robisz. Róża ma swoje problemy, a ja dość słuchania, jak ludzie zwalają winę na innych za własne błędy.

- Ejże, Garrett. Zejdź no z tego piedestału!

- Przepraszam. Myślałem po prostu, co będę robił jutro.

- A co będziesz robił?

- Patrzył, jak Dojango będzie jęczał i stękał, i wywracał się na lewą stronę przez burtę, a potem obarczył winą za swoje pijackie problemy matkę albo kogoś innego...

Morley uśmiechnął się szeroko.

XX

Dojango złapał się relingu i złożył ofiarę bogom morza, wydając z siebie straszliwe odgłosy. Jak echo towarzyszyło im ciche pojękiwanie.

- A nie mówiłem? - zapytałem. Byliśmy sześć metrów od brzegu.

Morley też był troszeczkę zielony, ale cierpiał przede wszystkim na przerosł wyobraźni. Statek ledwie się kołysał.

Podszedł do nas kapitan. Miał teraz wolną chwilę, bo kierowaliśmy się w stronę kanału.

- Rozmawiałem dzisiaj z kapitanem portu. Sytuacja na froncie uspokoiła się. Nie powinniśmy mieć kłopotów aż do Full Harbor, jeśli zostaniecie z nami tak długo.

- Ależ oczywiście.

Morley jęknął. Dojango wymamrotał coś na temat rzucenia się w morze, żeby z tym wszystkim skończyć.

Uśmiechnąłem się i zacząłem targować o cenę przejazdu.

W połowie kanału grollowa część trojaczków zaczęła coś bełkotać do Morleya. Podeszliśmy, żeby zobaczyć, czego chcą. Okazało się, że mijamy Cekin Binkeya. Dziewczyny były na pokładzie. Zauważyły nas, kiedy przepływaliśmy po ich sterburcie.

- Odnoszę wrażenie, że o coś się na nas gniewają - stwierdził Morley. Uśmiechnął się i pomachał im ręką.

- Kobiety nie mają wycucia proporcji - mruknąłem. Też się uśmiechałem i machałem rękami. - Pomerdają do ciebie ogonkiem, a ty już powinieneś im jeść z ręki.

Spojrzałem na Tionie i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie warto.

Odwróciły się do nas plecami. Ciekawe, czy za moje osobiste poświęcenia można by wyciągnąć od starego Tate'a jakąś premię.

Minęliśmy Cekina i skierowali się ku wylotowi kanału. Zanim wzięliśmy kurs na południe, statek mistrza Arbanosa był już tylko ciemną plamką na wodzie.

- Niech mnie szlag trafi!

Był to ranek spotkań między starymi przyjaciółmi. Tratwa rzeczna, która właśnie wpływała do kanału, niosła Vasco i jego kumpli.

- Ten cholerny Truposz... - wymamrotałem. Mógł ich przynajmniej trochę poobijać.

Nie zauważyli nas. Zagoniłem wszystkich pod pokład, żeby już tak zostało.

Liczyłem na to, że Truposz zatrzyma ich nieco dłużej. Teraz zacząłem się martwić. Może zrobili coś, czego będę żałował?

- Miej na oku tych piratów - mruknął zaniepokojony Morley. - Mogą nas zamordować, kiedy będziemy odpoczywać na dechach i wygrzewać bebechy.

Statek dokończył zwrot i płynął teraz na fali odpływu.

Morley nie miał powodu do obaw. Załoga statku traktowała nas doskonale. Dzień minął niemal bez problemów. Raz tylko jacht z pasiastym żaglem przepłynął obok nas, walcząc z żywiołem, do którego pokonywania nie był stworzony. Wydawało się, że żaden z jego pasażerów nie zwraca na nas uwagi. Nie pojawił się też w pierwszym porcie, do którego zawiniliśmy.

Raz spostrzeżliśmy w oddali wojska królewskie, a raz majtek w bocianim gnieździe wypatrzył w zasięgu wzroku statek Venageti. Ani z jednego, ani z drugiego nic nie wynikło. W osiem dni po opuszczeniu Leifmold zawiniliśmy do Full Harbor. Nie widzieliśmy tam pasiastego żagla.

Wreszcie pozwoliłem sobie na nutę optymizmu.

XXI

- Jesteśmy na miejscu - wymamrotał Morley następnego poranka. - I co teraz?

Rzucił się na podplomyki z boczkiem, polane gęstym, tłustym sosem. Była to jedyna osiągalna strawa, która choć w przybliżeniu przypominała wegetariańskie śniadanie.

- Teraz spróbuję trafić na ślad kobiety - oznajmiłem. - Jej rodzina wciąż powinna tu mieszkać. Muszą coś wiedzieć.

Brzmiało to zbyt prosto nawet dla mnie. Nieraz jednak sprawy toczą się zgodnie z przewidywaniami. Byłoby cudownie znaleźć ją w domku tatusia, załatwić sprawę i wracać zaraz z odpowiedzią.

Full Harbor zmieniło się i nie zmieniło zarazem. Nowe budynki. Nowe urzędnicy portowe. Nowe ulice w miejscu pobojuwiska po wielkim ataku Venageti trzy lata temu. Te same stare dziwki i potrawki, i wędrowni handlarze, piekielnie drogie knajpy i krawcy, wszyscy żerujący na samotności młodych żeglarzy i Marines, z dala od domu, dzień po dniu w cieniu śmierci. Bogowie wiedzą, ile pieniędzy i czasu sam strawiłem w takich miejscach. Reformatorzy twierdzą, że je pozamykają. Nic z tego. Chłopcy nie mieliby gdzie zabijać czasu. Spodziewałem się komentarzy ze strony Morleya Dotesa. Mile mnie rozczarował.

- Wy, ludzie, jesteście desperatami, a tacy są najlepszymi żołnierzami.

Może przemówiła jego ludzka cześć natury.

Jesteśmy jedyną rasą, która ma wojnę we krwi. Inne, a szczególnie elfy i karły, stać na wypad od czasu do czasu, nie częściej jednak niż raz na pokolenie, a i wtedy jest to zwykle jedna bitwa, niewiele czarów i cała nagroda dla zwycięzców. Wielu z nich bierze udział w naszych działaniach jako pomocnicy. Przydatni, ale nie można na nich polegać. Nie mają pojęcia o dyscyplinie.

- Masz rację. Poszukamy sobie jakiejś bazy, a potem weźmiemy się do roboty.

Ściągaliśmy na siebie sporo podejrzeń, ponieważ byliśmy cywilami, a oni byli tym, kim byli. Nie lubię zwracać uwagi. Mój zawód należy

do takich, że nie warto, by cię pamiętano.

Znaleźliśmy gospodę, która przyjmowała cywilów i mieszanców za opłatą mniejszą niż dziesięcioletnie zarobki. Posmarowałem właścicielowi łapę, żeby trzymał trojaczki z dala od alkoholu, a potem wraz z Morleyem zapyściliśmy się w ulice miasta.

Full Harbor z lotu ptaka wygląda jak łeb kraba pomiędzy kleszczami. Samo miasto i urzędnictwa portowe znajdują się na końcu ufortyfikowanego pasa ziemi. Ramiona obejmują je dokoła i osłaniają od wzburzonych fal morza. Położenie miasta sprawia, że jest ono naturalną fortyfikacją. Venageti udało się wdrzeć do niego tylko dwukrotnie i za każdym razem przypłacili to stratą wszystkich zaangażowanych sił. Im bardziej oddalasz się od portu i jego zabudowań, tym bardziej Full Harbor staje się „cywilizowane”. W przewężeniu przesmyku znajduje się kilka niskich, zalesionych pagórków, które osłaniają bardziej ekskluzywne domy!

W mieście nie rezyduje żaden lord ani władca. Nie chcą ryzykować ani życia, ani posiadłości w miejscu, gdzie Venageti mogliby pojawić się z nieprzewidywalną nagłością tropikalnej burzy.

Śmieszni ludzie... Podróżują po całym Kantardzie, nadstawiając karku dla chwały i osobistych korzyści, ale... Nie rozumiem ich bardziej niż żab. No, ale tu staję na przeszkodzie moje niskie urodzenie.

Ojciec Kayean był jednym z Syndyków i mieszkał na wzgórzach wraz z żoną, czworgiem służących i ośmiorgiem dzieci. Kayean była najstarsza.

Jechałem wynajętym powozem wzdłuż cichych uliczek. Napływały wspomnienia, a wraz z nimi coś w rodzaju nostalgii.

- Co się tak rozglądasz nieprzytomnym wzrokiem? - zagadnął Morley. Trojaczki pozostawiliśmy w gospodzie - akt rozsądku, w którego słusność wciąż wątpiłem, choć Morley zapewniał, że nie zostawił im ani grosika.

- Wspominam. Pierwsza, młodzięcza miłość. Właśnie tu, na wzgórzach. - Nie opowiedziałem mu wszystkich szczegółów. Goryl nie musi znać każdej mrocznej tajemnicy.

- Sam jestem nostalgicznym romantykiem, ale ciebie nigdy o to nie podejrzewałem, Garrett.

- Ja? Błędny rycerz w zardzewiałej zbroi, wiecznie rwący się z

brzękiem na ratunek dziewczicom, które wcale na to nie zasługują, albo do walki ze smokiem z czyjejś chorej wyobraźni? Co, nie nadają się?

- Widzisz? Romantyczne obrazy. Dlaczego właściwie miałbyś nie pracować dla wariatów, jeśli dobrze płacą? Można omotać faceta obsesją tak, jak pająk omotuje muchę.

- Ja tak nie umiem pracować.

- Wiem. Ty naprawdę chcesz ratować dziewczice i nadstawiać karku w przegranych sprawach... dopóki wystarczy ci smaru, żeby zawiasy zbroi się nie klinowały.

- Piwo też czasem lubię.

- Nie masz ambicji, Garrett. To jest twój problem.

- Na temat moich problemów mógłbyś napisać całą książkę, Morley.

- Wolałbym raczej pisać o rzeczach, które są w porządku. O wiele mniej z tym roboty. Jakaś króciutką bajkę: „Jest dobry dla swojej matki. Nie bije żony. Jego dzieci nie biegają boso po śniegu”.

- Wstaliśmy dzisiaj lewą nogą, co?

- Mam tego powyżej uszu. Jak długo jeszcze będziemy szukać duchów przeszłości, której nigdy nie było. Nie tylko wstał lewą nogą, ale w dodatku był o wiele zbyt spostrzegawczy. Uznałem, że równie dobrze mogę się przyznać.

- Nie jestem romantyczny, ale zagubiony.

- Zagubiony? Mówiłeś, zdaje się, że znasz te strony jak własną kieszeń.

- Znałem. Ale wszystko się zmieniło. Drzewa i krzewy, które służyły mi jako znaki orientacyjne, urosły albo zostały ścięte, albo...

- No więc musimy kogoś zapytać o drogę, prawda? Hej, tam! - krzyknął do ogrodnika strzygącego żywopłot. - Jak się nazywa facet, którego szukamy, Garrett?

Ogrodnik przerwał pracę i wybałuszył na nas oczy. Wydawał się naprawdę przyjaźnie nastawiony. Zatruje cię na śmierć samym uśmiechem.

- Klaus Kronk. - Wymówiłem imię tak jak słowo claws (szpony), więc Morley wziął je za przydomek.

Wysiadł z powozu i podszedł do ogrodnika.

- Powiedz mi, dobry człowieku, czy znasz Syndyka o nazwisku Claws Kronk?

Dobry człowiek spojrział na niego ze zdumieniem, które rychło przerodziło się w drwinę.

- Pokaż mi najpierw kolor metalu, jakim obracasz, czarnuchu.

Morley podniósł go spokojnie i przerzucił przez żywopłot, następnie skoczył w ślad za nim i przerzucił go z powrotem, poskakał po nim chwilę, powykręcał mu kończyny, posłuchał, jak jęczy, po czym powtórzył:

- Powiedz mi, dobry człowieku, czy znasz Syndyka o nazwisku Claws Kronk?

Ogrodnik stwierdził, że co najmniej jeden z nas jest psychopatą. Wystękał odpowiednie wskazówki.

- Dziękuję - odparł Morley. - Byłeś bardzo miły i uprzejmy. Jako dowód mojego uznania przyjmij tę drobną nagrodę. - Upuścił na dłoń mężczyzny kilka monet, zacisnął na nich jego palce. po czym wrócił do powozu. - Pierwsza w lewo i prosto aż do szczytu wzgórza.

Obejrzałem się na ogrodnika, który wciąż siedział na skraju alejki. W jego szybko puchnących oczach pojawiły się błyski złośliwości.

- Myślisz, że to zdrowo napytać sobie tutaj wrogów?

- Ten facet na pewno nic nam nie zrobi. Myśli, że jestem stuknięty.

- Nie wyobrażam sobie, jak ktoś w ogóle mógł o tobie pomyśleć coś takiego.

Pozostał nam już tylko jeden zakręt. Po obu stronach drogi rozciągał się cmentarz.

- Teraz wiesz już, gdzie jesteś? - zapytał z nadzieją Morley. - Taki znak orientacyjny powinien być łatwy do zapamiętania.

- Łatwiejszy niż myślisz. Zdaje się, że nasz przyjaciel ogrodnik w coś nas wrobił. Za chwilę zobaczymy... - Skręciłem pomiędzy filary z czerwonego granitu, które otaczały wejście do grobowca rodziny Kronk. - Umarł?

- Zaraz się dowiemy.

Nie żył. Jego nazwisko figurowało jako ostatnie na obelisku pośrodku kwatery.

- Sądząc po dacie, dostał podczas ostatniego napadu Venageti. Pasuje to również do wspomnień, jakie o nim zachowałem. Zawsze był gotów powstać i wyć za Karentą.

- I co teraz zrobimy?

- Sądę, że poszukamy reszty rodziny. Tylko on miał tu rezydencję. Morley uniósł brew.

- Stąd już znajdę drogę. Razem z Kayean spacerowaliśmy tu wieczorami i... no...

- Na cmentarzu?

- Nic tak jak grobowce nie przypomina, jak mało czasu pozostało na przyjemności.

- Wy, ludzie, jesteście bardzo dziwni. Jeśli potrzebujesz afrodyzjaka, jest taki środek robiony z korzenia jakiejś rośliny podobnej do ziemniaka. Zajmują się tym plemiona sidhów z doliny rzeki Benecel. Mikstura utrzyma twój żołnierz w pozycji na baczność przez wiele godzin. I jeszcze jedno: używając go, możesz być pewien, że nie zostaniesz tatusiem.

Wegetariańskie środki podniecające? Niektórzy posuwają się zdecydowanie za daleko.

XXII

Po wyjściu z cmentarza, bez trudu, z jedną tylko pomyłką znalazłem drogę do domu Kronków. Z ulicy sąsiedni dom był bardziej podobny do tego, który pamiętałem, niż ten właściwy. Znajdowaliśmy się już w połowie schodów, kiedy spostrzegłem w cieniu magnolii klatki z pawiami.

- W tył zwrot i naprzód marsz - mruknąłem do Morleya. - O jeden dom za blisko.

Teraz sobie przypomniałem. Kiedy Kayean nie dość ostrożnie wymykała się tam i z powrotem, ptaszyska podnosiły takie larum, że cały wieczór był z głowy, jeśli przypadkiem stało się to w kierunku „tam”. Stary wiedział doskonale, co się dzieje, ale brakowało mu szybkości, żeby ją złapać. Kayean była zwinna jak sarna.

Wyjaśniłem to Morleyowi, kiedy wycofywaliśmy się w kierunku ulicy.

- Jakim cudem taki niezguła jak ty spotkał cacko mieszkające w takim miejscu?

- Poznaliśmy się na balu dla samotnych oficerów, wydanym przez admirała. Były tam wszystkie dobrze sytuowane panny do wzięcia z Full Harbor.

Rzucił mi spojrzenie pełne przesadnie dramatycznego niedowierzania.

- Podawałem do stołu - wyznałem.

- Co może sprowokować romans z przedstawicielem klasy niższej? Magnetyzm zwierzęcy, aura niebezpieczeństwa i magia zakazanego owocu - powiedział ze śmiertelną powagą.

Nie wiedziałem, czy się obrazić, czy nie.

- Cokolwiek to było, stanowiło najpiękniejszą rzecz, jaka przydarzyła mi się w młodości. Od tamtej pory nic nie zdołało jej zatrzeć.

- Tak jak powiedziałem: romantyk. - I dał spokój.

- Dużo się zmieniło od czasu, kiedy byłem tu po raz ostatni. Ktoś całkiem przebudował to miejsce.

- Jesteś pewien, że to tu? - Aha.

Wszystkie wspomnienia zapewniały mnie, że tak jest.

Spacerowaliśmy z Kayean po tym terenie pod czujnym okiem cierpliwej i spokojnej matki, która uznała nasz romans za przelotny i nie uwierzyłaby własnym oczom, gdyby nadepnęła na nas na cmentarzu.

Morley uwierzył mi na słowo.

Byliśmy o piętnaście metrów od wejścia, kiedy jakiś mężczyzna w liberii wyszedł nam na spotkanie.

- Nie wygląda na zadowolonego, że wpadliśmy na pogawędkę.

- I nie wygląda też jak przeciętny chłopak do posług - burknął Morley.

O, nie. Wyglądał jak Saucerhead Tharpe w podeszłym wieku, ale wciąż jeszcze niebezpieczny. Sposób, w jaki nas prześwietlił, świadczył o tym, że - bez względu na wytworny strój - nie zmyliliśmy go ani o jotę.

- Czy mogę panom w czymś pomóc?

Postanowiłem walić prosto z mostu, niemal uczciwie; spodziewałem się pomyślnego rozwiązania.

- Nie wiem. Przyjechaliśmy z TunFaire w poszukiwaniu Klausa Kronka.

Chyba go cokolwiek zaskoczyłem.

- A już mi się zdawało, że znam wszystkie najlepsze kawały - stwierdził.

- Dosłownie parę minut temu dowiedzieliśmy się, że umarł.

- Więc co tu robicie, zamiast wracać do domu, jeśli dowiedzieliście się, że facet, którego szukacie, strzelił kopytami?

- Był tylko jeden powód, dla którego chciałem się z nim spotkać: muszę się dowiedzieć, jak skontaktować się z jego najstarszą córką. Wiem, że wyszła za męża, ale nie wiem za kogo. Myślałem, że może jej matka albo ktoś z rodziny, kto jeszcze tu mieszka, mógłby wskazać mi właściwy kierunek. Czy jest ktoś w domu?

Wyglądał, jakby wszystko to stawało się dla niego zbyt skomplikowane.

- Musi pan mówić o ludziach, którzy tu kiedyś mieszkali. Przeprowadzili się kilka lat temu.

Wszystkie zmiany były dość świeże, by podtrzymywać jego stwierdzenie.

- Nie wie pan, gdzie ona może być?
 - A powinienem, do diabła? Nie wiedziałem nawet, że ktoś taki istnieje, dopóki pan mi nie powiedział...
 - Dziękujemy za poświęcony nam czas i okazaną uprzejmość. Musimy odnaleźć ją w inny sposób.
 - A w ogóle po co wam ta machuska? Zamyśliłem się nad odpowiedzią.
 - Wrzuć kamień w bajoro - podsunął Morley - a zobaczysz, w którą stronę uciekną żaby.
 - Reprezentujemy wykonawców testamentu, którego ona jest jedyną spadkobierczynią - oznajmiłem.
 - Lubię, kiedy mówisz brzydko i uczenie - stwierdził Morley i zwrócił się szybko do naszego nowego kumpla: - Odziedziczyła niezły kasek. - A do mnie szepnęła głosem brzuchomówcy: - Rzuć cyfrą, niech zobaczę, jak mu oczy wypadają na żwir.
 - Około stu tysięcy marek, minus honorarium wykonawcy. Oczy nie wypadły mu na żwir. Nawet nie mrugnął.
 - Myślałem, że już słyszałem wszystkie najlepsze kawały - wymamrotał.
 - Dzięki za uprzejmość i poświęcony nam czas - powtórzyłem i ruszyłem w stronę ulicy.
 - Następny przystanek? - zapytał Morley.
 - Popytamy w sąsiednich domach. Ludzie, którzy tu mieszkają, powinni znać tę rodzinę. Może nam coś podsuną.
 - Jeśli też się nie wyprowadzili. Co sądzisz o tym facecie?
 - Nie chcę wyrabiać sobie opinii, zanim nie pogadam z innymi ludźmi.
- W następnym domu spotkaliśmy się z mniej wojowniczym, acz niewiele bardziej pouczającym przyjęciem. Ci ludzie mieszkali tu dopiero od roku i o Kronkach słyszeli tyle, że Klaus został zabity podczas ostatniej inwazji Venageti.
- Rozumiesz coś z tego? - zapytałem, kiedy zawróciliśmy w stronę domu z pawiami.
 - Z czego?
 - Powiedział, że Kronk został zabity podczas inwazji Venageti. Nie przez Venageti.

- Niedokładność, zapewne spowodowana lenistwem.

- Możliwe. Ale ja mam wyczulone ucho na takie szczegóły. Nieraz uwypuklają obraz, który ludzie tworzą mimo woli, tak jak muśnięcia pędzla.

Pawie darły się jak opętane przez siedem diabłów, zaledwie nas zoczyły. Przykładały się, jakby okazja do wrzasku zdarzyła im się po raz pierwszy od wieków.

- Boże - mruknąłem. - Nic a nic się nie zmieniła.

- Zawsze była stara i brzydka? - zapytał Morley, gapiąc się na kobietę, która śledziła nasze ruchy z bocznego balkonu.

- Nawet ubranie ma to samo. Ostrożnie z nią. Jest czymś w rodzaju wiedźmy na pół etatu.

Mały człowieczek w zielonym ubraniu i czerwonej czapeczce z włóczki zabiegł nam drogę, skrzeczając coś w języku, którego nie rozumiałem. Morley złapał kamień i zamierzył się, ale go powstrzymałem.

- Co ty wyprawiasz?

- To gadzina, Garrett. Może biegają na tylnych łapach i wydają dźwięki, które brzmią jak język, ale to gadzina jak każdy Zwyczajny szczur.

Mimo to upuścił kamień.

Mam swoje niewzruszone zdanie na temat szczurów, nawet tych, które chodzą na tylnych nogach i wykonują takie społecznie użyteczne prace jak kopanie grobów. Rozumiałem, jeśli nie szczególnie uprzedzenie, to przynajmniej nastrój Morleya.

Stara Wiedźma - nigdy nie słyszałem, żeby ktoś nazwał ją inaczej - uśmiechnęła się do nas, demonstrując szczyrby w uzębieniu. Wyglądała jak każda wiedźma z każdej bajki, jaka kiedykolwiek powstała i bez cienia wątpliwości było to całkiem celowe działanie.

Z góry rozległ się opętanczy chichot. Pawie odpowiedziały wrzaskiem jak swojemu.

- Upiorne - mruknął Morley.

- To jej image. Jej gra. Wszystko jest umyślne.

- Ty tak twierdzisz.

- Tak mówili, kiedy tu bywałem. Stuknięta jak gnom w wodorostach, ale nieszkodliwa.

- Nikt, kto hoduje te małe zmije, nie jest nieszkodliwy. Lub niewinny. Pozwól im pętać się po ogrodzie i natychmiast zaczynają się rozmnażać jak króliki, i zanim się obejrzysz, swoimi wrednymi sztuczkami wypędzą wszystkich przyzwoitych ludzi z okolicy.

Staliśmy teraz pod samym balkonem. Zapomniałem wspomnieć o wcześniejszej reakcji Morleya na bigoterię ogrodnika. Nic by to nie dało. Ludzie zawsze wierzą, że ich rasizm jest wynikiem boskiego natchnienia, i absolutnie nie można tego podważyć.

Mój wstręt do ludzi-szczurów jest, oczywiście, jedynym wyjątkiem w regule irracjonalności cechującej tego rodzaju wierzenia.

Stara Wiedźma zaklekotała znowu, a pawie jeszcze raz odpowiedziały jej chórkiem.

- Wiecie, on został zamordowany - stwierdziła pod naszym adresem.

- Kto? - zapytałem.

- Facet, którego szukacie, prywatny detektywie Garrett. Syndyk Klaus. Myślą, że nikt nie wie. Mylą się, głupcy. Widziano ich. Widziano ich, co nie, moje śliczności?

- W jaki sposób...

- Myślałeś, że ty z tamtą dziewczyną możecie sobie wymykać się noc po nocy, gnać na cmentarz, aby zaspokoić swoje żądze? I to wszystko tak, żeby ludziki tego nie zauważyły? Mówią mi wszystko, wszyściutko. I nigdy nie zapominają nazwiska ani twarzy.

- A nie mówiłem, że to gadzina? - mruknął Morley. - Czają się w mroku kamieni nagrobnych i podglądają. I pewnie ryczą ze śmiechu, aż im stają te małe czarne serca, bo nie ma zabawniejszego widoku niż kopulująca para.

Może trochę się zaczerwieniłem, ale poza tym zignorowałem uwagę.

- Kto go zabił? - zapytałem. - I dlaczego?

- Moglibyśmy wymienić parę nazwisk, co nie, moje śliczności? Ale po co? Nie ma teraz powodu.

- Powiedz przynajmniej, dlaczego został zabity?

- Dowiedział się czegoś, co, jak się okazało, nie było dla niego zdrowe. Co nie, moje śliczności? Co nie? - zaklekotała znowu.

Pawie zawtórowały jej ochoczo. Świetny żart.

- Co to mogło być?

Śmiech nagle wyparował z jej oczu i twarzy.

- Nie usłyszycie tego ode mnie. Może ta machuska Kayean wie. Spytaj ją, kiedy się już spotkacie. Może i ona nie wie. Ja nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

Już drugi raz tego dnia określono Kayean mianem „machuska”. Usłyszałem ten wyraz po raz drugi, odkąd opuściłem Marines i Kantard. Słowo to jest szczególnie obrzydliwe w rynsztokowym slangu Venageti i oznacza kobietę, która utrzymuje stosunki seksualne z przedstawicielami innych gatunków. Nasz „koboldzi materac” jest w porównaniu z nim słodkim słówkiem.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie ona jest?

- Nie. Nie wiem.

- A mogłabyś mi wyjawić, gdzie znaleźć kogoś z jej rodziny?

- Nie wiem. Może wszyscy razem pojechali za nią. Może się wyprowadzili, żeby ukryć swój wstyd? - zaklekotała, ale nie włożyła w to zbyt wiele serca. Pawie też nie. Ich słabiutka reakcja była przejawem czystej litości.

- Możesz nam jakoś pomóc?

- Dam wam pewną radę. Czekałem.

- Patrz uważnie, kiedy będziesz chodził między nagrobkami. Zwłaszcza, jeśli znajdziesz tablicę z imieniem Kayean. Może ci pokazać ten, na którym wyryte jest jej nazwisko.

- Wynośmy się stąd póki czas - mruknąłem do Morleya. - Może to jest zaraźliwe.

Zgodził się ze mną. Podziękowałem Starej Wiedźmie. Wycofaliśmy się, pomimo jej wysiłków, żeby nas zatrzymać.

- Warto było? - spytał Morley.

- Jeszcze jak.

Mały facecik w zieleni i czerwieni wyskoczył na ścieżkę. Zdjął czapeczkę i skłonił się, po czym obdarzył Morleya bardzo wymownym, obscenicznym gestem i chichocząc, uciekł w krzaki.

Tym razem nie powstrzymałem Morleya przed rzuceniem kamienia. Czaili się pomiędzy grobami, czyż nie?

Chichot zakończył się nagłym „Auu!”.

- Mam nadzieję, że rozwaliłem mu łeb - burknął Morley. - Co teraz robimy?

- Wrócimy do gospody i zjemy coś. Rzucimy okiem na trojaczki.

Pochłepczemy piwka. Pomyślimy. Popołudnie możemy spędzić na poszukiwaniach w parafii lub w księgach cywilnych.

- Co chcesz znaleźć?

- Na przykład, za kogo wyszła, jeśli ślub odbył się tutaj. Była dobrą, ortodoksyjną dziewczyną. Na pewno chciałaby tego formalnego i dekoracyjnego przedstawienia. Łatwiej nam będzie szukać przez męża, jeśli znajdziemy jego nazwisko.

- Nie chcę być pesymistą, Garrett, ale mam przeczucie, że dziewczyna, którą znałeś i której szukasz teraz, a kobieta, którą spotkamy, to dwie różne osoby.

Miałem to samo smutne przeczucie.

XXIII

- Gdzie oni są, u diabła! - ryknął Morley na karczmarza.

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć?! - ryknął w odpowiedzi barman, widocznie przyzwyczajony do takich rozmów. - Kazałeś nie dawać im nic do picia, ale nie mówiłeś ani słowa o niańczeniu czy pilnowaniu, żeby nie wyszli na ulicę. Jeśli o mnie chodzi, to wyglądali na osoby, które potrafią wyjść z domu i bawić się same.

- On ma rację, Morley. Uspokój się.

Nie chciałem, żeby za mocno się wzruszył. Później musiałyby Przebiec piętnaście kilometrów, żeby to wytrząść. Wydawało mi się, że inteligentniej zrobimy, jeśli będziemy trzymać się razem tak ciasno, jak tylko można. Sądząc ze słów Starej Wiedźmy, jeśli, rzecz jasna, wiedziała, co mówi, można było przypuszczać, że gdzieś w pobliżu czai się morderca, który w końcu może się zdenerwować naszym wścibstwem.

- Uspokój się i pomyśl - powtórzyłem. - Znasz ich. Co mogliby teraz robić?

- Cokolwiek - burknął. - Dlatego nie mogę się uspokoić. Zastosowałem się jednak do mojej rady i wdrapałem na krzesło po drugiej stronie stołu.

- Muszę znaleźć gdzieś jakieś przyzwoite jedzenie. Albo coś rodzaju żeńskiego. Widzisz, co się ze mną dzieje - oznajmił.

Nie miałem okazji postawić moich dwutygodniowych zarobków. Do knajpy wszedł Dojango. Wyglądał jak kogut na paradzie. Łapy trzymał w kieszeniach, ramiona odrzucił w tył i wysoko zadarł nos.

- Spokojnie - ostrzegłem Morleya.

Doris i Marsha mieli gęby o strukturze starego, rozdeptanego kapcia, ale szczerzyli zęby. Zadzieranie nosa przekraczało jednak ich siły. Sufit znajdował się na wysokości trzech i pół metra. Morley poradził sobie całkiem nieźle.

- Co się stało, Dojango? - zapytał.

- Wyszliśmy na spacer i pokonaliśmy bandę dwudziestu marynarzy. Dosłownie pozamiataliśmy nimi ulicę.

- Spokojnie - mruknąłem do Morleya, opierając się na jego ramieniu.

Sądząc z wyglądu Dojango w porównaniu z braćmi, jego udział w

walce ograniczał się przede wszystkim do nadzoru.

- Może opowiedzielibyście wszystko od początku - podsunął Morley.

- Zaczynjcie od tego, po co wyszliście na spacer.

- Och. Poszliśmy poobserwować port na wypadek, gdyby pojawił się ktoś interesujący. Na przykład ci faceci z jachtu o pasiastym żaglu albo ci, którzy porwali dziewczyny Garretta, albo nawet same dziewczyny.

Morley okazał łaskę i udawał zaskoczonego. - I co?

- Wracaliśmy do domu, kiedy natknęliśmy się na tych marynarzy.

Doris - a może Marsha - mruknął coś pod nosem. Morley przetłumaczył:

- Twierdzi, że ich przezywali. - Z trudem utrzymywał pokerową minę. - No i dobrze. A poza oczyszczeniem ulicy z marudnych, brzydko mówiących żeglarzy, czego jeszcze udało wam się dokonać?

- Widzieliśmy, jak jacht z pasiastym żaglem zawija do portu. Jeden facet... ten sam, którego Marsha podtopił w Leifmold... wyszedł na ląd. Wynajął riksę. Pomyśleliśmy, że jeśli pójdziemy za nim, szybko się zorientuje, więc nawet nie próbowaliśmy. Podeszliśmy jednak na tyle blisko, że usłyszeliśmy, iż kazał riksarzowi zawieźć się do rady cywilnej miasta.

W Full Harbor są dwie współzawodniczące organizacje administracyjne: cywilna i wojskowa. Ich machlojki stanowią stały punkt rozrywkowy w nudnym życiu miasta.

- Dobra robota - bąknął Morley.

- Warta piwa? - zapytał Dojango.

Morley spojrzał na mnie. Wzruszyłem ramionami. To była jego sprawa.

- W porządku - powiedział.

- A może dwa?

- A to co? Cholerna aukcja?

Wsiadliśmy z Morleyem do powozu.

- A teraz gdzie, niezrównany detektywie?

- Myślałem o radzie cywilnej miasta, ale Dojango sprawił, że zmieniłem zamiar. Nie chcę znowu wpaść na tego faceta, jeśli to niekonieczne.

- Twoja ostrożność jest w porządku, nawet jeśli tracisz przez nią trochę klasy. Miej oko na miejsce, gdzie można coś zjeść.

- Wstawać - zwróciłem się do koni. - I rozglądajcie się za pastwiskiem. Morley musi sobie poskubać trawki.

Nie rozumiem tego. Weszliśmy do kościoła, a tam nic się nie działo. Sądząc z tego, co widziałem, dla ortodoksów każdy dzień jest obowiązkowym świętem.

- W czym mogę panom pomóc? - zapytał dwudziestoletni księżyk, którego twarz jeszcze nie wymagała brzytwy. Wydawał się niespokojny. Nie weszliśmy jeszcze do przybytku dalej niż na dziesięć kroków, a już się zdradziliśmy, że jesteśmy profanami. Musieliśmy zapomnieć o jakimś przykłęku czy czymś podobnym.

Wcześniej już postanowiłem, że z Kościołem będę grał w otwarte karty - nie mówiąc wszystkiego, oczywiście. Powiedziałem księdzu, że staramy się odszukać Kayean Kronk z jego parafii, ponieważ w TunFaire czeka na nią wielki spadek.

- Myślałem, że ktoś, kto tu pracuje, udzieli nam jakichś wskazówek. Czy mógłbym porozmawiać z przełożonym księdza?

Skrzywił się lekko.

- Powiem mu, że tu jesteście - oznajmił w końcu niechętnie. - I zapytam, czy zechce was przyjąć. Morley ledwie odczekał, aż chłopak zniknął z zasięgu słuchu, i zganił mnie:

- Jeśli chcesz coś wyciągnąć od tych tutaj, powinieneś przynajmniej udawać bigota.

- Jak można to zrobić, kiedy się nie ma zielonego pojęcia, co robić?

- Myślałem, że przychodziliście tu na msze z dziewczyną. Przynajmniej tak mówiłeś.

- Nie jestem religijny. Przesypiałem je. Venageti nie dotarli tu w trakcie inwazji.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Spójrz na to złoto i srebro. Wśród Venageti nie ma ortodoksów. Ograbiliby to miejsce, a łup pierwszym statkiem odesłali do domu.

Ksiądz wrócił, niemal bez tchu.

- Sair Lojda poświęci wam pięć minut na przedstawienie waszej sprawy. - A kiedy ruszyliśmy za nim, dodał szybko: - Sair przyzwyczajony jest do rozmów z niewiernymi, ale nawet od nich oczekuje szacunku i uszanowania należnego jego stanowisku.

- Z całą pewnością nie zacznę od poklepania go po plecach i

zaproszenia na piwo - odparłem.

Sair był pierwszą osobą, która poprosiła mnie o okazanie dokumentów. Aż mnie podnosiło, kiedy je oglądał. Nie poświęcił nam całych obiecanych pięciu minut. Przerwał mi:

- Musicie zobaczyć się z ojcem Rhyne. Był spowiednikiem rodziny Kronków i ich duchowym doradcą. Mike, zaprowadź tych panów do ojca Rhyne'a.

- Co tak szczerzysz zęby? - zapytałem Morleya natychmiast po opuszczeniu pomieszczenia.

- Kiedy po raz ostatni słyszałeś, aby duchowny potrzebował mniej niż trzy godziny tylko po to, żeby ci życzyć miłego dnia?

- Och.

- Co za wysuszona, zrzędna mumia, nie?

- Uważaj, co mówisz, Morley.

Miał rację. Gęba Saira przypominała mi na pół zgniłą brzoskwinie, która schła na pustyni przez pół roku.

Ojciec Rhyne też nie był całkiem zwyczajny. Miał około półtora metra wzrostu i niemal tyle samo szerokości, był łysy jak strusie jajo, ale z uszu sterczało mu dość włosów, żeby zapełnić pięćdziesiąt opustoszałych czaszek. Był nagi do pasa i wydawało się, że wykonuje jakieś ćwiczenia gimnastyczne. Nigdy w życiu nie widziałem równie owłosionej twarzy i ciała.

- Jeszcze kilka minut, panowie - powiedział, wypacając z siebie hektolitry płynu. - Dobrze. Daj mi ręcznik, Mike. Usiłuję spuścić parę pudów - wyjaśnił nam. - W czym mogę pomóc?

Po raz kolejny odśpiewałem moją śpiewkę wraz ze wszystkimi chórami. Zastanawiałem się, czy wystarczy mi beczka piwa, zanim wydobędę z niego coś na temat Kayean Kronk.

Myślał przez minutę, po czym stwierdził:

- Mike, bądź tak dobry i przynieś tym panom coś do picia. Dla mnie piwo.

- Dla mnie też - zacząłem.

- Ach, kolejny koneser. Dżentelmen bliski memu sercu. Morley bąknął coś na temat bezmyślnego marnowania ziaren, które można by zemieć i wypiec na wysokobłonnikowe chleby, co dałoby tysiącom głodujących odpowiednią masę uzupełniającą ich codzienną, ubogą

dietę.

Ojciec Mike i ojciec Rhyne spojrzeli na niego, jakby był obłąkany. Nie sprostowałem ich przypuszczeń, lecz zwróciłem się z prośbą:

- Może uda się znaleźć gdzieś rutabagę. Jeśli nie będzie się za mocno wrywać, proszę wycisnąć z niej pół kwarty krwi i mu podać.

- Szklanka zimnej źródlanej wody wystarczy w zupełności - powiedział Morley. Chłodno. Stanowczo.

Postanowiłem nie jeździć na nim zbyt długo.

Zaledwie nasz przewodnik wyszedł na zewnątrz, ojciec Rhyne wyznał:

- Chciałem, żeby Mike nie plątał się tutaj. Ma tendencje do plotkowania. Na pewno nie chcecie, żeby to się rozniosło dalej niż trzeba. Szukacie zatem Kayean Kronk. Dlaczego właśnie tu?

- Kronkowie byli religijną rodziną. Należeli do tej parafii. Wiem, że jakiś czas temu Kayean Kronk wyszła za męża, ale nie znam nawet nazwiska jej męża. Sądzę, że zgodnie ze swoim charakterem, zażyczyła sobie wielkiego ślubu z pompą. Jeśli tak, i jeśli ślub odbył się tutaj, nazwisko jej narzeczonego powinno znajdować się w rejestrze.

- Nie brała ślubu w kościele. Ani tu, ani nigdzie indziej - oznajmił ksiądz. Było coś dziwnego w złowrogim tonie, jakim to powiedział.

- Czy mógłby mi ojciec udzielić jednej lub dwóch użytecznych wskazówek na jej temat lub kogoś z rodziny Kronków, kto zechciałby nam pomóc?

Gapił się na mnie przez pół godziny.

- Wyglądasz na dość uczciwego faceta, jeśli nawet nie na aniołka. Sądzę jednak, że nasze zawody w tym względzie są do siebie dość podobne. Zadowolileś Saira, który ma oko jak sokół, zwłaszcza kiedy chodzi o osądzenie czyjegoś charakteru. Pomogę ci ze wszystkich sił, jeśli nie będę musiał pogwałcić tajemnicy konfesjonału.

- W porządku. Co może nam ojciec powiedzieć?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, gdzie ją znaleźć.

- Czy ta informacja jest zastrzeżona?

- Nie. Nie wiem.

- A nazwisko faceta, za którego wyszła?

- Tego też nie mogę powiedzieć...

- Zastrzeżone? Czy też ojciec nie wie?

- Sześć z jednego, pół tuzina z drugiego.
- Dobrze. Później pomyślę, jak z tego wyciągnąć cały tuzin. Może mi ojciec powiedzieć, jak skontaktować się z jej rodziną?
- Nie. - Zanim zapytałem, uniósł dłoń i oznajmił: - Niewiedza, a nie zastrzeżona informacja. O jakimkolwiek Kronku słyszałem ostatni raz około dwóch lat temu. Jej brat Kayeth został udekorowany i awansowany na majora kawalerii za udział w zwycięstwie pod Latigo Wells.

Morley poruszył się niemal niedostrzegalnie.

Oho, jeszcze jeden kawalerzysta. Mogło to coś znaczyć albo i nie. Kayeth był młodszy od Kayean, co oznaczało, że był młodszy także od Denny'ego i ode mnie. Ich okresy służby mogły się w ogóle nie nakładać.

Idiota! Nie musiały się nakładać, by doszło do ich spotkania, jeśli Denny został po mnie jej kochankiem.

- Nie pamięta ojciec, w jakiej był jednostce?

- Nie.

- Nieważne. To nietrudno ustalić. Kiedy po raz ostatni widział ojciec Kayean?

Musiał chwilkę pomyśleć. Sądziłem, że ma kłopoty z pamięcią, ale się myliłem. Z dokładnością co do minuty podał mi czas i datę sprzed ponad sześciu lat i dodał:

- Wtedy przestała istnieć w oczach Kościoła. - Hę?

- To znaczy, że została ekskomunikowana - odezwał się Morley. Ojciec Rhyne przytaknął.

- Za co?

- Przyczyny ekskomuniki wyjawiane są jedynie duszy, która ma zostać odsunięta od łaski.

- Czekaj no. - Miałem w głowie kompletne zamieszanie. - Czy my mówimy o tej samej kobiecie?

- Spokojnie, Garrett - wtrącił się Morley. - Ekskomunika niekoniecznie oznacza, że stała się jakimś religijnym desperado. Robią ci to samo, jeśli nie pozwolisz im zagarnąć całego swojego majątku, a jeśli jesteś kobietą, również i za to, że robisz to, co im się nie podoba.

Była to umyślna prowokacja. Ojciec Rhyne przyjął ją lepiej, niż się spodziewałem.

- Słyszałem, że takie rzeczy zdarzają się na północy, ale nie tutaj - oświadczył. - Tu, w tej archidiecezji, Kościół jest okrutny - pierwszy ksiądz, który spróbowałby tych sztuczek, zostałby spalony na stosie jak wampir. Powody ekskomuniki Kayean mieściły się w ramach praw Kościoła.

Wtrąciłem się, zanim Morley wyraził swoją opinie na temat bezdusznych praw, które w żadnym razie nie są zgodne z jego złotymi zasadami.

- Doprawdy, te informacje raczej nam nie pomogą, ojcze. Chyba że bezpośrednia przyczyna ekskomuniki ma związek z tym, gdzie teraz przebywa Kayean.

Ojciec Rhyne potrząsnął głową, ale okazał cię wahania, świadczący o braku pewności.

- Moim zadaniem, jedynym zadaniem, jest odnalezienie tej kobiety w celu powiadomienia jej o odziedziczonych stu tysiącach marek. A kiedy już jej to oznajmię, odwiozę ją do TunFaire, ponieważ powinna się tam stawić osobiście. Jeśli nie zechce spadku, muszę otrzymać legalne zeznanie, tak aby mogli skorzystać z pieniędzy ci, którzy znajdują się dalej na liście. I to wszystko. To wszystko.

- Tym niemniej ma pan w tym osobisty interes.

Garrett Szklane Drzwi, tak mnie nazywają. Widać przeze mnie na wskroś.

- Zmarły był moim dobrym kumplem. Chciałem zobaczyć, co za kobieta skłoniła go do pozostawienia jej wszystkiego, co posiadał, skoro nawet nie widział jej przez ostatnie siedem lat.

Cię uśmiechu zatańczył w kąciку ust Rhyne'a. Zamilkłem, lekko zbity z tropu.

- W cieniach kamieni nagrobnych - powiedział Morley.

No jasne. Fakt. Rhyne był spowiednikiem Kayean. Nie powiedział na ten temat ani słowa, ale pamiętał zapewne wyznanie grzechów dotyczących także pewnego Marines nazwiskiem Garrett.

- Doskonale. Wiemy więc, na czym stoimy. Wiemy, jakie mam zadanie. Stawiałem pytania, które wydawały mi się na temat... kilka z nich może nie było na temat, parę wręcz niedyskretnych.. i sędzę, że odpowiedzi padały uczciwe. Czy zechciałby ojciec się zastanowić i odpowiedzieć z własnej woli, co jeszcze mogłoby mi pomóc?

- Czekaj no chwilę, Garrett - odezwał się Morley. Przemknął do drzwi bezszelestnie jak obłoczek i otworzył je jednym szarpnięciem.

Ojciec Mike omal nie wpaść do środka nosem do przodu. A już się zastanawiałem, co go zatrzymuje.

- Ach, nareszcie piwo! - Ojciec Rhyne miał na twarzy gościnny i jowialny uśmiech, ale jego oczy były zupełnie poważne. - Proszę postawić tacę i wrócić do swoich zajęć, Mike. Porozmawiamy później.

Ojciec Mike zrobił taką minę, jakby się modlił, żeby to później nigdy nie nadeszło.

Rhyne postanowił widocznie udawać, że nic nieprzyjemnego się nie stało. Nalał piwa z potwornych rozmiarów dzbana do monstualnych kufli. Woda dla Morleya znajdowała się w szklanym naczyniu podobnych rozmiarów. Za ledwie pociągnąłem pierwszy łyk, kiedy ojciec Rhyne oderwał kufel od ust z pełnym satysfakcji „Achhh”, wytarł je owłosionym przedramieniem i czknął jak młody piorun, po czym dolał sobie jeszcze z pół kwarty.

Zanim je wychylił, powiedział:

- Jaką informację wam podać? Mogę powiedzieć, że nie znajdziecie dziewczyny w Full Harbor. Mogę poprosić, abyście poruszali się bardzo ostrożnie, ponieważ jestem przekonany, choć bez absolutnej pewności, że niektórzy ludzie woleliby, żebyście jej nie znaleźli. Mogę zasugerować, abyś nie szukał jej, kierując się portretem, jaki masz w pamięci, bo nigdy jej nie znajdziesz.

Dokończyłem piwo.

- Dzięki. Doskonale.

- Sami je robimy. Czy coś jeszcze?

- Nie... aha, coś zupełnie z innej beczki. Słyszałem, że jej ojciec został zamordowany. Jaki komentarz?

Uciekł oczami w bok.

- To możliwe.

Widać było, że najchętniej zamurowałyby sobie szczęki na tym tajemniczym stwierdzeniu. Postawiłem swój kufel na tacy. Morley poszedł za moim przykładem. Wchłonął w siebie dość wody, by pokazać, że mu smakuje w ilościach mniejszych niż morskie fale. Skierowaliśmy się do drzwi.

- Dziękujemy za wszystko - powiedziałem.

- Proszę. Jeśli ją znajdziecie, przekażcie, że nie przestaliśmy jej kochać, nawet jeśli nie możemy jej wybaczyć. To może pomóc.

Nasze oczy spotkały się na chwilę. I nagle zrozumiałem, że on wcale nie miał na myśli „nas”. Zrozumiałem, że wszystko to było czyste i niewinne jak uczucie doskonałego rycerza ze starego romansu.

- Dobrze, ojcze.

- Jeszcze jeden - stwierdził Morley, kiedy wyszliśmy na zewnątrz. - Muszę zobaczyć tę kobietę.

W jego głosie nie było ani cienia sarkazmu.

XXIV

- Robimy jakieś postępy? - zapytał Morley, gdy wsiedliśmy do wynajętego powozu.

- O, tak. Zaoszczędziliśmy sobie nieco pracy nogami. Nie musimy oblaźić każdej po kolei ortodoksyjnej parafii w Full Harbor. Dołożyliśmy za to wizytę w biurze izby wojskowej, żeby sprawdzić, czy możemy liczyć na ich pomoc w odnalezieniu Kayetha Kronka.

Nie cieszyłem się zbytnio z tej wizyty. Prawdopodobnie wezmą nas za szpiegów Venageti.

- Co teraz?

- Spróbujemy. Możemy przy okazji wybrać się też do izby cywilnej, chociaż nie wiem, czy uda nam się cokolwiek dowiedzieć. Możemy też wrócić do gospody, a ja położę się i będę liczył muchy na suficie, zastanawiając się, co zdrowa na umyśle młoda kobieta może zrobić, żeby zasłużyć sobie na ekskomunikę.

- Nie brzmi to zbyt produktywnie. Walenie łbami w drzwi armii może nam zająć cały dzień, a osiągniemy tylko tyle, że każą się wynieść i zostawić ich w spokoju.

- To znaczy, że walimy do izby cywilnej.

Wchodziliśmy już na schody, gdy ktoś za naszymi plecami ryknął:

- Hej, wy dwaj!

Zatrzymaliśmy się i zrobili w tył zwrot. Obok powozu stał urzędnik miejski, typ, który nosi broń i powinien w zasadzie bronić obywateli przed złośliwością sąsiadów, ale większość czasu spędza na napychaniu sobie kabzy i osłanianiu reputacji bogatych i silnych.

- To wasze? - Tak.

- Nie możecie go tu zostawić. Nie chcemy końskich bobków na całym placu.

Miał swoją rację i wyraził ją wyjątkowo sympatycznie. Zszedłem na dół.

- Ma pan jakiś pomysł, co mógłbym z nim zrobić?

Nie miał pojęcia kim jesteśmy. Przyjechaliśmy eleganckim powozem, byliśmy dobrze ubrani. Morley wyglądał prawie jak obstawa, a ja miałem na gębie niewinny, cherubinowy uśmiezek.

Załatwiłem go tym prostym pytaniem tak, że zaraz połknąłby własny but. A ja przypilnowałbym, żeby się nim udławił.

- Zazwyczaj prosimy gości, by zostawiali pojazdy na podwórzu za budynkiem, sir. Mogę go tam przestawić, jeśli pan sobie życzy.

- To bardzo uprzejme i byłbym szczerze zadowolony. - Wcisnąłem mu do garści napiwek mniej więcej półtora raza większy niż obowiązująca w takich sytuacjach taksa. Dość, aby wyrzeć wrażenie, za mało, żeby wzbudzić urazę lub podejrzenie.

- Dziękuję, sir.

Obserwowaliśmy, jak wprowadza powóz w wąską alejkę pomiędzy budynkiem rady a miejskim więzieniem.

- Sprytnie, Garrett. - Co?

- Powinieneś być hipnotyzerem. Urobiłeś go wyłącznie przy użyciu głosu, intonacji, zachowania i gestów. Sprytnie.

- To był eksperyment. Gdyby miał choć dwie uncje mózgu, którymi mógłby pogrzechotać, nie udałoby mi się.

- Gdyby miał te dwie uncje mózgu, zarabiałby na życie w uczciwy sposób.

Pomyślałem, że stosunek Morleya do tak zwanych urzędników państwowych jest równie cyniczny jak mój.

Następny funkcjonariusz służby publicznej, którego spotkaliśmy w ciekawszej sytuacji niż pytanie o drogę, miał akurat ze dwie uncje mózgu. Ledwo, ledwo.

Przekopywałem się przez coś, co przy dużej pobłażliwości mogłoby ująć za księgi statystyczne Full Harbor, i doszedłem do wniosku, że czworo spośród dzieci Kronków nie zostało w ogóle wymienionych. Morley, pchany własnym natchnieniem, grzebał w rejestrze własności kwater na cmentarzu. Wyciągnął jedną z ksiąg, usiadł koło drzwi i zaczął czytać.

Dwie Uncje pojawił się ni stąd, ni zowąd i zawył:

- Co wy sobie u diabła myślicie? Że to czytelnia publiczna?

- Prowadzimy poszukiwania.

- Wynoście mi się stąd natychmiast!

- Dlaczego? - znowu odwołałem się do głosu rozsądku.

To go przystopowało na chwilę. Dwie Uncje skakał jak szalony w poszukiwaniu czegoś o większym ciężarze gatunkowym niż odwieczne

oklepane „bo mnie się tak podoba”.

Morley dołożył mu ze swojej kasy:

- To są rejestry publiczne dostępne do wglądu obywateli. Dwie Uncje pozostał na placu boju jedynie z własną biurokracją w garści, ponieważ akurat tego nie był całkiem pewien.

- Zawołam strażników i każę was wyrzucić na zbite pyski, mądrale!

- To nie będzie konieczne. - Morley zatrzaskał księgę. - Po co urządzić sceny? Sprawa może poczekać do jutra, kiedy się wytłumaczysz przed sędzią.

- Sędzią? Jakim sędzią?

- Sędzią, który cię zapyta, dlaczego para takich uczciwych detektywów jak my, przysłanych aż z TunFaire, nie może spojrzeć na dokumenty, do których ma dostęp byle włóczęga z ulicy. - Wyszedł, aby odstawić księgę na miejsce.

Dwie Uncje gapił się, kiedy po sobie sprzątał. Myślę, że widział we mnie potencjalną katastrofę. Nie ma człowieka mniej pewnego swojej przyszłości niż najniższy urzędnik na synekurze, którą dzierży już wiele lat. Nic nie robił przez tak długi czas, że jednym, co potrafi naprawdę, jest właśnie nic. Perspektywa wyrzucenia z pracy stanowi dlań śmiertelne zagrożenie.

- Gotów? - zapytał Morley.

- W każdej chwili.

- Idziemy. Do zobaczenia rano, przyjacielu.

Mężczyzna obrócił się powoli, gapiąc się w ślad za nami. Twarz ciągle miał śmiertelnie przerażoną, ale trucizna już zaczęła się przesączać do jego oczu. Była tam nienawiść i żądza władzy, które z ludzi twierdzących, że są urzędnikami publicznymi, czynią najzłośliwszych kłamców.

XXV

- Jak mi poszło? - zapytał Morley, kiedy mijaliśmy frontową bramę. Śmiał się całą gębą.

- Nieźle. Może trochę cuchnęło prowincjonalnym teatrykiem. Miał ochotę się pokłócić, ale przerwałem mu w pół słowa.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Nie, jeśli nie obejdziesz cię fakt, że dom, po upływie przyzwoitego okresu od daty widniejącej na obelisku, sprzedała niejaka Madame Kronk osobistości o niezwyklej nazwisku Zeck Zack, i to za całkiem rozsądną cenę rynkową. Słyszałeś kiedy o nim?

- Nie.

- A ty co znalazłeś?

- Tylko tyle, że rada miasta bardzo swobodnie traktuje fakt narodzin i zgonów mieszkańców.

- Oho, a zważywszy, że ci Kronkowie uznani byli za prominentów, wyobraź sobie, co robią ze zwyczajnymi i pospolitymi zjadaczami chleba.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie zostawisz na swoim miejscu nawet jednego kamienia, dopóki nie znajdziesz tropu. Gdzież ten błazen, który zabrał powóz?

- Pewnie w najbliższej knajpie przepija napiwek. - No to weźmiemy powóz sami. Jesteśmy dużymi chłopakami i damy sobie radę.

Skręciliśmy w alejkę pomiędzy budynkiem rady a więzieniem. Jak na aleję miejską, była bardzo czysta - prawdopodobnie z powodu miejsca, w jakim się znajdowała - ale o tej porze dość ponura.

- Przypuszczalnie znajdziemy jakiegoś sędziego, który za drobną opłatą poprze nas w sprawie tego faceta - mruknął Morley.

- Nie sądzę, żeby Staruszek Tate zaakceptował ten wydatek, kiedy przedstawię mu rachunek kosztów.

Ktoś olbrzymi wyszedł nagle wprost ze ściany o jakieś trzy i pół metra przed nami. Nie widziałem go wyraźnie w tym oświetleniu.

- Za tobą - odezwał się Morley, po czym wydał z siebie przeraźliwy wrzask i rzucił się do przodu.

Okręciłem się na pięcie i schyliłem. W samą porę. Pałka przecięła

powietrze dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą była moja głowa. Kopnąłem faceta w podstawę jego marzeń i dołożyłem po gębie, kiedy klęknął, żeby się pomodlić. Za nim stał drugi typ, jeszcze bardziej zdziwiony ode mnie. Podskoczyłem i złapałem go za bark, próbując trafić kolanem w dołek. On z kolei usiłował wyciągnąć nóż, gdy nagle spojrzał mi przez ramię i w jego oczach pojawił się obłądny strach.

Prawdopodobnie Morley właśnie kończył swoją część roboty.

Mój przeciwnik starał się nadziać mnie na kolano, a ja jego. Tańczyliśmy tak przez chwilę, aż wreszcie stwierdził, że naprawdę powinien zmykać do wszystkich diabłów. Wykręcił się z moich miłosnych objęć i rzucił do ucieczki. Poczułem się usatysfakcjonowany. Obejrzałem się za siebie.

Przeciwnik Morleya był załatwiony. Sam Morley, złożony we dwoje, podpierał ścianę i wywracał własne wnętrzności na lewą stronę. Musiał nieźle oberwać.

Mój pierwszy ciągle leżał na ziemi, zwijając się i skręcając. Wydawał z siebie obrzydliwe dźwięki przypominające odgłos piłki do metalu w akcji. Światło było za słabe, żeby cokolwiek powiedzieć na pewno, ale stwierdziłem, że jego gęba ma nieciekawy kolor.

- Coś ty mu zrobił? - wyskrzecztał Morley.

- Kopnąłem go.

- Może połknął język? - Morley opadł na kolano i poruszył się chwiejnie.

Facet dokończył swojej etudy jedną potężną konwulsją i było po wszystkim. Dosłownie. Morley przeciągnął palcem po policzku trupa. Drapnąłem napastnika jednym z moich pierścieni. Rana miała paskudny kolor.

Spojrzałem na swoją rękę. Morley zrobił to samo.

Komora z trucizną jednego z pierścieni otworzyła się z powodu siły ciosu.

- Musimy się go pozbyć - stwierdził Morley. - I to szybko, zanim ktokolwiek tu wparuje.

- Przeprowadzę powóz, a ty odciągnij zwłoki na bok, żebym ich nie przejechał. - Pobiegł najszybciej, jak mógł.

Zastanawiałem się, czy jeszcze go zobaczę. W jego interesie mogło leżeć znalezienie tylnego wyjścia, a wtedy po prostu by się nie

zatrzymał.

Wrócił, ale wydawało mi się, że nie było go około dwudziestu godzin. Przewiązał lejce i wsiadł do powozu.

- Wciągnij go.

Wciągnąłem. Morley pomagał mi dzielnie. Kiedy trup był w środku, posadził go i oparł plecami o siedzenie.

- Ludzie go zobaczą - stwierdziłem.

- Skup się na powożeniu. Ja zajmę się resztą, mam wprawę. Odrobiłem już swoją porcję powożenia. Konie i ja cieszymy się zbrojnym rozejmem tak długo, jak długo te pierwsze znajdują się w uprzęży. Teraz jednak okazja do zerwania rozejmu przez to diabelskie plemię nadarzyła się aż nadto sprzyjająca.

- Lepiej ty się zajmij lejcami - odparłem.

- Ja już mam co robić. Ruszaj się, zanim ktoś nadejdzie albo ten drugi się ocknie.

Wlaziłem na kozła i wziąłem lejce.

- Jesteśmy po prostu paczką kumpli zwiedzających miasto. Nie spiesz się, ale wynośmy się stąd jak najszybciej.

- No to się zdecyduj! - syknąłem. Wiedziałem jednak, o co mu chodzi.

Z początku Morley objął ramieniem swego kumpla, nucąc jakąś śpiewkę tak zapitym głosem, że nawet ja rozumiałem tylko co trzecie słowo. Potem zaczął kłać nieboszczyka w żywy kamień tłumacząc mu, jakim jest cholernym i stukniętym idiotą, żeby stracić wątek jeszcze przed zachodem słońca.

- Powinieneś się wstydić. Co ja powiem twojej starej? Co ty sobie myślisz, że dla nas to zabawa, wlec cię ze sobą w takim stanie? Powinieneś zapaść się pod ziemię.

Jeszcze później, kiedy znaleźliśmy się w dzielnicy, gdzie paczka pijaków w powozie była mniej więcej tak niezwykłym wydarzeniem jak jajo pod kwoką, Morley nagle przestał mamrotać i zapytał:

- Kim byli ci faceci, Garrett? Masz jakiś pomysł? - Nie.

- Myślisz, że to był zwykły napad?

- Ty wiesz lepiej. Miejsce, czas, zachowanie tego urzędasza, zniknięcie strażnika... wszystko to raczej sugeruje, że było wręcz przeciwnie.

- Z jachtu z pasiastym żaglem? Jeden z nich wszedł do budynku.
- Wątpię. Tylko miejscowi byliby w stanie urządzić coś takiego w tak szybkim tempie. Chyba nadepnęliśmy kogoś na odcisk.
- Dlaczego?
- Sądzę, że to miało być ostrzeżenie. Robota dla Saucerheada. Poobijać nas trochę i kazać wracać do domu pierwszym statkiem. A my wybuchnęliśmy im w rękach.
- Też mi się tak wydaje. Prawdziwe pytanie brzmi zatem: kto ich nasał i co go tak denerwuje w naszym zachowaniu?
- Jego?
- Nie sądzę, żebyśmy musieli liczyć Starą Wiedźmę. A ty?
- Nie. I ludzie z kościoła też odpadają. Wydaje mi się, że należy sprawdzić, kim jest niejaki pan Zeck Zack.
- Szkoda, że nie możemy zapytać tego faceta.
- Sprawdziłeś go?
- Goły jak święty karentyński. Trzeba chyba pomyśleć o rozstaniu.
- Nie możemy go tu zostawić. O zmroku Marines pilnują wybrzeża jak sępy, na wypadek gdyby agenci Venageti próbowali się prześliznąć. Nigdy nikogo nie złapali, ale to ich nie zniechęca. Swego czasu sam odbębniłem porcję wachtowania. Byłem wtedy bardzo młody i traktowałem sprawę śmiertelnie poważnie. Moi następcy są zapewne równie młodzi i gorliwi.
- Znajdź najbardziej zatłoczony, najobrzydliwszy burdel, jaki potrafisz sobie wyobrazić - odezwał się Morley. - Wejdziemy, udając pijanych i niosąc trupa między sobą. Znajdziemy najciemniejszy kącik w sali, zamówimy potężne drinki dla trzech, powiemy madame, żeby nie ruszała naszego kolesia, bo jest pijany w sztok, sami wypijemy po jednym i pójdziemy sobie. Nie ruszą go, dopóki tłum się nie przeredzi, bo będą chcieli go przetoczyć. Przez ten czas zapomną o nas, a nasz sztywniak stanie się ich kłopotem.
- A jeśli wpadniemy na kogoś, kto go zna?
- Zawsze istnieje jakieś ryzyko. Jeśli zostawimy go tu, w alei, ktokolwiek go wysłał, szybko się dowie, co się stało. Jeśli postąpimy zgodnie z moją sugestią, długo będzie musiał się zastanawiać. W pierścieniu był blokszaus? - Użył elfickiego określenia tej trucizny. Po naszej stronie nazywamy ją czarnym sosem.

-Tak.

- Doskonale. Zanim boss znajdzie swojego chłopca, nawet mistrz czarownik nie będzie w stanie powiedzieć, że został otruty.

Wydawał się zatroskany. Wiedziałem, co mu chodzi po głowie. Zastanawiał się, jakie inne niezwykle niespodzianki trzymam w zanadrzu. Myślał, jak blisko jestem z Truposzem, i o tym, że dlatego właśnie mam przy sobie truciznę. Zastanawiał się, ile i jakich rad tego typu udzielił mi jeszcze Truposz.

Uznałem, że nieco troski dobrze mu zrobi. Może oderwie na chwilę jego myśli od obolałego żołądka.

Pozbyliśmy się kumpla sposobem Morleya. Przypuszczałem, że nadziejemy się na rój jego kumpli, ale wszystko poszło gładziutko. Szef faceta nigdy się nie dowie, co się naprawdę stało.

Ale kto był jego szefem? I dlaczego chciał zniechęcić mnie do pracy?

XXVI

Zapakowałem sobie parę kanapek na lunch, przeczuwając, że czas wizyty w izbie wojskowej może okazać się bardzo długi. Morleyowi i tak nie pozwoliliby wejść, więc poprosiłem, żeby się dowiedział jak najwięcej na temat niejakiego Zeck Zacka. Trojaczki znowu posłałem na obserwację statków wpływających do portu.

- Bądź ostrożny - poprosiłem Dojango. - Mogą was zgarnąć tylko po to, żeby zapytać, czy przypadkiem nie jesteście szpiegami Venageti.

- Właściwie przyszło nam to do głowy już wczoraj - odparł. - Zbyt długo żyliśmy na skraju prawa, żeby nie wiedzieć, kiedy zaczynamy igrać z ogniem.

Może. Może.

Wziąłem koszyk na piknik i ruszyłem do roboty.

Najpierw był urzędnik, potem starszy urzędnik, potem różni sierżanci, po nich kilku poruczników, którzy wypluli mnie przed obliczem kapitana. Ten stwierdził, że nie wierzy, bym coś znalazł, zanim usadowił mnie w gościnnych objęciach majora. Każdy po kolei i wszyscy razem sprawdzali moje dokumenty, zanim pchnęli mnie dalej. Nieraz nawet po dwa razy.

Uśmiech miałem jak przyklejony do cyferblatu, byłem grzeczny i trzymałem język na króciutkiej smyczy. Zamierzałem rozegrać tę partię.

Wydawało mi się, że zarabiam na każdą markę wyciągniętą od Tate'a tylko przez ten jeden, jedyny dzień. Zresztą, wszystko należało do planu.

Poza sukinsynami.

Major był na pół człowiekiem i wyglądał nawet, jakby mógł mieć poczucie humoru. Przeprosił za zamieszanie, a ja zaproponowałem mu lunch.

- Zapakował pan lunch?

- Jasne. Już nieraz miałem do czynienia z wojskiem. Gdyby chodziło o coś skomplikowanego, wziąłbym ze sobą koc i pizamę. Wchodzi się w sam środek systemu, kręci, rozwala porządek dnia, ktoś cię prześwieci, ktoś spróbuje powiedzieć to, co cię interesuje, albo

stwierdzi, że najlepiej cię wyrzucić tylko dlatego, żeby mieć cię z dala od własnego terytorium. Sowieci mi płacą za to, żeby ludzie mnie przeganiali, więc się tym nie przejmuję.

Przez sekundę sądziłem, że źle go oceniłem. Nie był zbyt zadowolony. Odruch bezwarunkowy. Dobrze o nim świadczy, zwłaszcza dlatego że przemyślał sprawę, zanim znowu się odezwał:

- Jest pan cynikiem, prawda?

- Choroba zawodowa. Ludzie, z którymi się stykam, na ogół pozostawiają we mnie parszywą opinię na temat ludzkości.

- Ma pan rację. Zatem spróbujmy jeszcze raz, ponieważ to ja jestem osobą, która albo odpowie na pana pytanie, albo każe wykopać za drzwi. Pan sobie życzył?

- Chcę w jakikolwiek sposób skontaktować się z majorem Kayethem Kronkiem, kawalerzystą, jedynym członkiem rodziny kobiety, której poszukuję. Chcę zapytać, czy wie, jak mogę znaleźć tę kobietę, a jego siostrę. Jedyłą, najprostszą rzeczą, jaką może zrobić wojsko, jest wskazanie mi, że znajduje się on w forcie jakimś tam. Pojadę i porozmawiam z nim. W ten sposób jednak nic nie osiągnę. Wojsko zachowa się zgodnie z przypuszczeniem, że cała Rada Wojenna Venageti przez lata wstrzymywała wspólny oddech, żeby się dowiedzieć, gdzie może być major Kronk. A zatem wszelkie porozumienie może być negocjowane wyłącznie w sposób stanowczy.

- Jest pan cynikiem.

- I mam rację. Nieprawdaż?

- Przypuszczalnie. A jak będzie wyglądać pańskie stanowcze działanie?

- Napiszę do niego długi list z wyjaśnieniem sytuacji i poproszę, żeby się tutaj ze mną spotkał, a jeśli okaże się to niemożliwe, żeby odpowiedział mi na parę pytań. Słabą stroną tej metody jest fakt, że muszę zaufać wojsku zarówno w sprawie doręczenia listu, jak i przywiezienia mi odpowiedzi. Moja cyniczna połowa podpowiada mi, że to za duże wymaganie.

Spojrzał na mnie z kamienną twarzą. Wiedział, że usiłuję go do czegoś sprowokować, i chciał wykombinować, w co go właściwie wrabiam.

- Prawdopodobnie to wszystko, co uda się panu osiągnąć. Jeśli w

ogóle cokolwiek. To nie jest wojskowa sprawa. Staramy się jednak pomagać w problemach rodzinnych w ramach naszych możliwości.

- Szczerze docenię każdą, nawet niewielką pomoc.

Nie podsunął mi jeszcze żadnych propozycji, co mogło tylko oznaczać, że nie wie, jak naprawę pracuje dowództwo.

- Porozmawiam z szefem. Niech się pan skontaktuje ze mną jutro. Na wszelki wypadek proszę przynieść ze sobą list, nie zapieczętowany, ale gotowy do wysłania.

To spełniało wszystkie moje powyższe wymagania.

Uznałem, że jestem tam już dość długo i że wyjaśniłem mój problem wystarczająco wielu ludziom, by wieść o tym rozeszła się po całym dowództwie. Podziękowałem więc majorowi, uściśnąłem mu dłoń i oznajmiłem, że wracam do gospody. Zapytałem też, czy ma ochotę zatrzymać resztę lunchu?

Nie.

Powlokłem się korytarzem, przystając za każdym rogiem. Wreszcie mnie znalazł. On był pierwszym, który przeczuł, że nie jestem żadnym agentem Venageti, a zatem jestem osobą bezpieczną, tak więc może uda mu się wydębić jakiś mały dowodzik wdzięczności za to, że powie mi, gdzie mogę znaleźć człowieka, którego szukam.

I to był właśnie powód, dla którego pozwoliłem tak sobą pomiatać.

- Fort Caprice? - upewniłem się.

Skinął głową.

Posrebrzyłem z lekka jego dłoń i rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę.

Wszedłem mocno rozczarowany. Major Kronk nie należał, a przynajmniej teraz nie należy, do tej samej formacji co Denny i jego kumple, pomyślałem.

Dojango i jego bracia wrócili do gospody jeszcze przede mną. Kiedy wszedłem, właśnie wcinali kolację tak, jakby chcieli zużyć cały mój fundusz na drobne wydatki jeszcze przed końcem tygodnia.

Dojango złożył mi raport:

- Właściwie nie ma co raportować. Nic się dziś nie działo. Przekupiliśmy jednak dozorcę, aby pozwolił nam przychodzić codziennie i czekać na przyjazd reszty rodziny. Pomyślałem sobie, że to całkiem niezły wyczyn.

- Niezły - zgodziłem się. Ciekaw byłem, skąd wzięli pieniądze na przekupienie dozorczy, ale wolałem o to nie pytać. Nic mnie już nie dziwi, jeśli chodzi o tych młodzieńców.

I jeszcze za połowę ich sztuczek musiałem odpowiadać.

Morley wrócił godzinę po mnie.

- No i co, Garrett?

- Wiem, gdzie stacjonuje jej brat, a ty?

- Coś niecoś.

- Zeck Zack?

- Ciekawy facecik. Wygląda na to, że nie ma w nim nic tajemniczego. Wszyscy go znają. Żadnych widocznych powiązań z rodziną Kronków. To centaur, weteran-pomocnik, który otrzymał obywatelstwo za swoje zasługi. Jest czymś w rodzaju pośrednika pomiędzy plemionami centaurów i handlarzami z Full Harbor. Najgorsze plotki, jakie o nim krążą, to że pozwala sobie na odrobinę nielegalnego handlu. Lubi się pobawić z ludzkimi kobietami. Im większe i tłustsze, tym lepsze.

- Nie możemy faceta za to powiesić - stwierdziłem, demonstrując moją wyjątkową tolerancję.

- Ale mam szczęście.

Jak widać na przykładzie Morleya i jego kumpli, kontakty międzyrasowe są sportem zbyt u nas popularnym, by linczować zawodników.

- Jest rzeczywiście właścicielem domu - ciągnął Morley - ale tam nie mieszka, ponieważ nigdy nie bywa w mieście.

- I jeszcze coś. - O?

- Masz błysk w oku.

- Może dlatego, że wreszcie znalazłem przyzwoite miejsce, gdzie można coś zjeść, i mam w żołądku zdrowy i smaczny posiłek.

- O, nie. Ten błysk znaczy raczej: Wiem coś, czego ty nie wiesz.

- No to mnie masz.

Nie wydusiłem z niego nic, dopóki nie zaproponowałem mu przejażdżki łodzią.

- Dobrze. Wczoraj ktoś stwierdził, że jesteśmy zbyt wścibscy i zasłużyliśmy na manto. Nasłał na nas swoich ludzi, jeszcze zanim zaczęliśmy. Nadepnęliśmy komuś na odcisk wielkości talerza. No,

chyba że to nasi kumple spod pasiastych żagli za tym stoją.

- Albo Vasco jest w mieście, a my o tym nie wiemy - powiedziałem.

- To też. Ale wolałem zacząć od ludzi, z którymi rozmawialiśmy. Sąsiad z ulicy i Stara Wiedźma: nie ma szans. Facet od Zeck Zacka: wściekły jak cholera, żadnej pomocy z jego strony. Może, ale nie byłem pewien. Podkupiłem gadzinę, żeby miał oko na to miejsce. I co?

- Dobra! Poszedłeś do kościoła?

- Poprzytałem tu i tam, zanim wpadłem. Pamiętasz, co mówiłeś na temat złota i srebra?

- Tak.

- Kościół pozostał poza liniami Venageti przez trzynaście dni. Potem Sair był wynoszony pod niebiosa za to, że namówił Venageti do oszczędzenia świątyni. A potem on i jego akolici namówili wojsko na wypuszczenie dwudziestu więźniów wojennych w charakterze gestu wzajemności. Wszyscy myślą, że to taki wielki człowiek, pełen litości dla wrogów swego kościoła. Wiedziałem już, ale on chciał, żebym pytał. Więc zapytałem:

- Ale ty wiesz co innego, he? Powiedz, co właściwie wiesz, Morley?

- Jedna trzecia tych żołnierzy, których wysłał do domu, a którzy podobno byli zwykłymi piechurami, okazała się oficerami Venageti. Można było ich wymienić na okup albo przynajmniej przesłuchać. Poddali się w kościele, ale przedtem przebrali w mundury zdjęte z martwych żołnierzy. Na rozkaz głównego tajnego agenta Venageti w Full Harbor.

- Saira?

- Inteligentny jesteś.

- Opowiadasz, jakbyś tam był.

- Zapytałem kogoś, kto był tam rzeczywiście.

Uniosłem brew. Robię to świetnie. To jeden z moich największych talentów.

- Zabrałem na spacer ojca Mike'a. Kiedy go zapewnilem, że polityka mnie absolutnie nie obchodzi, i tego, co usłyszę, nie użyję przeciwko niemu, opowiedział mi wszystko. Jest prawą ręką staruszka.

- Czy wszyscy księża są w to zamieszani?

- Tylko dwóch. Staruszek wysłał innych w bezpieczne miejsce, kiedy Venageti zaczęli zacieśniać pierścien. Chyba potrafisz się domyślić

dlaczego.

- Mniej świadków. A zatem staruszek poszczuła nas swoimi psami, ponieważ uznał, że możemy się czegoś dokopać. - Nie.

- Czekaj no chwilę...

- Ojciec Mike jest całkiem przekonany.

- Więc kto, jeśli wyeliminujesz wszystkich?

- Zawsze jest miejsce dla jeszcze jednego zawodnika w tej grze. Nie udało mi się porozmawiać z włochatym księdzem. Ani z nikim, komu nas polecono. Wszyscy twierdzili, że to zrobili, ale nie sobie przypomnieć komu... poza tą szaloną czarownicą.

A u niej w ogrodzie podsłuchiwała ta gadzina. Nie było mowy o osobie, której oni donoszą.

- Aha. - To rzeczywiście wymagało pewnego zastanowienia. - Ale ty ciągle jeszcze masz błysk w oku. Musiałeś ganiać jak piorun w studni.

- My, mieszańcy, potrafimy się ruszać, jeśli chcemy. Wigor hybryd.

- No więc?

- Twój kolega Kronk umarł w dniu wyzwolenia kościoła. Ojciec Mike nie zagłębiał się w szczegóły. Kronk był jednym z tuzina partyzantów, których wzięli do niewoli Venageti. Ojciec Mike nie był pewien, czy Kronk wiedział o nim i o Sairze, ale i tak się mogło zdarzyć. Nie sądzi, żeby Kronk został zabity, kiedy Venageti wciąż jeszcze byli górą. Ciało znaleziono w sześć godzin po przejściu wojska. Dwóch innych zginęło w tym samym czasie. Mam nazwiska tych, którzy przeżyli, gdybyś chciał z dzikim wyciem rzucić się tym tropem.

- Nie po to tu jestem. Daj mi jednak te nazwiska, a ja je zapamiętam na wypadek, gdybyśmy się o któregoś z nich potknęli. Widzę, że błysk zniknął. Czyżby studnia wyschła?

- Tak. Co teraz?

- Teraz napiszę długi list do majora Kronka pod adresem innego majora, a cała ta informacja niech się przesmaży.

- Chciałeś chyba powiedzieć: przemarynuje. Z całą pewnością wymoczysz mózg w kilkunastu litrach piwa.

Nie czułem się na tyle dobrze, żeby się odcinać. Za dużo miałem do przetrawienia.

- Jutro rano zobaczę się z majorem. Potem zrobimy jeszcze parę wywiadów. Jeśli nie natrafię na coś rzeczywiście wystrzałowego,

pojutrze ruszamy do Kantardu.

- Może przekupimy księdza, żeby wymodlił dla nas zawieszenie broni? - odezwał się Morley. - Jestem tu, ale nie skaczę z radości na myśl, że mógłbym tam iść.

- A myślisz, że ja tak?

XXVII

Były przerwy. Co najmniej pomieszane.

Poszedłem do mojego majora natychmiast po śniadaniu, na które zjadłem trzy jajka, delikatnie podsmażone na tłuszczu z ćwierci kilograma bekonu, powoli doprowadzonego do stanu chrupkości, w towarzystwie góry ciasteczek otrębowych, dokładnie posmarowanych masłem i ociekających konfiturą truskawkową. Morley szalał z rozpaczy. Chyba miewał już bezsenne noce z powodu mojego zdrowia.

Wyszedł wraz ze mną i rzucił się na poszukiwanie korzonków, jagód, trawy, kory i temu podobnych rzeczy, które tylko znajdują się w jednym miejscu na tyle długo, żeby zdążył się na nie rzucić.

Trojaczki skierowały się nad wodę, by dalej czekać na swoich krewnych. Miałem szczerą nadzieję, że nigdzie takowi nie istnieją. Co prawda, już takie moje zatracone szczęście, że jeśli gdzieś są, to zbiegną się tu jak sierotki przed kościoł.

Nie musiałem długo czekać ani rozmawiać ze zbyt wieloma osobami, zanim zobaczyłem się z majorem. Poczułem się nieco lepiej.

Major pozdrowił mnie dość niedbale, wziął do ręki list, przejrzał go uważnie pod kątem informacji dla Rady Wojennej Venageti, wreszcie stwierdził:

- Wygląda to nieźle. Pójdzie zaraz w torbie następnego kuriera, który uda się w tym kierunku.

- Nie sprawdzi pan na obecność atramentu sympatycznego? Obdarzył mnie jednym z tych dobrych, lodowatych spojrzeń, które praktykuje się przed lustrem podczas golenia. Pozwoliłem mu spłynąć po sobie jak woda po kacze.

- Coś pan dzisiaj taki mądry, co?

- Defekt osobowości. Spędziłem pięć lat w służbie wewnętrznej. Trudno brać poważnie cokolwiek, co nie wisi u stryczka na szyi.

- Czy naprawdę zależy panu, żeby ten list został doręczony? Nie powiedziałem mu, że nie mam nadziei, aby przedostał się przez najbliższy kosz na śmieci. Pocieszająco poklepał mnie po ramieniu.

- Proszę już nas nie nachodzić - oznajmił. - Damy znać, kiedy przyjdzie odpowiedź.

Nie mogłem mu powiedzieć, że list przyniosłem tylko dla zachowania pozorów. Ale on sam chyba też potrafił to sobie wyobrazić.

- Widzę, że nie zależy panu na tym liście. Najwyraźniej ktoś z naszych zlitował się w zamian za odpowiednio gorący wyraz wdzięczności.

Milczałem jak ryba.

- Widzę, że to prawda - stwierdził. - Tak też sądziłem. Nie musi pan być zdziwiony. Nie tylko niektórzy z nas potrafią myśleć, ale jest paru takich... głównie majorów i pułkowników, którzy wiedzą nawet, jak zasznurować sobie buty. Ale nie będę panu zawracał tym głowy, jeśli odpowie mi pan w zamian na kilka innych pytań.

- Dlaczego?

- Powiedzmy, że szukam świeżego punktu widzenia na pewne sprawy.

- Strzelaj pan.

- Zacznę od listy nazwisk. Kiedy usłyszysz pan jakieś, które zabrzmia znajomo, proszę mi powiedzieć, co pan wie o nim lub o niej.

- To wszystko?

- Na razie.

Wyłapałem trzy i pół na trzydzieści. Jednym z nich był Zeck Zack. Drugie należało do dowódcy Venageti, z którym mój oddział walczył na wyspie, a który potem brał udział w ataku na Full Harbor. Trzecią osobą był karłowaty sukinynek rozstrzelany za przywłaszczenie, defraudacje, oszustwa i łapówkarstwo, co oznacza w praktyce, że został przyłapany na okradaniu wojska i niepłaceniu odpowiednich udziałów właściwym oficerom. Połówka było to nazwisko, które gdzieś słyszałem, ale nie mogłem sobie uzmysłować gdzie ani w jakich okolicznościach. O ile się zorientowałem, Zeck Zack był jedyną osobą z tego grona, która pozostała przy życiu.

Udałem, że nie rozpoznałem jednego nazwiska. Należało ono do człowieka, który był uwięziony z Klausem Kronkiem w dniu jego śmierci.

- Czy to wszystko? - Nie mogłem skojarzyć żadnego powiązania między nazwiskami z listy. Może naprawdę nie miały ze sobą nic wspólnego, a może było to oczywiście dla osoby, która wiedziała, kim, u licha, są ci wszyscy ludzie.

- Prawie. Wydaje się, że jest pan tym, za kogo się podaje. Dużo pan szperał tu i tam, wtykał nos nie zawsze tam, gdzie trzeba. Czy nie wpadł pan na nic, co mogłoby się wydać interesujące z punktu widzenia człowieka w mojej sytuacji?

Przypuszczał, że wiem, co to za sytuacja. Teraz już wiedziałem.

- Nie - skłamałem. Myślałem, że spełnię mój patriotyczny obowiązek, składając zeznanie przeciw Sairowi. Po przyjeździe do majora podjąłem jednak nieświadomie decyzję, że zapomnę o wszystkim.

- Czy zastanowiłby się pan nad możliwością wykonania niewielkiego zadania dla Karenty w tym samym czasie, kiedy zajmuje się pan swoimi sprawami? Nie byłoby to zbyt czasochłonne i nie powinno odwieść pana od własnych zadań.

- Nie.

Wyglądał, jakby chciał się pokłócić.

- Odbębniłem już mój tak zwany obowiązek patriotyczny - stwierdziłem. - Przez pięć lat mojego życia robiłem wszystko, żeby ich banda złodziei nie pokonała naszej bandy złodziei. Za żadne skarby nie dam się znowu wpuścić w te maliny.

Przyszła mi do głowy pewna myśl. To się czasem zdarza. Zauważył, jak iskrzy.

- Tak?

- Mógłbym pójść na wymianę. - Miałem na sprzedaż księdza. - Jeśli powie, mi pan, gdzie znajdzie Kayean Kronk.

- Nie mogę. - O?

- Nie słyszałem o niej aż do chwili, kiedy pan wczoraj wspomniał jej nazwisko. Moje biuro nigdy się nią nie interesowało.

- Tak mi się też wydawało. Dziękuję, że poświęcił mi pan w swej uprzejmości aż tyle czasu.

Ruszyłem w kierunku drzwi.

- Garrett... Zajrzyj tu, kiedy wrócisz z Fort... - Spojrzał na mnie tak, jakbym go wykołował do tego stopnia, że omal nie zdradził tajnego imienia Imperatora. - Zajrzyj, kiedy będziesz wracał. Może wymienimy parę historyjek.

- Dobrze.

Wyszedłem, zanim zdecydował, że może warto by mi się lepiej przyjrzeć.

Dzionaek zapowiadał się zbyt uroczo, żeby tak po prostu wrócić do gospody, zabrać Morleya i udać się po raz kolejny do izby cywilnej. Poranek był jakby stworzony do tego, by leżeć i wdychać orzeźwiający wietrzyk od morza. Skierowałem się na nabrzeże.

Trojaczki na pewno będą potrzebowały pomocy, żeby odszukać swoich krewniaków. Biedactwa, tak trudno je zauważyć.

Leżały dokładnie w takiej pozycji, jaką sobie wymarzyłem - rozwalone na słońcu na stercie worków ziarna przeznaczonych dla wojska, które czekały na transport do fortów Kantardu. Od strony nabrzeża grolle były całkiem niewidoczne.

Wdrapałem się na górę z zimnym gąsiorkiem pod pachą. Posłałem go w rundkę, po czym zapytałem:

- Tak tam, Dojango? Są jakieś wieści od rodziny?

Gąsiorek ważył o połowę mniej, zanim wrócił do moich rąk. pociągnąłem solidny łyk i puściłem go dalej.

- Wiesz co, Garrett, masz świetne wycucie czasu. Chodź tu. - Zanim wstał, zaopiekował się gąsiorkiem.

Grolle przesunęły kilka worków tak, by tworzyły coś w rodzaju barykady. Mogły obserwować z ukrycia, a potem udawać, że użyły ich jako poduszek, gdyby ktoś się przyczepił.

- Jacyś wasi kuzyni, jak mi się zdaje.

- Faktycznie.

Stary, wysłużony statek przybrzeżny leżał na jedynym wolnym odcinku nabrzeża około dziesięciu metrów w głąb mielizny. Mielizna to za dużo powiedziane. Statek miał wiatr w dziób. Około pięćdziesięciu chłopów nabierało go na bosaki, usiłując wyciągnąć. Nic z tego. Prawdę mówiąc, grzązł jeszcze bardziej.

- Dlaczego nie miałbym zamienić tego gąsiorka na pełny? - zapytał Dojango.

- Aha, dlaczego nie? - Dałem mu trochę drobnych. Człowiek może się nabawić potężnego pragnienia, słuchając takiego stękania, przeklinania i wołania o pomoc.

Widok statku był interesujący, ponieważ Vasco, Quinn i paru innych starych kumpli miało się po pokładzie w szale rozpacz.

Pomyślałem o rezygnacji z wyjazdu do Fort Caprice tylko dlatego, żeby na nich popatrzeć. Może doprowadziliby mnie do Kayean.

Przyjrzałem im się ze wszystkich stron, po czym zmieniłem zdanie. Nie przybyli do Full Harbor zobaczyć się z Kayean. Przybyli, żebym ja nie mógł się z nią zobaczyć.

Przez chwilę obserwowałem pasiasty żagiel. Jacht wydawał się pusty, jeśli nie liczyć czegoś krótkiego, a szerokiego, co drzemało w cieniu niskiej nadbudówki rufowej. Zjawił się Dojango z gąsiorkiem. Wkrótce zajęliśmy się następną, solidną kolejką i gąsiorek padł. Dojango zasugerował, że trzeba posłać po posiłki.

- Mam smutne przeczucie, że musimy wracać do pracy. Czy kuzyni was znają?

- Nie z widzenia. Muszą jednak wiedzieć, że podróżujesz w towarzystwie grolli.

- Nie jesteście jedynymi grollami na świecie. Rozebrałem się szybko, jednocześnie tłumacząc, o co mi chodzi.

- Myślę, że to doprawdy idiotyzm. Ale może będzie wesoło popatrzeć. - Jego zadaniem była obserwacja i pilnowanie drogocенności.

- Powiedz chłopakom.

Poniżej statek przechylił się pod wpływem wiatru. Nie wyglądało to najlepiej. Pięciu czy sześciu ludzi wpadło do wody.

- Wiedzą, co mają robić.

- Naprzód.

Zbiegłem z worków, a za mną Doris i Marsha, szczerzący zęby w głupich, olbrzymich grollowskich uśmiechach. Podreptali do zwisających luzem bosaków i zaczęli je ciągnąć, a ja wraz z nimi. Chciałbym móc powiedzieć, że moja siła też miała znaczenie.

Statek walczył jak dziadunio pstrąg, ale wreszcie ruszył.

Vasco i Quinn musieli otrzymać moje instrukcje sceniczne. Spostrzegli mnie, kiedy chłopcy z doku zaczęli się kręcić koło Dorisa i Marshy, usiłując poklepać ich po plecach. Ktoś zaczął wiwatować. Udałem, że robię zdziwioną minę, kiedy kilku chłopca zeskoczyło na nabrzeże.

Zacząłem wiać.

Nie widziałem Dojango na szczycie worków, kiedy mijałem stertę. Oznaczało to, że na jachcie z pasiastym żaglem nic się nie zmieniło. Rzuciłem się w tamtą stronę, słysząc za sobą tupanie hordy butów.

Ostro skręciłem w prawo na trap jachtu.

Mały, Gruby i Obrzydliwy w jednej osobie otworzył ślepią i skoczył na równe nogi. Dotarłem na pokład, zanim zdążył mnie dopaść. I wtedy zobaczył pędzącą za mną bandę. Przystanął. Ja nie. Pognałem dalej i dałem nura przez reling. Lecząc w dół, aż jęknąłem.

Woda była tak brudna, że wcale bym się nie zdziwił, gdybym się od niej odbił.

Spotkaliśmy się w gospodzie. Najpierw zamówiłem gąsiorek, żeby uczcić zwycięstwo. Dojango opowiedział mi, co zobaczył.

Vasco, Quinn i czterej inni pobiegli za mną. To akurat sam doskonale wiedziałem. Wbiegli już na trap, kiedy spostrzegli Małego. Grubego i Obrzydliwego. Stanęli jak wryci. Potem rozbiegli się jak karaluchy zaskoczone światłem.

- Nawet nie wrócili na statek po swoje rzeczy - powiedział Dojango, roześmiał się i nalał sobie kolejny kufel piwa.

- A facet z jachtu? Co on zrobił?

- Pobiegł na dół. - I co dalej?

- I nic dalej, doprawdy. Zupełnie nic się nie stało.

- To się stanie - zawyrokowałem.

Ukręciliśmy szyję całemu gąsiorkowi, zanim wrócił Morley.

XXVIII

Morley nie pokazywał się przez dłuższy czas. Kiedy się wreszcie zjawił, wiedziałem, że nie uciekał przed niczym - chyba że przed samym sobą. Nie bał się niczego innego.

- Mała przebieżka, żeby kolacja ułożyła się w żołądku? - zapytałem.

- Tak się zaczęło. Przybiegłem tutaj, ale nikogo z was nie było, więc pomyślałem, że zrobię pięć lub dziesięć kilometrów, skoro mam trochę czasu. Roztrenowałem się, odkąd opuściliśmy TunFaire.

Jak na Morleya Dotesa wydawał się cokolwiek bladawy.

- Coś się stało? Wpakowałeś się w jakieś kłopoty?

- Niezupełnie. Niech no trochę odetchnę. Opowiedz mi, co ty zrobiłeś.

Opowiedziałem. Wydawał się nieco rozbawiony moim gambitem na nabrzeżu.

- Twoja kolej - powiedziałem.

- Po pierwsze: wniosek, potem dwa zestawy faktów, które mogą go potwierdzać. Wniosek brzmi: siedzisz w tym po uszy, Garrett. Wciąż trafiamy na ślady ludzi stojących bardzo wysoko. A oni zaczynają to już zauważać.

- A fakty?

- Bieg zaprowadził mnie w pobliże Narrows. Postanowiłem sprawdzić, czy moje zaufanie do gadziny zaowocowało czymś więcej niż pogardą. I cud nad cuda, mieli coś dla mnie. Zeck Zack wrócił do miasta dziś rano. W godzinę później zaczęło się łązenie w tę i z powrotem. Dałem im premię i kazałem mieć na niego oko.

- To jeden zestaw faktów, Morley. Co z drugim, tym, który cię przestraszył?

Nawet się nie sprzeczał, co było już wystarczającym dowodem, jak bardzo jest zdenerwowany.

- Postanowiłem wpaść do ojca Rhyne'a. Pomyślałem sobie, że wejść od tyłu, tak by nikomu nie przeszkadzać, bo w głównej nawie akurat odprawiano dość bałaganiarską mszę.

Docierał do sedna sprawy zbyt okrężną drogą, co oznaczało, że coś mu się nie podoba.

- Okazało się, że nie żyje, Garrett. Siedział przy biurku tak martwy, jak tylko może być człowiek, ale jeszcze nie zimny.

- Zabity?

- Nie wiem. Nie widziałem żadnych ran, lecz to daje wiele do myślenia.

Trucizna albo czary.

- Nie wyglądał na faceta, który pada sobie martwym trupem ot tak w chwilę po tym, jak w okolicy pojawili się ludzie zadający pytania, na które tylko on zna odpowiedź. Zwłaszcza, jeśli jego szef i ojciec Mike po prostu rozwiali się w powietrzu.

To znaczy, że uciekli.

- Kiedy?

- W jakiś czas po śniadaniu. Stara śliwka była na śniadaniu; ojciec Mike - na mszy. Kiedy chciałem im powiedzieć, że ojciec Rhyne nie wygląda zdrowo, nie mogłem znaleźć żadnego z nich. Nikt nie widział, jak wychodzili.

- Może stwierdzili, że nie powinni ci zaufać, jeśli chodzi o gadulstwo.

- Może. Ojciec Rhyne usiłował zostawić wiadomość, jakkolwiek umarł. Nie wiem, co to miało właściwie znaczyć, ale poszukamy mężatki, złapałem kartkę i poszedłem sobie.

Podał mi kawałek papieru. Wyglądziłem go na blacie stołu. Widniały na nim tylko dwa słowa, nabazgrane wielkimi literami bardzo drżąca dłonią:

KRWAWE WESELE

- Krwawe wesele? Co to może znaczyć?

- Nie wiem, Garrett. Nie mam pojęcia. Rhyne był numerem czwartym. Padają wokół nas jak muchy.

Miał rację. Cztery trupy. Trzy na poziomie rzeźnickim: włamywacz w mieszkaniu Denny'ego, Wujek Lester i ten typ z alejki za izbą cywilną. A teraz jeszcze jedna śmierć, całkiem nie wyjaśniona.

- Na to wygląda.

- Są jakieś zmiany w planach?

- Nie. Chodźmy do chłopaków w izbie miejskiej.

* * *

Srebrny wzmacniacz pamięci sprawił, że strażnik na zewnątrz wyznał zupełnie otwarcie, iż przepłacono go, aby zniknął na godzinę. Dał nam doskonały opis zwyczajnego faceta, który mógł się znaleźć na ulicy tuż obok nas w każdej chwili. Podejrzewam, że to był ten sam facet, który zaskoczył nas w alei.

Urzędnik nie ucieszył się na nasz widok. Właściwie usiłował wziąć natychmiastowe i nielegalne chorobowe. Morley dopadł go jak wilk królika. Zwinęliśmy się do sali rejestrów na konferencyjkę.

Twierdził, że nic nie wie, zupełnie jak strażnik. Powiedział jednak, że przyszli do niego w chwilę potem, jak zrobiliśmy zasadzkę, i pytali o nas. Urzędnik wyjaśnił, że wkrótce stwierdzili, iż nie jesteśmy tymi, których szukają, to znaczy kumplami faceta, który był tam już wcześniej. Rzucili się na niewłaściwych ludzi.

Więc kim, u diabła, jesteśmy?

Słowa „detektywi z TunFaire” wcale nie nastroiły ich bardziej pozytywnie.

Wypuściliśmy urzędasę i ruszyliśmy w powrotną drogę.

- Nie miał z tym wszystkim nic wspólnego - stwierdziłem. - Siedzi w czyjejs kieszeni. Boi się ich bardziej, niż kiedykolwiek mógłby się bać nas.

XXXIX

Zakwaterowano nas w miejscu, które tylko z wielkim trudem można by nazwać pokojem. Była to przerobiona stajnia przylegająca do gospody. Lokum niezbyt wytworne, toteż dużo czasu spędzaliśmy w sali głównej. Wzięliśmy je, ponieważ było jedynym miejscem, gdzie grolle mogły wygodnie mieszkać.

Tego wieczoru wróciliśmy tam wcześniej niż zwykle. Żaden z nas nie miał humoru na wysłuchiwanie hałasu wieczornego tłumu gości. Wszyscy sąsiedzi przychodzili tu, by wymieniać plotki i zalewać się w sztok. Poza tym chciałem wstać wczesnym rankiem.

Musiałem jeszcze obrócić wóz i zabrać konie. Resztę naszego dobytku zawsze zabieraliśmy ze sobą, o ile właśnie nie wyruszaliśmy na poszukiwanie chimer.

Wieczór zapowiadał się spokojnie. Nawet Dojango nie był w gadatliwym nastroju. Miał kaca i Morley nie dopuściłby go nawet do flakonika perfum.

Mieszkańcy po prostu źle znoszą alkohol.

Subtelna zmiana w szumie głosów dochodzących z głównej sali przyciągnęła moją uwagę, choć nie potrafiłem powiedzieć, na czym właściwie ta zmiana polega, Morley też to zauważył. Przechylił głowę, zmarszczył brwi.

- Dojango, zobacz, co tam się dzieje.

Dojango wyszedł. Nie było go może przez cztery mgnienia oka

- Sześciu facetów wyciska gospodarza. Chcą ciebie i Garretta. Morley, oni wyglądają cholernie niebezpiecznie...

Morley odburknął. Potem ryknął, mruknął, parsknął i zawarczał coś po grollofsku. Doris i Marsha usiedli po obu stronach drzwi w dość dużej odległości od siebie. Dojango podszedł i stanął za Morleyem.

- Odejdźmy tak daleko od drzwi, jak tylko się da - polecił mi Morley.
- Zróbmy im dużo miejsca, kiedy wejdą.

Skóra grolli zaczęła zmieniać kolor. Wtopili się w tło otoczenia.

- Nie wiedziałem, że to potrafią.

- Nie trąbią o tym na prawo i lewo. Gotowi, Dojango?

- Potrzebuję drinka, doprawdy. I to bardzo, doprawdy.

- Nic ci nie będzie.

Ba-bach! Drzwi eksplodowały do wewnątrz i wpadło przez nie kilku wytwornych typów w stylu Saucerheada Tharpe'a. Przodem szedł nieustraszony przywódca. Tylna straż w postaci trzech kolejnych kłębow muskułów wpakowała się tuż za nim. Szturmowcy rozstąpili się, żeby szef mógł nas pooglądać zza ich pleców.

Zatrzymał się jak wryty. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Czekaliśmy na niego.

Morley powiedział kilka słów. Doris i Marsha odmruknęli. Nasi goście rozejrzeli się.

- Ja pieprzę - stwierdził jeden z nich.

Morley uśmiechnął się do głównego najeźdźcy i zapytał:

- Czy nie powinniśmy kontynuować?

- Eee... wpadliśmy tylko, żeby przekazać wiadomość.

- Jaka troskliwość - stwierdziłem. - A cóż to takiego, że każdy z was musiał długo pracować nad zapamiętaniem jednego słowa? Ciekawe, czy to całe drewno i metal nie ciążyą wam zanadto.

- Ulice wieczorem nie są zbyt bezpieczne.

- Pewnie, że nie. Ale w niektórych miejscach też nie jest zbyt bezpiecznie.

- Nie przesadzaj - poradził mi Morley.

- Co to za wiadomość?

- Nie wiem, czy wciąż jeszcze warto ją przekazywać, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Ja jednak nalegam. Przyjechałem do obcego miasta, gdzie, jak sądziłem, nie znam nikogo, aż tu nagle ktoś przesyła mi pozdrowienia. To bardzo podniecające, a ja jestem ciekawy. Dojango, skocz po gąsiorek i parę kubków, żebyśmy mogli spokojnie pogadać.

Dojango, wychodząc, obdarzył naszych gości szerokim uśmiechem. Nawet się nie poruszyli. Zdaje się, że ten obrót sprawy nie był dla nich zachęcający.

Wyjąłem z kieszeni mały pakiecik owinięty bibułą.

- No więc, co to za wiadomość?

- Wyoście się z Full Harbor. Jeśli będę musiał jeszcze raz mieć z wami do czynienia, zginiecie. - Głosik brzmiał bardzo marnie jak na takiego dużego faceta.

- Nie nazwałbym waszego zachowania sąsiedzką uprzejmością. Nawet nie zatroszczył się o to, żeby się przedstawić i wyjaśnić, dlaczego tak namiętnie zabiega o moje zdrowie. Nawet nie wiem, co zrobiłem, żeby go obrazić.

Facet zaczął kipieć pomimo delikatnej sytuacji. Morley miał rację. O mały plasterek za dużo.

Zjawił się Dojango z gąsiorkiem i kubkami.

- Wykrztuś to, przyjacielu. Chcę porozmawiać z facetem, który jest mną tak zainteresowany, że aż ciebie wysyła. Po prostu chcę wiedzieć dlaczego, nic więcej. Kto cię przysłał?

Zacisnął szczęki. Spodziewałem się tego. Otworzyłem pakiecik i wyspałem odrobinę jego zawartości do przygotowanych przez Dojanga kubków z piwem.

- To nieszkodliwy specyfik, który z pełną gwarancją kładzie ślonia na dziesięć godzin, a człowieka na dobę - wyjaśniłem.

Dojango opanował się i podał kubek facetowi stojącemu obok jednego z grolli. Typ odmówił przyjęcia poczęstunku, więc Marsha - albo Doris - złapał nieboraka i kubek, po czym zawartość tego drugiego umieścił w pierwszym tak łatwo, jak matka podaje mleko bobasowi. Potem rozebrał go do rosołu i wyrzucił przez najbliższe i jedyne okno.

Gdyby chłop choć trochę myślał, schowałby się szybko, zanim narkotyki zaczną działać. Ludzie z Full Harbor mają fioła na punkcie nagości w miejscach publicznych. Jeśliby go przyłapali, mogłby spędzić pozostałą część życia w kopalniach Kantardu.

Reszta muskułów stwierdziła, że pora już późna i czas wracać do domu. Drugi groll przytrzymał drzwi, dopóki brat nie przyszedł mu z pomocą. Po załatwieniu sprawy wróciłem do tematu:

- Kto cię przysłał?

- Już jesteś trupem.

- To myśl, która może przynieść wam pocieszenie i radość w długie zimowe wieczory w kopalni. - Podałem chłopakom drugi kubek. Tym razem inny groll nakarmił niemowlaka. - I tak dalej, aż do chwili, kiedy wyjawicie to nazwisko. Będziesz ostatni. Jeśli mnie zmusisz, dostaniesz małą dawkę. Tylko tyle, żebyś zapomniał, kim i gdzie jesteś, ale nie dość, żebyś padł i władował się w poważniejsze kłopoty.

- Na litość niebios, Switz - odezwał się jeden ze zbirów, kiedy

podaliśmy grollom kolejny kubek. - Za to nam nie płacili. Mają nas w garści.

- Zamknij się.

- Nie zobaczysz mnie w kopalni - syknął drugi.

- Zamknij się. To się da załatwić.

- Gówno. Wiesz doskonale, że jego to w ogóle nie obchodzi. Powie, że sobie zasłużyliśmy. A zresztą, on nie ma aż takich konszachtów na górze.

- Zamknij się.

Jeden z grolli złapał najgłośniejszego z protestujących.

- Czekaj jedną cholerną minutę! - zwrócił się do mnie nieznajomy. - Zeck Zack nas przysyła. Zaskoczyło mnie to. Zrobiłem użytek z mojej reakcji. - A kim, u diabła, jest Zeck Zack?

Nieustraszony przywódca jęknął boleśnie. Morley dał znak. Grolle postawiły naszego człowieka na ziemi, ale go nie puściły.

- No, to nie będziemy wysyłać was wszystkich po kolei, jak mi się zdaje - powiedziałem. - Ale i tak chciałbym, żebyście się zdrzemnęli. Usadówcie się w jakimś wygodnym miejscu, a my podamy wam napój.

- Jesteś martwy i przemielony, Trask - stwierdził herszt.

- I tak będę żył dłużej niż ty - odparł zbir.

Zanim się dogadali, urządziłem wszystko jak należy. Poczęstowałem piwem całą trójkę i usiedliśmy, żeby posłuchać naszego skowroneczka.

- Jedna sprawa - powiedział. - Ten facet, którego wyrzuciliście przez okno. jest moim bratem. Przyniesiecie go tu z powrotem albo nic nie powiem.

- Morley?

Morley posłał Dojanga i Dorisa.

Trask nie powiedział nam niemal niczego, czego byśmy sami nie wiedzieli. Nie miał pojęcia, dlaczego Zeck Zack tak bardzo chce nas pobić i wyrzucić z miasta. Nie widział centaury. Tylko Switz słyszał go i widział. Nie wie, czy Zeck Zack jest w mieście. Przymuszczałnie go nie ma, jak zwykle zresztą.

Zadałem mu mnóstwo pytań i nie dowiedziałem się zupełnie niczego. Zeck Zack pilnował, by mięso armatnie nie miało zbyt wielu informacji na jego temat.

- Dotrzymałeś swojej części umowy, nawet włącznie z aneksem

dotyczącym twojego brata. - Braciszek został wniesiony do izby i w miarę możliwości odziany. A teraz ja dotrzymam swojej, z aneksem na moją korzyść. Dojango zwiąże was na tyle mocno, żebyście się nie mogli wydostać wcześniej niż po paru godzinach. A kiedy się obaj uwolnicie, bierz brata pod pachę i znikajcie.

Dojango sprawował honory domu. Podpijał sobie z gąsiora i z minuty na minutę stawał się coraz dzielniejszy.

- Nieźle jak na improwizację - przyznał Morley.

- Aha. Sam też tak myślę.

- Co teraz?

- Rozbierzemy pozostałą trójkę i ułożymy ich tam, gdzie na pewno ich znajdą, a potem pójdziemy złożyć wizytę centaurovi Zeck Zackowi.

Morleyowi nie bardzo się to spodobało, ale poszedł. Zarabiał kupę forsy, był daleko poza zasięgiem swoich wierzycieli, więc czego więcej mógł żądać od życia? Kapusty i serduszek bazi?

- Nie za bardzo. Ale chcą dostać resztę cukierków. Nie zabraknie mi ich, dopóki znowu nie znajdziemy się na właściwym tropie.

Teraz czekaliśmy w milczeniu. Zaszędziało mnie między łopatkami. To takie dziwne wrażenie, kiedy czujesz, że ktoś cię obserwuje. Albo kiedy tak ci się wydaje.

XXX

Morley prowadził nas starą dróżką z cmentarza do domu. Znałem ją, ale on lepiej widział w ciemności. Co jakieś pięćdziesiąt kroków zatrzymywał się i wołał w ciemność:

- Hornbuckle?

Nikt nie odpowiadał, aż do chwili, kiedy weszliśmy w zasięg budzenia pawi.

Grolle zadziwiły mnie bardzo. Mimo wielkiego wzrostu i masy poruszały się po zaroślach zwinniej i ciszej niż ludzie.

- Siadajcie - mruknął Morley, kiedy wreszcie otrzymał odpowiedź.

Usiedliśmy.

Drobne postacie wyroiły się między nami i pośród otaczających nas zarośli. Morley dał każdej po cukierku - najskuteczniejszej łapówce, jaką mógł wymyślić. Chciały więcej. Obiecał im więcej, jeśli... Rozpierzchły się, żeby dla nas węszyć.

Założę się, że Morley nienawidził sam siebie. Naprawdę wyglądał na zdegustowanego, kiedy chował resztę słodkości za koszulę.

- Możemy im ufać? - zapytałem.

Łajdaczyzna Hornbuckle złożył Morleyowi błazeński pokłon. - Ilu?

- Czterech. Dwóch ludzi. Bardzo nerwowych. Jeden centaur. Zmartwiony i ponury. Jeden inny. Czekają na raport od kogoś i ten ktoś się spóźnia. Cukier?

- Jeszcze nie. Czy są tam zakłęcia ochronne? Alarmy? Pułapki? Niebezpieczne zwierzęta?

- Nie.

- Jakikolwiek powód do obaw?

- To złośliwe stwory. Wszystkie co do jednego.

- Ucisz pawie, żebyśmy mogli przejść.

- Cukier?

- Wszystko, co mam, kiedy wyjdziemy.

- Możecie nie wyjść.

- Dlaczego nie? Chichot.

- To złośliwe stwory. Bardzo złośliwe. Szczególnie jeden.

- Dobrze. - Morley wydobyl cukierki. - Jeden kawałek dla ciebie. Po

pół dla każdego z twoich kumpli. Reszta, jeśli wyjdę. Powiedz, jak najlepiej do nich dotrzeć.

Ich chłopak, Switz, zrobił to nam, więc my zrobiliśmy im to samo.

Ba-bach! Grolle, jeden po drugim wparowały przez olbrzymie, podwójne drzwi sali balowej. Potem Morley. Potem ja. I Dojango jako tylna straż.

Bardzo rozsądnie z ich strony, że czekały w jedynym pomieszczeniu, gdzie było dość miejsca dla grolli; sufity znajdowały się na wysokości ponad pięciu metrów.

Wrogowie rozbiegli się jak przerażone myszy, kiedy wskoczy pomiędzy nie kot. Doris i Marsha złapali po jednym zbirze. Morley prześliznął się obok nich w pogoni za czymś mrocznym, co rzuciło się przez okno na drugim końcu sali.

Gdzie u diabła jest centaur?

Stoi sobie, jednoosobowa szarża kawalerii. Zarobiłem kopniaka, co ledwie musnęło te grzywki czy pędzelki, czy jak się tam nazywają. Aż wstyd, co podkowy mogą zrobić z posadzką i dywanami.

Impet rzucił mnie o coś, co było zrobione z mahoni, bardzo twarde i bardzo ciężkie. Wypróbowałem nieco głębszy wydech niż umożliwia to normalna zawartość ludzkich płuc.

Ktoś wrzeszczał:

- Ratunku, Morley! Mam go! Morley! Pomocy!

Chwiejnie stanąłem na nogach.

Dojango rzeczywiście go dopadł.

Zeck Zack miał posturę mniej więcej przeciętną jak na swój ród, to znaczy niewielkiego kucyka. Nie był zbudowany tak, by unieść na grzbiecie sześćdziesiąt kilogramów żywej wagi Dojango, który owinął ramiona i nogi wokół jego chudej piersi. Biedak nie mógł oddychać. Okręcił się bezradnie, objając o meble, aż wreszcie padł na kolana.

Założyłem mu lasso na szyję, zwolniłem Dojango i rozejrzałem się.

Grolle poradziły sobie z ludźmi. Morley wracał przez okno z pustymi rękami i zdumioną miną.

Odetchnąłem, wygładziłem ubranie i poprowadziłem Zeck Zacka w stronę lepszego oświetlenia, gdzie Morley otrzepał go z żelastwa i innych morderczych przyrządów. Centaur wciąż miał szklane spojrzenie.

- Co się stało? - zapytałem Morleya.

- Nie wiem. Skoczyłem w trzy sekundy po tym czymś, a na zewnątrz już nikogo nie było. Ani śladu.

- Co to było?

- Nawet tego nie potrafię ci powiedzieć. Nie zdążyłem się przyjrzeć.

Grolle przyniosły zbirów i rzuciły ich na podłogę. Po zajściach w gospodzie miały dobry humor i chęć do zabawy. Oskubały także i te ptaszki.

- Widziałeś mnie, Morley? - zabalgotał Dojango. - Widziałeś mnie? To znaczy, doprawdy, że rzuciłem tym cholerstwem o ziemię. Widziałeś mnie, Morley?

- Tak. Widziałem. Zamknij się, Dojango.

Morley wydawał się zatroskany. Wciąż spoglądał w stronę wybitego okna.

- No i dobrze. Masz go, Garrett. Zrobisz z nim coś?

- Aha. Wspaniale. - Spojrzałem z ukosa na Zeck Zacka. - Mam mały problem, panie Zeck.

Centaury uparcie wypychają nazwiska na pierwsze miejsce, uważając widocznie, że ich przodkowie są ważniejsi.

- Ludzie ciągle usiłują sprawić mi lanie, a ja nawet nie wiem za co.

Zeck Zack nie miał nic do powiedzenia. Ale przynajmniej mnie słyszał.

- Świetnie. Opowiem ci historię. A potem ty opowiesz mi swoją. Jeśli mi się spodoba, rozstaniemy się jak przyjaciele.

Ciągle bez skutku. Uznałem, że Zeck Zack to twardziel i nieraz już znajdował się między młotem a kowadłem. Był dość zimny. Zrobi to, co trzeba będzie zrobić.

- Pewnego razu umarł sobie pewien facet. Zostawił wszystko pewnej dziewczynie, którą poznał, kiedy był w wojsku. Jego ojciec wynajął mnie, żebym ją odnalazł i dowiedział się, czy zechce przyjąć spadek. Prościutka sprawa. Coś, co robię mniej więcej codziennie. Tyle tylko, że tym razem wciąż ktoś zastawia na mnie jakieś pułapki i wysyła zbirów, żeby mnie stłukli na kwaśne jabłko. Jak dotąd nikt jeszcze nie udzielił mi uczciwej odpowiedzi. Można by rzec, że ta sytuacja mnie trochę denerwuje.

Dałem mu możliwość wygłoszenia komentarza. Nie skorzystał. Nie

sądziłem nawet, że to uczyni.

- Ludzie próbują wywrzeć na mnie nacisk. Więc teraz ja też naciskam. Zadaję pytania i żądam odpowiedzi. Co w tej babie, Kayean, jest takiego, że warto o to ścinać głowy?

Nie miał nic do powiedzenia.

- Co tam jest takiego, że warto dla tego czegoś umrzeć? Jesteś gotów umrzeć dla tego czegoś?

Tym razem zareagował. Niedostrzegalne drżenie w okolicy oczu. Nie uważał, że jestem typem mordercy. Ale mnie nie znał, więc nie mógł być pewien.

- Zaczyna słuchać, Garrett - stwierdził Morley. - Musimy się chyba przenieść w inne miejsce. Ten, który uciekł, może ściągnąć posiłki.

- Wierzę w cukierki jako potencjalny system alarmowy. Wiesz coś na temat centaurów? Nigdy nie miałem do czynienia z tymi stworzeniami.

- Coś niecoś. Są próżne, skąpe, złośliwe we wszystkich możliwych znaczeniach tego słowa, zawzięte. Ogólnie: nic przyjemnego. Aha, czy wspomniałem o tym, że bywają często złodziejami i kłamcami?

- Jakie są ich słabe punkty?

- Czy mówiłem o tchórzostwie? Miałeś nosa z tym sznurem. Podduś go troszeczkę, powoli. Dojdzie do rozsądku.

- Nie chcę robić tego brutalnie. Jak dotąd nikt nie ucierpiał. Wolałbym raczej porozmawiać, wypracować jakieś rozwiązanie, przestać sobie bruździć nawzajem i wreszcie znaleźć tę kobietę. Zbyt wielu ludzi interesuje się nami, a ja nie wiem dlaczego.

Zeck Zack jakby skubnął przynętę. Po raz pierwszy odezwał się piskliwym głosikiem, który omal nie wywołał u mnie ataku śmiechu:

- Możesz udowodnić, że jesteś tym, kim twierdzisz, że jesteś? Jeśli to prawda, nie powinniśmy mieć problemów z porozumieniem się.

Trafiony!

Morley zwrócił się do Dojango:

- Powiąż tych chłopców, żeby Doris i Marsha mieli wolne ręce.

Jeden z facetów był tym, który myślał, że jesteśmy dowcipnymi gangsterami. Wyglądał dość fatalnie. Grolle, zwolnione z obowiązku niańczenia, otoczyły kółeczkiem Zeck Zacka. Wyciągnąłem wszystkie papierki, zaświadczenia i dokumenty, jakie miałem przy sobie.

Obejrzał je bardzo, bardzo dokładnie.

Morley w tym czasie dostał mrówek w spodniach.

- To dość głupie, żeby mogło być prawdziwe - stwierdził Zeck Zack.
- Pozwolę sobie na pewną dozę zwątpienia. Przez pewien czas.

- Garrett - wtrącił się Morley - zaczynamy mieć coraz mniej czasu.
Podduś go.

- To nic nie da - odparł Zeck Zack. - Powiem wam dużo interesujących rzeczy, ale nic, co mogłoby mieć prawdziwą wartość. Zajmuję eksponowane stanowisko. Dlatego też nie dopuszczono mnie do ważniejszych informacji. Mimo to wiem o czymś, co mogłoby wam pomóc. O ile rzeczywiście jesteście tymi, za których się podajecie.

Czekałem.

- Skontaktuję was z kimś, kto zna kogoś mogącego umożliwić wam spotkanie twarzą w twarz z tą kobietą.

- Wspomniałem o tym, że są zdraźcecy? - zapytał Morley.

- Jeszcze jeden test - rzekł Zeck Zack. - Wyrecytuję kilkanaście nazwisk, zdań i miejsc, a ty powiesz mi, które znasz lub o nich słyszałeś. Mam dobre ucho, zorientuję się, jeśli skłamię.

Okłamywałem już takich ludzi, i z dobrym skutkiem. Wiele razy.

- Wal.

Udało mi się rozpoznać połowę. Tę samą, którą rozpoznałem na liście wojskowej. Zeck Zack był zaskoczony prawdą, którą usłyszał swym dobrym uchem.

- Może rzeczywiście jesteś tym, za kogo chcesz uchodzić. - Zerknął na mnie z ukosa. - Taak... To nawet mogłoby mieć sens... Chyba wiem, co się dzieje... Trzeba by to sprawdzić...

Zaczął gorączkowo myśleć. Reszta z nas gorączkowo czekała. Morley z marnym skutkiem.

- Gdzie mogę wam zostawić wiadomość? - zapytał wreszcie Zeck Zack.

Użyłem mojego najlepszego uniesienia brwi.

- Nie wierząc mi, naturalnie, przeprowadzicie się z dotychczasowego miejsca zamieszkania. Nie będę miał dość ludzi, żeby was po raz kolejny lokalizować. Postaram się załatwić wam spotkanie z tą kobietą i dokończenie misji. Jeśli mi się uda, muszę was powiadomić.

Przeczuwałem, że rzeczywiście zamierza zrobić to, o czym mówi,

choć wcale nie dlatego, żeby choć minimalnie ułatwić mi życie. Miał jakieś motywy, których nie byłem w stanie zgłębić. Wszyscy oprócz mnie kierowali się mrocznymi motywami.

- U gospodarza, u którego teraz mieszkamy. Wyprowadzimy się, ale postaramy się także, by za nami tęsknił. - Zdjąłem laso z karku centaura. - Spróbuję zawierzyć moim przeczuciom, postawić wszystko na jedną kartę i zaufać tobie, centaurze. Może dlatego, że zaczynam wpadać w desperację. Jeśli przypadkiem wstawiasz mi ciemnotę, żeby wyciągnąć zad z kłopotów, albo planujesz na mnie kolejny atak, możesz mieć problemy.

- Wiem o tym doskonale. Mówiłem wam, że jestem na eksponowanym stanowisku. I bardzo wrażliwy, jak mogliście dziś stwierdzić.

Doszedłem do wniosku, że tym niezbyt pozytywnym akcentem zakończę sprawę.

Morley, który miał ochotę wynieść się już pół godziny temu, teraz rzucił się na mnie z oskarżeniem o zmarudzenie całej nocy.

- Chodź już, Morley. Czas się wynosić.

XXXI

Siedzieliśmy na kępie trawy niedaleko domu wiedźmy, otoczeni małym ludkiem, kompletnie upitym cukrem. Tylko kilku z nich było dość trzeźwych, by chichotać.

Morley, z kłótlivego zrobił się nagle refleksyjny.

- Wiesz, co w tym wszystkim jest ciekawe, Garrett? Ta lista. Szesnaście pozycji, a sześć z nich oznacza dokładnie to samo: imię przełożone na sześć różnych języków. Ciekawe. Szczególnie, że żaden z nas i w żadnej z form nie rozpoznaje tego imienia.

- Kto to jest?

Brzęknął ciężarkiem na łańcuchu.

- Podam ci karentyńską wersję, ale to nie ma wielkiego sensu - odparł.

- Spróbuj, w każdym razie. Mówię tylko po karentyńsku.

- Są dwa możliwe tłumaczenia: Świt po Nocy Litości lub Świt Po Nocy Szaleństwa.

- To się nie trzyma kupy.

- Mówiłem ci, że tak będzie.

- W jakim języku używa się tego samego słowa na określenie litości i szaleństwa?

- W czarnoelfickim. - Och.

Zerknąłem w stronę domu centaura. Od naszego wyjścia nic się nie wydarzyło. Spojrzałem na dom wiedźmy. W oknie na piętrze paliło się światło. Kiedy szliśmy w tę stronę, okno było ciemne.

- Chłopaki, może skoczylibyście na cmentarz? Dogonię was za kilka minut. Chciałbym tylko coś sprawdzić - powiedziałem.

Spodziewałem się, że Morley zacznie się kłócić. Nic podobnego. Burknął coś tylko, podniósł się, trącił trojaczki i zniknął w ciemności nocy.

Ktoś mały, o uśmiechu o dwa rozmiary za dużym, osunął się miękko w moje ramiona. Przechyliłem go delikatnie, poklepałem po ramieniu, kiedy coś zamamrotał, po czym wstałem i skierowałem się w stronę domu. Obszedłem go dokoła, zaglądając przez okna.

- Tu jestem, detektywie Garrett.

- Świetnie. Chciałem cię zobaczyć, ale trochę się bałem, że cię obudzę. - Nie widziałem jej w mroku.

Zaśmiała się. Ten śmiech świadczył przede wszystkim o rozbawieniu, ale brzmiały w nim także ślady drwiny. Nie wierzyła mi, ale wiedziała, że wcale tego od niej nie oczekuję.

- Jak ci pomóc, detektywie Garrett?

- Możesz zacząć od nienazywania mnie detektywem. Opuściłem Marines, więc co z oczu, to z serca i głowy. Potem możesz mi powiedzieć, czy wiesz coś na temat osoby zwanej Świt po Nocy Litości lub Świt po Nocy Szaleństwa.

Milczała tak długo, że obawiałem się, iż mnie opuściła. A potem rzuciła to samo czarnoelfickie tirlipirli, którego użył Morley, ale z wyraźnym zapytaniem w głosie.

- Zgadza się.

-Tirlipirli to nie osoba, panie Garrett. To proroctwo. Z pańskiego punktu widzenia raczej nieprzyjemne. Nazwa tirlipirli pochodzi z języka czarnoelfickiego, ale proroctwo nie. To echo, dźwięk, marzenie pośród najgłębszej nocy.

Ponieważ była tym, kim była, włożyła w swoją deklamację wiele serca, po czym zamknęła się, nie udzielając jasnej odpowiedzi.

Próbowałem zadawać pytania, ale to już była strata czasu. Jeśli chodzi o tirlipirli, po prostu wyczerpała temat. Odezwała się jednak:

- To dla zabawy. Czego naprawdę chcesz? Nie było sensu udawać Greka.

- Wciąż jeszcze jesteś w branży? Chciałbym kupić od ciebie kilka specjalistycznych narzędzi.

Wydała z siebie pierwszej klasy rechot czarownicy. Brzmiało to prześmiesznie. Zachichotałem. Nawet pawie włączyły się do zabawy, choć ich wesołość wydawała się niepewna i senna.

- Przejdź do frontowych drzwi, Garrett - powiedziała. - Będą otwarte.

Kiedy dogoniłem Morleya i trojaczki, miałem ze sobą pięć małych, poskładanych kawałeczków papieru. Schowałem wszystkie wyjątkowo starannie, ponieważ każdy nosił w sobie potężny i potencjalnie przydatny czar. Powtarzałem w kółko instrukcję czarownicy. Właściwie musiałem jedynie pamiętać, żeby w odpowiednim momencie rozwinąć papierek, chociaż niektóre z nich

wymagały wyszeptania odpowiedniego słowa we właściwym czasie.

- A więc przeżyłeś - stwierdził Morley. - Już miałem iść na poszukiwanie. Co teraz?

- Wracamy i próbujemy złapać parę godzin snu. Jutro wczesnym rankiem ruszamy do Fort Caprice.

- Myślałem, że pozwolisz centaurowi, by szukał za ciebie.

- W przeciwieństwie do fałszywego wrażenia, jakie odniosłeś niedawno, nie ufam mu ani odrobinę. Jeśli Zeck Zackowi się uda, to świetnie. Tymczasem będę kontynuował poszukiwania. Uważa, że możemy się przed nim ukrywać. Nie znam lepszego miejsca niż Kantard. Dwa ptaki jednym kamieniem.

Morley był zachwycony dokładnie tak, jak się tego spodziewałem.

- Musiałem cię zapytać, co? - odparł.

XXXII

Fort Caprice był kompletną ruiną.

Cztery dni drogi dzieliły go od Full Harbor, jeśli szło się ostrym marszem przez cały czas. Każdy nasz krok był ryzykowny, ale mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu. Nie tylko nie spotkaliśmy żadnego z naszych patroli karentyńskich, ale też nie wleźliśmy w szeregi Venageti ani żadnych innych przedstawicieli ras nieludzkich Kantardu, które niemal wszystkie, przynajmniej marginalnie, wplątane są w wojnę. Ich lojalność jest stała jak kolor kameleona, w zależności od tego, gdzie wywęszą większe korzyści.

Fort Caprice nie znajdował się w samym centrum kotła. Najbogatsza w srebro kraina leży mniej więcej sto sześćdziesiąt kilometrów na południe.

Major Kayeth Kronk okazał się dyplomowanym pułkownikiem Kronkiem w słodkim wieku dwudziestu sześciu lat. Nie powiedziałem mu, że już się kiedyś spotkaliśmy, choć byłem pewien, że przypomniał mnie sobie, zanim doszliśmy do końca naszej krótkiej rozmowy. Powiedziałem, że szukam jego siostry, a także dlaczego. On jednak odparł, że nie ma siostry o imieniu Kayean.

I to było wszystko, co chciał powiedzieć na ten temat. Kiedy nalegałem, zrobił się uparty. A potem wściekł się i kazał kilku żołnierzom pokazać mi, gdzie są drzwi.

Powęszyliśmy nieco pośród maruderów, jacy błakali się w Fort Caprice, i nie dowiedzieliśmy się niczego, poza tym, kto dolewa wody do wina, a która kobieta wyśle cię do domu z czymś, czego nie miałeś, zanim przyszedłeś do niej z wizytą. Pokonaliśmy zatem czterodniową trasę do Full Harbor z powrotem, a szczęście idioty znowu czuwało nad bezpieczeństwem naszych odwłoków.

To była przyjemna wycieczka.

Miałem nadzieję, że centaur się pojawi i nie będę musiał jechać tam po raz drugi. Po co niepotrzebnie kusić los.

Krótko mówiąc, nie było nas w Full Harbor dziewięć dni.

XXXIII

Major z wojskowej izby miejskiej czekał przy bramie w Narrows Wall. Nie było w tym nic magicznego, jak szybko się zorientowałem bez użycia czarów, że podróż do Fort Caprice i z powrotem zajęła nam łątwą do określenia ilość czasu. Odciał mnie od moich owieczek.

- No i co? - zapytał.

- Nic. Zero. Nul. Czym mogę panu służyć?

- Mam kolejną listę nazwisk.

- I poznanie mojej reakcji jest na tyle ważne, że wyszedł pan aż tutaj na spotkanie?

- Może.

- Strzelaj pan.

Tym razem rozpoznałem pięć z dwunastu nazwisk, jakie wymienił. Ojciec Mike, ojciec Rhyne, Sair Lojda, Martello Quinn i Aben Kurts z dawnej bandy Denny'ego. Uprzedziłem majora, że dwóch ostatnich znam tylko jako przyjaciół przyjaciela i zdziwiłem się, że już nie służą w marynarce. Potem spytałem:

- A co ich wszystkich łączy? O co chodzi?

- Ci ludzie i jeszcze trzech, których nie znamy z nazwiska, zginęli lub zaginęli w ciągu ostatnich jedenastu dni. Jestem pewien, że gdyby ich pan zobaczył, rozpoznałby więcej osób. Imelo Clark był strażnikiem w izbie cywilnej, a Egan Rust urzędnikiem. Rozmawiał pan z nimi. Nie byłem pewien, czy miał pan coś wspólnego z Kurtsem i Quinnem, ale skoro tak, to podejrzewam, że znał pan także Laughta i trzech bezimiennych, którzy, jak się zdaje, wypłynęli z TunFaire na jachcie.

- Co u licha usiłuje mi pan wmówić?

- Proszę się tak nie straszyć, Garrett. Jest pan całkiem bezpieczny. W czasie tego zamieszania był pan poza miastem. Szczerze mówiąc, pan lub ktoś z pańskich ludzi znalazł się w pobliżu ofiary jedynie w przypadku ojca Rhyne. Cieszę się, że to pański wspólnik go znalazł.

Nie odezwałem się. Myśli jak opętane tłukły mi się pod czaszką. Co tu jest grane, do licha?

- Wydaje się, że sprzątają po panu. Szczęście, że pan sam nie

wyparował.

- Próbowali, i to nie raz - przyznałem się bezmyślnie. Chciał znać szczegóły. Żądał szczegółów. Podsunąłem mu kilka, nie wspominając wszakże o centaurach ani trupach, ani niczym, co mogłoby mu się naprawdę przydać. Uznał, że jesteśmy bardzo sprytni, skoro udało nam się wysłać jedną z grup do kopalni.

- Wydaje mi się, że ukrywa pan mnóstwo rzeczy, których nie wyjawisz, choćbym pytał, nie wiem jak grzecznie - zauważył. - Na przykład, gdzie tu pasują ci z TunFaire?

- Ani przez chwilę nie wahałbym się powiedzieć, gdybym wiedział. A co się właściwie z nimi stało?

Kurts i Quinn zginęli tego samego wieczoru, kiedy opuściliśmy Full Harbor. Znaleźiono ich w odległej południowej dzielnicy. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że padli ofiarą rabusiów. Laught - zidentyfikowany dzięki temu, że jego nazwisko i nazwa statku wyszyte były na wewnętrznej stronie jego kapoty - zginął nieco później tej samej nocy na cmentarzu, gdzie oboje z Kayean bawiliśmy się jako dzieci. Niemal w tym samym czasie potężna eksplozja i pożar unicestwiły jacht. Nie wiadomo, ilu ludzi zginęło. Ocalałe od ognia szczątki jachtu zatonęły. Wielki cud, że nie zajęło się całe nabrzeże i molo.

- Wygląda to raczej nieładnie - stwierdziłem. Stawka musi być duża. Nie chcę wydać się głupcem ani impertynentem, ale co to wszystko pana obchodzi? Problem bez wątpienia jest paskudny, ale wygląda na cywilny.

- Full Harbor istnieje z przyczyn wyłącznie wojskowych. Wszystkie paskudne sprawy mogłyby niekorzystnie wpłynąć na wojskową sytuację miasta. Garrett, jestem przekonany, że wie pan o rzeczach, o których i ja chciałbym wiedzieć, ale nie będę naciskał. Kiedy poczuje pan chęć obnażenia duszy, proszę wpaść. A ja podam panu nazwisko mężczyzny, za którego wyszła. Tymczasem niech pan sobie pospaceruje.

- Aha. - Pomachałem mu ręką, ale bez przekonania. Zastanawiałem się, o co mu właściwie może chodzić.

Morley i trojaczki przyłączyli się do mnie.

- Kto to był? - zapytał Morley. Powiedziałem mu.

- Miał coś ciekawego? Opowiedziałem wszystko po kolei.
- Wojskowe gangi i wampiry. - Zadumał się przez chwilę. - Co za miasto.
- Wampiry?
- Kilkoro ludzi twierdziło, że zostali zaatakowani w tym tygodniu. Zwykle ludzkie gadanie. Wiesz, jak się zaczynają te historie. Teraz ludzie przez cały miesiąc będą widzieć wampira w każdej plamie cienia.

XXXIV

Spędziliśmy noc w tej samej knajpie. Nie mogliśmy być bardziej bezpieczni gdzie indziej, a tutejsze pokoje miały najlepsze wymiary dla grolli.

Karczmarz przekazał mi pięć wiadomości. Wszystkie pochodziły od Zeck Zacka i docierały po jednej co dzień, a ich ton stawał się coraz bardziej panikarski. Zdaje się, że chciał mnie zobaczyć.

- Jutro to aż za wcześnie - powiedziałem Morleyowi. - Dzisiaj zamierzam wylegiwać się i przewracać z boku na bok, pić piwo tak długo, aż spłuczę z siebie kurz Kantardu. Do tej pory nie odnalazłem kobiety, ale chyba zaczynam rozumieć pewne fragmenty pozostałych łamigłówek. Nie sądzę, żeby cała ta awantura miała coś wspólnego ze srebrem, jeśli nie liczyć Vasco i jego kumpli. Myślę, że zderzyło się tu kilka spisków o różnych lub marginalnie tylko zazębiających się celach. Być może kobieta jest jakimś ogniwiem. Chyba nie tylko ja gonię w piętę i się zastanawiam. Kim, do diabła, są ci chłopcy? Czego chcą?

W tym momencie dałem sobie spokój. Niech Morley to przeżyje, jeśli bardzo chce. Zaszyłem się z piwem w kącie i próbowałem oczyścić mózg z wszelkiej myśli.

Ktoś mógłby powiedzieć, że nie przemęczam się w pracy. Zeck Zack pojawił się następnego dnia i natychmiast przybrał rozkazujący ton.

- Czy ja dla ciebie pracuję? - upewniłem się.

Rozejrzał się wokoło. W jego stronę spoglądało mnóstwo nieprzyjaznych twarzy. Centaury nie są zbyt popularne, i to prawdopodobnie jest przyczyną, dla której Zeck Zack tak rzadko przebywa w mieście. Zmiękł nieco, ale nadal gotował się wewnątrz. Podał mi zapieczętowany list.

- Tu są twoje instrukcje. Musisz przyjść sam.

- Ćpałeś coś?

- Dlaczego?

- Ja nigdzie nie idę sam. W tym mieście ludzie padają jak muchy. Czterech z nich zginęło w pobliżu twojego domu.

- Przydziesz sam albo nie pozwolą ci się z nią zobaczyć.

- No to znajdę ją własnym sposobem.

W tym momencie pojawił się Morley. Wracał z pastwiska. Klepnął Zeck Zacka po zadzie. Centaura omal szlag nie trafił na taką poufałość.

- Wampir znowu grasował tej nocy, Garrett - odezwał się Morley. - Wygląda to na coś poważnego.

- Przypomnij mi, żebym włożył golf, kiedy wieczorem wybierzemy się na zwiedzanie barów.

Po ściągniętych wargach elfa poznałem, że ma coś więcej w zanadru, ale nie piśnie ani słowa, dopóki nie pozbędę się centaury.

- Widzisz? - Uśmiechnąłem się ironicznie do Zeck Zacka. - To niebezpiecznie pętać się samemu po ulicach.

- Spróbuję im to wyjaśnić. Będą bardzo zdenerwowani na nas obu. Zadali sobie wiele trudu, żeby znaleźć dostęp do kobiety. Może jednak z tego powodu przychylił się do twojej petycji.

- Mojej czego? - Poruszyłem brwią. - Dobrze. Sprawdź. W razie czego wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Wyciągnął rękę.

- Instrukcje. Trzeba je będzie zmienić.

Oddałem mu list. Wyszedł, obdarzywszy mnie uprzednio paroma ponurymi spojrzeniami.

- Chciał, żebym przyszedł zupełnie sam, w pojedynkę - wyjaśniłem Morleyowi. - Wyobrażasz sobie zostawić mnie twarzą w twarz z nimi, kimkolwiek są.

- Kimkolwiek są, robi w portki ze strachu przed nimi. A to podobno twardy sukinsyn.

- Zauważyłem, że ma coś z nerwami. Co się dzieje?

- Jesteśmy obserwowani. Ktoś szedł za mną i w tę, i w tamtą stronę. Nie przyjrzałem mu się dokładnie, bo nie chciałem, żeby zauważyli, że są spaleni, ale widziałem jeszcze dwóch. Mam wrażenie, że to wierzchołek góry lodowej.

- Cholera! Cała załoga na pokład. A teraz jeszcze wiedzą, że mam konszachty z Zeck Zackiem.

- Przepadło. Kogo typujesz na szefa tej obstawy?

- Tego sukinkota z wojska. Nie wiem dlaczego. Vasco i załoga jachtu z pasiastym żaglem nie mieliby dość forsy. Centaur nie musi wiedzieć o każdym naszym oddechu. Sądzi, że trzyma nas w szachu.

- Może należałoby się bliżej przyjrzeć majorowi.
- Może. Chociaż nawet nie znam jego nazwiska. Zresztą, nawet bym nie chciał. Wystarczy, jeśli odwałę robotę, za którą mają mi zapłacić. Morley skinął głową.
- Chyba spędzimy dzień na kręceniu się tu i tam - oznajmiłem. - Będziemy patrzeć, ilu ich jest i jacy są dobrzy. Możemy udawać, że wybieramy się na kolejną wyprawę poza miasto. Możemy zjeść coś w drodze powrotnej do domu, jeśli uda mi się dostać to, na co mam ochotę.
- Musimy jednak się zastanowić, jak ich zgubić w odpowiednim momencie.
- Aha. Ta sprawa nie mogłaby być bardziej skomplikowana, gdybyś zamówił ją u trzech czarodziejów.

XXXV

Mylilem się. Sprawa mogła skomplikować się jeszcze bardziej. I tak się też stało.

Morley, trojaczki i ja spędziliśmy dzień na myleniu śladów, poświęcając każdą wolną chwilę na obmyślanie planu zgubienia wężycieli. Wyglądało na to, że jest ich co najmniej dwudziestu na naszych grzbietach przez okrągłą dobę. Nietrudno pozbyć się ogonów, kiedy wiesz, gdzie są, a zwłaszcza w mieście tak szalonym jak Full Harbor.

Morley wyszedł na kolację. Ja jadłem z Dojaniem w tej samej sali. Jego bracia odpoczywali w pokojach, gdzie czuli się znacznie swobodniej.

Dojango nie był złym kompanem do zabicia czasu, jeśli zachowywało się odpowiednią tolerancją. Znał bardziej sprośne historie niż ktokolwiek inny, chociaż niezbyt dobrze je opowiadał. Doprawdy.

Dalsze komplikacje wtoczyły się przez drzwi.

- Saucerhead Tharpe! - jęknąłem.

- I Spiney Prevallet - uzupełnił Dojango na widok faceta, który był ostatnim z wchodzącej czwórki. - Doris! Marsha!

Potrafił nadać swemu głosowi rozkazujące brzmienie, jeśli chciał. Wołanie zagłuszyło na chwilę szum panujący w sali ogólnej.

Dwójka pośrodku nie wymagała prezentacji. Moje dwie stare flamy, Róża i Tionie. Tionie przemaszerowała obok Saucerheada, który właśnie przyglądał się grollom od góry do dołu i nie miał zbyt rezolutnej miny.

- Widzę, że Venageti was nie dopadli - odezwałem się. - A myślałem, że ci żeglarze nieomylnie wykrywają skarby.

Stała w zasięgu uderzenia, szeroko rozstawiając nogi, ale jej pięstki spoczywały na biodrach.

- Jesteś sukinsynem, Garrett. I masz dębowe jaja. Wiesz o tym?

- Aha. Słyszałem coś niecoś na ten temat. Nie myśl sobie, że tak łatwo mi pochlebić. Podróż się udała? Jak długo jesteś w mieście?

Jednym okiem łypałem na Różę, która zrobiła tak wściekłą minę, jak stado wilków krążące wokół ofiary. Saucerhead i Spiney, obdarzeni

większą dozą rozsądku i bez bagażu emocjonalnego, wsadzili ręce do kieszeni i nie zamierzali ich stamtąd wyjmować.

- Jedliście już obiad? Siadajcie. Ja stawiam. Wprawdzie to nie „Gambit Jednorozca”, ale jedzenie jest całkiem do rzeczy.

- Ty...! Ty...! - jękała się Tionie. - Jak śmiesz siedzieć i udawać, że nic nie zrobiłeś? Nie traktuj mnie jak swoich rozklapanych kumpli z wojska, ty gnojku!

Ogień w jej oczach przygasał. Uświadomiła sobie otaczającą nas ciszę, wlepione w nią spojrzenia i porozumiewawcze mrugnięcia.

- Nie zachowujesz się jak dama - zauważyłem. - Usiądź, moja jedyna miłości. Pozwól zmiękczyć się kolacją i dobrym winem.

- Kupionymi za pieniądze wuja Willarda?

- Oczywiście. To absolutnie legalne wydatki.

Uśmiech błąkał się po wargach Tionie, mimo jej wszelkich starań, by wyglądać na wściekłą. Klapnęła na krzesło, które zwykle zajmował Morley.

- Dojango, czy mógłbyś wystraszyć paru bywalców, żeby wystarczyło krzeseł dla naszych gości?

Spojrzał na mnie jak na wariata, ale spełnił życzenie.

- Dobrze, że dotarliście na czas. Za godzinę moglibyście wynająć tu sobie pokoje. Cześć, Saucerhead. Wpłaciłem twoje honorarium na rachunek u Morleya. W porządku?

- Jasne. Pewnie. Właśnie o to mi chodziło. Jak się masz, Garrett? - Był zakłopotany, że widzą go w towarzystwie dwóch prawdziwych, żywych kobiet. Co będzie z jego reputacją?

- Nie najlepiej. Wpadłem w sam środek najbardziej przekłętej sprawy, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia.

Cywilizowane zachowanie wymaga cywilizowanego zachowania. Róża postanowiła zagrać w tę grę i udawała prawdziwą damę, gdy Dojango podsuwał jej krzesło.

- Różo - odezwałem się. - Wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek.

- To pewnie morskie powietrze i zmiana diety. Spojrzałem na Tionie.

- Mam nadzieję, że nie korzonki i jagody. Tionie mrugnęła.

Spojrzałem na Spineya Prevalleta.

- Panie Prevallet, słyszałem o panu, ale nie sądzę, żebyśmy się kiedykolwiek spotkali.

- Garrett. Nie. Nie spotkaliśmy się, ale też o panu słyszałem. - I to było wszystko, co miał do powiedzenia tego wieczoru. Wystarczyło zresztą, żeby ścierpły mi zęby. Głos miał neutralny, ale lodowaty jak dolna część trumny.

Jeżeli Morley i Saucerhead są najlepsi w tym, co robią, to Spiney Prevallet depcze im po piętach. W dodatku mówią o nim, że jest mniej kapryśny i mniej wybredny w robocie, jakiej się podejmuje.

Sam karczmarz się zjawił, żeby przyjąć od nas zamówienia. Tacy ludzie jak on kierują się szóstym zmysłem.

- Miałeś kłopoty? - zapytała Róża, i wydało mi się, że słyszę w jej głosie nadzieję.

- Troszeczkę. Właściwie okazało się, że to ja jestem kłopotem. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, zeszli z tego świata.

To przyciągnęło ich uwagę. Przekazałem im skróconą i ocenzurowaną wersję moich przygód. Jakoś zapomniałem wspomnieć o Zeck Zacku.

Mówiłem i zastanawiałem się, jak się od nich uwolnić, gdyby nagle objawił się, kiedy wszedł Morley.

Nawet nie mrugnął okiem. Podszedł do siedzącej plecami do drzwi Róży i od tyłu delikatnie przesunął czubkami palców po jej szyi.

- Prawdziwy cud. Myślałem, że piraci już...

- Garrett już próbował tej linii obrony - wtrąciła się Tionie. - Tylko że on mówił o żeglarzach Venageti.

- To oznacza, że do listy jego grzechów należy dorzucić także plagiat. - Morley położył przede mną małe pudełeczko. - Ten czworonożny mistrz kucharski przesyła ci sałatkę z karczocha. Skoro już jadłeś, może zostawisz ją sobie na przekąskę.

Zajrzałem pomimo jego ostrzeżenia. Rzeczywiście sałatka z karczocha.

- Dał ci to?

- Prosił, żeby przekazać. Wie, że mamy gości i nie chciał się narzucać.

- Nie wiem, co mógłbym zrobić z karczochami, ale skoro zadał sobie tyle trudu...

Morley nie przestawał głaskać Róży po szyi i ramionach. Skinął głową Tionie, nie zaszczycił nawet jednym spojrzeniem Spineya i

Saucerheada. Jeśli, tak jak przypuszczałem, karczoch zawiera instrukcje Zeck Zacka dotyczące spotkania, mamy problem. Wierzyłem, że ten problem znajduje się w polu niepodzielnej uwagi Morleya.

- Jak przekupiliście mistrza Arbanosa? - zwróciłem się do Tionie.

- Tego wodnego szcurka? Zrobił dokładnie to, co mu kazałeś. Oddał nas wujkowi Willardowi do rąk własnych.

- Żałuję, że tego nie widziałem.

- Będziesz miał szansę wziąć udział w spektaklu na bis.

- Jak się wam udało...

- Nasz kochany wujcio Lester zostawił każdej z nas mały spadek - wyjaśniła Róża.

- Rozumiem. Kobiety, które mają własne pieniądze, zaczynają marzyć o niezależności, nieprawdaż?

Pudełko z sałatką stało obok mnie, gapiło się i aż prosiło, żeby je otworzyć, a ja nie znajdowałem pomysłu, jak pozbyć się towarzystwa.

- Dlaczego tu jesteś, Tionie? Różę rozumiem. Sto tysięcy, to zaostrzy każdy apetyt. - Morley najwyraźniej mówił pod adresem grolli. Miałem nadzieję, że jego umysł okaże się płodniejszy niż mój.

- Muszę uregulować pewne rachunki z niejakim sukinsynem, który kazał mnie związać i odstawić pod wskazany adres jak worek rzepy.

- W chwilę potem, jak użył swych dębowych jaj, żeby cię wyrwać z rąk porywaczy. I co można zrobić z takim kawałem łajdaka? - odparowałem.

Miała przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby się zaczerwienić

Morley podszedł do Dojango i poprosił go o ustąpienie miejsca obok Róży. Dojango z pewnym ociąganiem wstał i dołączył do braci.

Wtedy zobaczyłem TO, a Morley zorientował się, że chwytam. Rzucił mi cień uśmiechu i zajął się sumiennie czarowaniem Róży.

Dojango wyniósł się do naszych pokoi.

Pięć minut później poczułem nieprzewartą chęć skorzystania z wychodka. Złapałem pudełko i przyrzekłem, że zaraz wrócę. Po drodze delikatnie pogładziłem włosy Tionie. Dała mi po łapie, ale lekko.

Dojango już czekał.

- Przez okno. Nocny kurs. Morley sugerował, żebyś najpierw przeczytał instrukcje i spuścił je do wychodka.

Miałem na tyle rozumu. Nie sądziłem, że jemu trzeba byłoby przypominać.

- Kto następny?

- Morley. Przyjdzie zobaczyć, co się z tobą dzieje. Potem Doris i ja. Marsha zostaje i zabawia ich tak długo, jak trzeba, żeby nie wyszli przez drzwi.

- Brzmi nieźle. Jeśli się uda.

XXXVI

Szedłem alejką wiodącą na cmentarz ortodoksów, gdzie mieliśmy się spotkać w kwaterze rodziny Kronków z Zeck Zackiem albo jego wysłannikiem, który miał przyjść po nas dokładnie o północy, od strony innego grobowca, położonego o jakieś sto metrów dalej.

Dotarłem do miejsca, w którym pierwszy przybyły miał się cichutko przyczać w zaroślach i czekać na resztę.

- Morley? Jestem czysty.

Z krzaków zamiast Morleya wyszedł Dojango.

- Co tak długo? - zapytał.

- Miałem więcej ogonów niż uighur. Sami zawodowcy. Zajęto mi parę chwil, zanim ich zgubiłem. Gdzie Morley?

- Rozdaje cukier.

- Doris i Marsha?

- W kwaterze. Też niedawno przyszli. Omal nie zapomnieli. Świetnie się bawili, drepcząc przez miasto i słuchając, jak ludzie sapią i dyszą, żeby za nimi nadążyć.

- Nasze damy?

- Ty i Morley lepiej zapomnijcie o tych dwóch i zajmijcie się dopieszczaniem uli pełnych wściekłych pszczoł.

- Wściekle co?

- Zioną ogniem i siarką, doprawdy. Morley wrócił właśnie ze swojej wyprawy.

- W samą porę, Garrett - ucieszył się. - Chodź, coś sprawdzimy. - Ruszył w głąb cmentarza.

Jego cel okazał się mocno rozwalonym mauzoleum. Uważnie przyglądał się drzwiom. Nie mogłem dostrzec, co tam widzi.

- Hmm. Może nawet wiedzieli, co mówią. Marsha, otwórz to. Groll wykonał polecenie. Nie było słyhać dźwięku pękających zabezpieczeń. W ogóle nic nie było słyhać. Ciekawe, przecież tych drzwi nie ruszano od pokoleń.

I wtedy buchnął smród.

Przyszedł mi do głowy żart o atakującym oddziale śmierdzieli, ale przywołałem się do porządku. Śmierć to nie żarty.

- Potrzebne nam światło, Morley - zauważył Dojango.

- Tak mi się też zdawało. Pożyczyłem świetlika od mojego paskudnego kumpla Hornbuckle'a. - Wydobył stworzonko z ochronnego woreczka. Było młode i świeciło jasno.

Nie miałem ochoty wchodzić do środka, ale wszedłem. Pozostałem tylko tyle czasu, ile mogłem wytrzymać bez oddychania. Wystarczyło, żeby rzucić solidnie okiem. Parszywy widok, ale rozpoznałem to, co pozostało z ojca Mike'a, Saira i urzędnika izby cywilnej. Nie miałem pojęcia, kim byli pozostali.

Marsha zamknął drzwi. W milczeniu wróciliśmy do kwatery Kronków. Wreszcie odezwał się Morley:

- Ktoś urządził sobie śmietnisko.

- Kto ich tam wrzucił?

- Żołnierze. Cytuję Hornbuckle'a: „Żołnierze bez liberii”.

- Rozumiem. - Rozumiałem bardzo dużo. Nie miało to nic wspólnego z odnalezieniem Kayean, ale bardzo wiele z bezimiennym majorem.

- Bez dowodów zakładałam się z tobą o pięćdziesiąt marek, że nasz major był w oddziale, który uwolnił kościół tego dnia, kiedy zginął ojciec twojej lubej - odezwał się Morley.

- Nie zakładałam się. Nawet dziesięć do jednego. Człowiek z pozycją majora nie pozbywałby się tak dyskretnie głównego agenta Venageti na swoim terytorium. Nie wówczas, kiedy mógł go wprowadzić i zbierać wszystkie możliwe korzyści. Chyba że agent wymienił kilka bardzo interesujących nazwisk, na przykład nazwisko agenta jeszcze wyżej postawionego niż on sam.

- Musiałeś powiedzieć „Detektywi z TunFaire”, Myśli, że jesteśmy ludźmi Króla i właśnie jego szukamy. Jaki może być inny powód zainteresowania rodziną nazwiskiem Kronk?

- Albo ludźmi Imperatora. - Potrząsnąłem głową. - Moja biedna, głupia Kayean. Musiały jej się trafić najgorsze egzemplarze na męża i ojca.

Morley zmarszczył brwi.

- Męża? Przecież nawet nie wiesz, kto to taki.

- Nie muszę wiedzieć, żeby zgadnąć, że to ktoś, kogo Zeck Zack i jego szefowie chcą utrzymać poza naszym zasięgiem. Nie ma

dowodów, że ona jest kimkolwiek innym niż kobietą, która prowadziła korzystną korespondencję z dawnym ukochanym,

- A co z twoim majorem? - burknął Morley.

- Znasz mnie. Raczej będę negocjował, tak jak z centaurem. Albo pozwolę im jechać z najlepszymi życzeniami, jak to się stało z Vasco i spółką. Odkąd opuściłem Marines, zabiłem tylko dwóch ludzi, a jeden z nich to był wypadek. Myślę jednak, że ktoś musi uciąć łeb tej gadzinie, zanim nas wszystkich zmiążdży.

Przeszukaliśmy teren bardzo dokładnie. Nie było znaku, że centaur planuje coś podejrzanego, ale to i tak nas zbyt nie pocieszyło.

Zeck Zack pofatygował się osobiście, co świadczyło to i owo o jego powiązaniach z ludem cieni, który stoi za nim.

- Przyszliście za wcześnie - stwierdził oskarżająco.

- Ty też.

- Powiedziałem im, że potrzebuję czasu na przeszukanie was, na wypadek, gdybyście chcieli być za sprytni. W rzeczywistości chciałem trochę porozmawiać.

- Więc ufasz nam?

- Tak jak tylko można w obecnych okolicznościach. Wasze żądania spotkały się z niezależnymi potwierdzeniami od osób, które nie życzyły sobie kontynuowania waszej misji.

- Kto to?

- Zdaje się, że nazywają się Kurts i Quinn.

Aha. Musiałem przeorganizować przypuszczenia, co kto komu zrobił tamtej krwawej nocy.

- Panie Garrett, zadałem sobie sporo trudu, by panu pomóc. Sobie również, muszę to przyznać, ponieważ gdyby pewne listy dotarły do niewłaściwych osób, mógłbym przyplacić to głową. Mimo to ocaliłem wam życie, twierdząc, że najpewniejszym sposobem pozbycia się was jest umożliwienie wam uzyskania uwierzytelnionego oświadczenia. Możecie również stwierdzić, że usunąłem z drogi dwóch śmiertelnych wrogów, co zwiększa wasze szansę.

- Czegoś chyba chcesz ode mnie. - Sir?

- Poza tym, że nie powinienem wspominać o listach, a na ten temat chętnie bym poplotkował tylko po to, by zaspokoić własną ciekawość... Jest coś jeszcze. Nazwijmy to przecuciem.

- Cóż. Właściwie mogę być szczerzy. Mamy mało czasu.

- Więc?

- W młodości zgrzeszyłem, powiedzmy, śmiertelną niedyskrecją. Pewien pan postarał się o zdobycie dowodów, które wystarczą, żeby postawić mnie w bardzo niezręcznej sytuacji. o ile dotrą do moich pracodawców albo do wojsk karentyńskich. Szantażował mnie nimi, zmuszając do czynów, które wydatnie zmniejszają moje szansę dożycia późnej starości. Miejsce ukrycia dowodów znane jest tylko jemu. Nie pozwala mi nawet zbliżyć się do siebie. Pan jednak może dotrzeć wprost do niego.

- Mniej więcej rozumiem. - Nie miałem ochoty na rozwalanie komuś łba w jego obronie, ale wszedłem w tę grę. Chciałem, żeby został moim kumplem. - Kto to taki?

Nagle chciał się okazać sprytniutki.

- Daj spokój. Nie zgodzę się na nic, dopóki nie usłyszę nazwiska.

Postanowił mi powiedzieć, jeśli bym nalegał, wiedziałem o tym. I rzeczywiście, wydusił to z siebie.

- Duchowny o nazwisku Sair Lojda. W kościele ortodoksów i...

- Znam go. - Wymieniliśmy spojrzenia z Morleyem. Zatem centaur nie wiedział, że Sair rozwiął się we mgle. Daleki jestem od okazywania szacunku zmarłym łotrom, jeśli mogę mieć z tego pożytek. - Masz to u mnie, stary. W tej chwili ten facet jest już martwy. Jeśli spotkam się z kobietą i dostanę to, czego chcę, oraz wyjdę w jednym kawałku, pokażę ci ciało jeszcze przed wschodem słońca.

- Stoi?

- Stoi jak mur.

- Dobrze, idziemy, zanim zaczną się niecierpliwić.

XXXVII

Zeck Zack poprowadził nas wprost do swojego domu. Pawie darły się, jakby je kto oskubywał.

- Kiedyś je wszystkie usmażę na wolnym ogniu - wyznał nam centaur. - Budzą mnie tym wrzaskiem każdej choleryjnej nocy.

Weszliśmy drzwiami dla dostawców, którymi Kayean zwykła się wymykać. Przez korytarze dla służby dotarliśmy do frontowego korytarza.

- Ciemno tu jak cholera, centaurze - poskarżył się Morley. - Co masz przeciwko światłu?

Jeśli on i trojaczki czuli się źle, to co dopiero ja i centaur. Nic nie widzieliśmy w ciemności.

W antyszambrze pojawił się jakby strumyczek światła. Przesączał się z sali balowej. Wystarczyło go akurat, żeby wydobyć z mroku postać czekającego na nas mężczyzny.

- Teraz musicie się pozbyć broni - oznajmił centaur. - Wszystko, co macie przy sobie, zrobione jest z metalu. Od tego miejsca możecie być uzbrojeni wyłącznie w oręż podarowany wam przez naturę.

Zacząłem chichotać. Czułem przez skórę koniec polowania i postanowiłem, że pozwolę Zeck Zackowi na błogosławieństwo zwątpienia.

- Cholera, zimno tu - mruknął Dojango.

Miał rację. A do tej pory myślałem, że zęby dzwonią mi tylko dlatego, iż mam tam wejść uzbrojony jedynie w oręż, którym obdarzyła mnie natura.

- Jestem gotów - stwierdziłem.

- Proszę podejść i pozwolić się przeszukać - polecił Zeck Zack. Nie zamierzał przeproszać.

Postąpiłem krok naprzód. Ciastowata gęba o barwie nieświeżego sera zamajaczyła przede mną na krótką chwilę. Bezbarwne oczy spojrzały mi w twarz. Był w nich tylko zadawniony brak nadziei.

Obmacał mnie gładko i skutecznie. Profesjonalnie. Zrobił tylko jedną nieprofesjonalną rzecz: wsunął mi coś do kieszeni.

Uczył to szybko i płynnie. Dotknął mnie mocniej, tylko tyle, żeby

upewnić się, że poczułem. Potem odszedł, by przeszukać Morleya.

Sala balowa oświetlona była tylko jedną świecą, która wraz z piórem i kałamarzem stała na pustym stole w geograficznym centrum komnaty. Stół był szeroki na półtora i długi na dwa i pół metra, dłuższym bokiem skierowany w moją stronę. Dokoła niego znajdowały się krzesła. Podeszedłem i stanąłem za krzesłem po mojej stronie, położywszy uprzednio pełnomocnictwo i wszelkie dokumenty na stole. Dygocząc, wcisnąłem dłonie w kieszenie i czekałem.

Nie wyobrażałem sobie niczego. Kręciłem w palcach złożoną kartkę papieru.

Sprawdziłem rozstawienie mojej armii. Morley znajdował się po mojej lewej, słabszej stronie, dwa kroki w bok i jeden w tył. Dojango stał w tej samej odległości po mojej prawej stronie. Grolle zajęły pozycje za mną. Nos Morleya drgnął i poruszył się trzy razy. W pokoju oprócz nas znajdowały się trzy osoby i wszystkie stały przed nami.

Jedna wypłynęła z mroku.

Była piękna. I coś jeszcze. Poeta powiedziałby: eteryczna. Ja określiłbym to słowem „upiorna”.

Poruszała się tak lekko, że wydawało się, iż płynie. Suknia, powiewna i obszerna, szeleściła wokół niej. Postać ta była tak biała, jak tylko można sobie wyobrazić, a jej ciało tak bezbarwne, że niemal zlewało się z ubraniem. Włosy miały kolor określany jako platynowy blond. Oczy były lodowato błękitne i nieobecne. Zwężyły się tylko, gdy podeszła do światła -jakby ją raziło. Usta wyglądały jak rana, lekko tylko zaróżowione przez chłód. Nie miała makijażu.

- Pani nazywa się Kayean Kronk? - zapytałem, kiedy przystanęła za swoim krzesłem.

Skłoniła głowę, ledwie dostrzegalnie przytakując.

- Usiądźmy więc i skończmy z tym. Odsunęła krzesło i spłynęła na nie.

Zanim zająłem miejsce, obejrzałem się na Morleya i Dojango. Stali wpatrzeni w mrok jak dwa wilczury wytresowane do ataku. Nie wiedziałem, że Dojango to potrafi.

Spojrzałem przez stół. Czekająca ze splecionymi dłońmi.

Wyjaśniłem jej wszystko: śmierć Denny'ego, sprawę spadku, konieczność udania się ze mną do TunFaire, jeśli chciały się

upomnieć o schedę; potrzebę złożenia zaprzysiężonego i opieczetowanego oświadczenia, jeśli zrzeka się i odmawia po wieczne czasy wszelkich roszczeń dotyczących majątku Denny'ego Tate'a.

Próbując mówić w sposób, który Morley określał jako „chrzaniecie kauzyperdy”, przekładałem papiery i udawałem, że coś tam w nich sprawdzam, aż zdołałem rozłożyć i przeczytać kartkę wsuniętą mi do kieszeni. Była to, rzecz jasna, wiadomość:

„Wróć po nią. Szybko. Błagam. Póki jeszcze jest czas na jej zbawienie”.

Zadrzałem i próbowałem przekonać sam siebie, że to tylko z zimna.

Pod pretekstem robienia notatek dopisałem:

„Załącznik otworzyć jedynie w jej obecności. Zrobienie tego gdzie indziej zniszczy wszelką nadzieję”.

Dołączyłem jedno z zakłęb, które dostałem od Starej Wiedźmy. Strażnik przy drzwiach nie zabrał ich, nie wiem, czy w ogóle je zauważył. Schowałem papier do kieszeni i usiłowałem skoncentrować się na upiornej damie.

Udawałem niedowierzanie.

- Naprawdę odrzuca pani sto tysięcy marek? W srebrze?

Cień albo raczej cień cienia wstrętu zagościł na ułamek sekundy w jej oczach. Był to jedyny objaw uczucia, jakie okazała podczas całej rozmowy. Skinęła głową.

- Doskonale. Nie będę udawał, że rozumiem, ale przygotuję oświadczenie. - Zacząłem powoli pisać. Mój współnik potwierdzi autentyczność mojego podpisu. Jeden z pani towarzyszy uczyni to samo dla pani.

Znowu skinęła głową. Dokończyłem i złożyłem podpis.

- Morley, potrzebuję twojego autografu.

Podszedł i nabazgrał coś. Wciąż był spięty jak naprężona cięciwa łuku. Popchnąłem papier, kałamarz i pióro w jej stronę.

- Czy to wystarczy?

Oglądała oświadczenie dość długo, skinęła głową, wzięła je, wionęła w górę i odpłynęła w ciemność.

Pozbierałem papiery i notatki, podniosłem się i stanąłem obok swojego krzesła. Wkrótce nadpłynęła zjawą. Umieściła podpisane świadectwo na stole tuż obok świecy, unikając tym samym wszelkiej

możliwości kontaktu fizycznego, który mógłby nastąpić, gdyby mi go wręczała. Podniosłem papier i schowałem.

- Dziękuję za uprzejmość i poświęcony mi czas. Już więcej nie będę pani niepokoił.

Zauważyłem, że ani Morley, ani Dojango, ani grolle nie odwrócili się, gdy opuszczali komnatę. Są chwile, kiedy widzenie w ciemności nie jest żadnym darem.

Wręczenie odpowiedzi mojemu korespondentowi było dziecinną igraszką. Zeck Zack tak się spieszył, żeby nas stamtąd wyprowadzić i wydostać się samemu, że oślepl i ogłuchł. Przez pół minuty marudził nieznośnie, usiłując zmusić nas do szybszego zagłębienia się w mroczny korytarz, zanim zdążyliśmy odzyskać choćby połowę broni.

XXXVIII

Pawie darty się tak, jakby zostały otoczone przez stado dzikich wilków, i tylko wrzaski wniebogłosy mogły je uratować. Współczułem im. Ostatnio byłem w bardzo podobnym nastroju. Gdybym jednak zawył, wiedzieliby, gdzie jestem, i zaczęli obłączenie.

Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu domu wiedźmy, powietrze zadrżało. Ponury chichot spłynął nam na głowy jak brudne, lepkie płatki śniegu.

- Cieszy się pan z przepowiedni, Garrett? - zabrzmiał głos zewsząd i znikąd. Za nim napłynęła fala lepkiego rechotu.

Morley i chłopcy mogli nie usłyszeć. Zeck Zack, zaskoczony, spojrział na dom. Spuściłem głowę i szedłem dalej, nie chcąc nawet o tym myśleć.

Centaur postanowił doczepić się do nas. Spodziewałem się, że będzie nalegał w sprawie Saira Lojdy, i nie rozczarował mnie. Zaczął w połowie cmentarza.

- Czekaj - poleciłem, ale udawał, że nie słyszy.

Morley znalazł wreszcie miejsce na zbiórkę, to samo, w którym się spotkaliśmy, zanim stawiliśmy się na randkę z Zeck Zackiem. usiadł. Ja także.

- Musimy pogadać - stwierdził Morley.

- Aha.

Zeck Zack burknął:

- Czy w tym miejscu usłyszę, jak bardzo wam przykro, że nie możecie dotrzymać swojej części układu?

- Nie - odparł Morley. - Możemy to załatwić z taką szybkością, że zakręci ci się w głowie. Problem polega na tym, że to ty nie dotrzymałeś umowy.

Spojrzałem na niego.

- Podajesz jej papier do góry nogami - wyjaśnił mi. - Nie obróciła go. Nie umie czytać. Natomiast twoja Kayean, jak sądzę, posiadała tę sztukę.

- Tak, umiała czytać. Masz rację. To nie była ona. Nawet nie była do niej podobna. Najwyraźniej nie wiedzieli, że znałem ją wcześniej.

Zeck Zack wygłądał na zdenerwowanego. Nie zadawałem sobie

trudu, żeby go drażnić.

- Jedno pytanie, stary koniu - rzuciłem. - Kiedy kupowałeś ten dom, czyj to był pomysł: twój, ich czy księdza?

- Księdza.

- Szczególny zbieg okoliczności. Czy on wiedział, że to, czego się boi, może być tam ukryte?

- Nie.

- A ty? Jestem pewien, że szukałeś. - Powoli przychodził do siebie. Roześmiał się.

- Rozebrałem dom na czynniki pierwsze. Potrzebowałem jakiejś podpory.

- Mam rozumieć, że nic nie znalazłeś?

- Dokładnie.

- Garrett - wtrącił się Morley. - Czy ten papier ci wystarczy? Da ci te dziesięć procent, to pewne.

- Przyrzekłem zrobić coś zupełnie innego. Jeszcze jej nie znalazłem.

Burknął coś. W tym świetle nie mogłem zobaczyć dokładnie, ale wydawał się zadowolony, jakby ciężar spadł mu z serca.

- Wobec tego mamy pewne plany do przemyślenia, rzeczy do zrobienia i tyłki, które musimy chronić - oznajmił i podniósł się.

- Ten twój koleś wystawił nas do wiatru, ale może nie miał wyboru. Powiedzmy, że spełnimy naszą część umowy. Może dostanie ataku wdzięczności. Idziemy.

W jego głosie było napięcie, które mi się nie spodobało.

Nie wiem, czy Zeck Zack szedł za Morleyem. Może po prostu mu się nie spieszyło. A może sądził, że zobaczy martwego księdza.

Morley ruszył wprost do mauzoleum, które już zwiedzaliśmy.

- Marsha, otwieraj. Marsha usłuchał.

Zeck Zack zauważył pewne drobne oznaki, świadczące o tym, że grób był w użyciu.

- Już to zrobiliście? Zanim... wrzuciliście go tu? Morley dał mu świetlika.

- Obejrzyj sobie sam. Przepraszam, że nie wchodzimy, ale już tu dzisiaj byliśmy. Nie mamy twojego stalowego żołądka.

Ich spojrzenia spotkały się. Akurat wtedy Zeck Zack zamordowałby Morleya z prawdziwa rozkoszą. Niestety, los był przeciwko niemu.

Centaur obrócił się, wziął kamień i wszedł do środka.

Morley powiedział coś po grollofsku. Marsha zatrzasnął drzwi.

- Morley! - przywołałem go, gdy się do nich zbliżyłem.

- Mały przemycik. Powiedziałem ci wtedy, za pierwszym razem, kiedy opowiadałem o Zeck Zacku. Maleńka, niewinniutka kontrabanda. O co się założysz, że jest ich zaopatrzniowcem?

Znam Morleya od dość dawna, choć nie za dobrze. Widziałem go wściekłego, ale nigdy nie stracił kontroli nad sobą. Nigdy też nie zżerała go nienawiść.

- Wiesz, w co tam wdepnęliśmy, Garrett?

- Wiem. - Ostatnia wiadomość od ojca Rhyne'a i ekskomunikowanie Kayean nagle nabrały sensu. Przynajmniej coś w tym rodzaju. Podobnie jak ataki i pogłoski o atakach.

Morley uspokoił się.

- Coś musiałem zrobić. Mógłby skierować się wprost tam i powiedzieć im, że nie daliśmy się złapać. Przez jakiś czas nic mu nie będzie. Ma mocny żołądek, już o tym wiemy. Później możemy go wypuścić, jeśli będziesz bardzo nalegał. W każdym razie parę dni w tym towarzystwie powinno go skłonić do powiedzenia nam prawdy lub tego, gdzie można ją znaleźć.

- Wiem, jak do niej dotrzeć, i to dość szybko.

Morley wybałuszył na mnie oczy, ale pozostałem niewzruszony.

- Na pewno wiesz, co robisz? W umowie nie było nic na temat wydobywania jej z łap ludu nocy.

- Wiem.

Wiedziałem aż za dobrze. A przy tym ciążyło na mnie przekleństwo wyobrażania sobie i sprowadzania na siebie najgorszych z możliwych sytuacji.

- Jeśli ich rozwalimy i zostaniemy schwytani, ja i trojaczki, jakbyśmy już byli martwi. Nie mamy w sobie dosyć krwi ludzkiej, żeby im posmakować. Ale ty...

- Powiedziałem już, że wiem, Morley. Wycofujemy się. Musimy jeszcze pomyśleć o majorze, który się orientuje, że mamy konszachty z centaurem. Przypuszczam, że też wie, iż ksiądz szantażował Zeck Zacka. Bez klechy cały punkt oparcia diabli wzięli. Nas też. Oznacza to, że dowiedzieliśmy się czegoś, co zmusiło nas do zniknięcia z

widoku. Rozbierze miasto cegła po cegle. Posadzi swoich ludzi przy każdej bramie. Tu nie możemy pozostać. Nad ranem, po wschodzie słońca, grabarze przyjdą dołować dzienne pokłosie sztywnych. Będą się zastanawiać, co tu robimy. Nie możemy też wrócić do gospody, gdzie każdy będzie nas szukał.

- Nie zamartwiaj się. Mamy jeszcze lasy, w których łatwo się ukryć. Udamy się do nocnego handlarza, a ten potrafi wprowadzać i wyprowadzać ludzi i towary przez bramy miejskie. Martwmy się o naszych przyjaciół, a major niech martwi się o siebie.

Morley zarobił dodatkowy punkt, choć sam o tym nic wiedział. Im bardziej major będzie się wściekał, żeby nas znaleźć, tym pewniej ściągnie na siebie uwagę wysoko postawionych osób, które może zechcą się dowiedzieć, o co właściwie chodzi. A wtedy niewielu z jego ludzi, albo wręcz żaden, nie okaże się agentami Venageti. Nie można obudzić żadnych podejrzeń.

Będzie musiał żonglować bardzo, bardzo ostrożnie.

XXXIX

Obudziło mnie swędzenie nosa, chichot i chrumf, chrumf grollowego śmiechu. Otworzyłem oczy. Coś puszystego i brązowego łaskotało moją twarz. Za tym czymś, na krzaku, siedział sobie ludzik. Pohamowałem złość i pozbierałem swoją górną połowę, wspierając ją o pień drzewa. Od spania na ziemi byłem obolały i pokurczony.

Na pewno Morley zechce się klócić, że to dla mnie doskonała terapia.

- Gdzie do cholery są Morley i Dojango?

Jedyną odpowiedzią na moje pytania był grollowy śmiech i chichoty z krzaków.

- Dobra. Niech będzie i tak.

- Cukier? - zaszczębiotał cieniutki głosik.

- Nawet gdybym go miał, zwinęlibyście wszystko, kiedy spałem.

- Z tymi ogromnymi bestiami nad głową? - zapytał ten, który siedział na krzaku.

Nie miałem ochoty na sprzeczkę. Ranek jest zawsze zbyt trudną porą na wszystko, z wyjątkiem litowania się nad sobą, a nawet i to sprawia zbyt wiele kłopotu.

- Czy w domu centaura albo obok ktoś czuwa? - W rozmowie z małym ludkiem trzeba wyrażać się bardzo, bardzo precyzyjnie. - Człowiek lub coś innego?

- Cukier?

- Żadnego cukru.

- No to pa.

Aha. Bez zapłaty nie ma roboty. Mali najemnicy naradzili się i zorganizowali wyprawę badawczą do kuchni centaura. Ja jednak nie byłem na tyle głodny, żeby sprawdzać, czy szefowie Zeck Zacka wykazali rozsądek i zabrali się natychmiast po moim wyjściu. A poza tym nie miałem najmniejszej ochoty na jakiegokolwiek wyprawę.

Siedziałem zatem i usiłowałem pogodzić się z myślą, że Kayean, mieszkająca pośród koszmaru, to ta sama, którą znałem. Analizowałem zapamiętane z jej listów do Denny'ego informacje. Nie, nic nie znalazłem, poza wzmianką sugerującą od czasu do czasu, że Kayean

nie była szczęśliwa. Ani słowa o otoczeniu czy okolicznościach. Widocznie nie miała powodu do dumy.

Nie było sensu się martwić. Nic mi to nie da, oprócz bólu głowy i rozstroju półkul, stwierdziłem. Wyjaśni mi wszystko, kiedy już do niej dotrę.

* * *

Morley objawił się około południa, uginając się pod ciężarem olbrzymiej kupy czegoś nieokreślonego.

- Co to takiego? - zapytałem. - Wybieramy się na jakieś oblężenie czy co? Gdzie Dojango? Gdzie, u licha, byliście?

- Zbieraliśmy zakłady o twój tyłek u Vasco, majora i Róży. Gorąco było, dopóki nie dotarli do ćwierćmarki. Masz. - Rzucił połowę ładunku obok mnie. Zauważyłem worek, który wyglądał tak, jakby zawierał coś jadalnego. Zająłem się nim od razu.

- Co to takiego?

- Surowce. Na arsenał, który musimy zorganizować, jeśli chcemy udać się po twoją damę do ich gniazda. Metalowy sprzęt wyczują na odległość piętnastu kilometrów. Potrafisz robić strzały z krzemiennymi grotami?

- Nie wiem. Nigdy nie próbowałem. Wydawał się zrozpaczony.

- Czy w Marines nie nauczyli cię niczego pożytecznego?

- Trzech tysięcy sposobów zabijania Venageti. Jestem użytkownikiem narzędzi, a nie ich twórcą.

- Z tego widać, że cały ciężar spada na Dorisa i Marszę, jak zwykle - odciął się. Zabelkotał po grollemu i dał im potężną porcję surowców. W dwie minuty potem siedzieli już i, mrużąc i burcząc, odłupywali grotki dotknięciami delikatnymi jak muśnięcie mysiego ogonka. Byli w tym świetni i szybcy.

Morley wyjaśnił:

- Są wściekli. Mówią, że to robótka dla karłów. Chcą wiedzieć, czemu nie mogą sobie po prostu wyciąć trzymetrowych pał i porozwalać trochę czerepów. Grolle myślą czasami bardzo powoli.

Potrafię się trochę fechtować, więc wystrugałem miecz z młodego żelaznego drzewa. To dobry, twardy materiał, który nieomal można zaostrzyć, choć nie jest aż tak trwały jak stal. Dlatego też zrobiłem

tylko jeden egzemplarz. W rękojeści wyłobiliłem rowek i napelniłem go odłamkami pozostałymi po struganiu grotów. To sprawiło, że narzędzie stało się bardzo niebezpieczne.

Czas płynął. Zajęty pracą, zapomniałem o kłopotach.

- Garrett, miej litość! - parsknął Morley. - Czy naprawdę musisz robić kanaliki na krew?

Spojrzałem na trzymany w dłoni przedmiot. Rzeczywiście, chyba przesadziłem. Spróbowałem wyważenia.

- Prawie. Jeszcze parę minut roboty. Muszę go lepiej wypolerować, żeby nie tarł za mocno przy cięciu.

- A mnie nazywasz krwiożerczym.

- Wolałbym raczej szablę.

- Daj sobie spokój. Użyjemy tego wszystkiego tylko raz. Skończ już. Zaraz przytnę kilka strzałek, o, tak. Ostrugaj je i zaostrz, a ja utwardzę i zatruję grot.

Usuwał części metalowe z kusz i zastępował je drewnianymi. Pomyślałem, że przerobiona broń nie będzie zbyt trwała, ale, jak mówił, miała służyć tylko podczas jednej wyprawy.

- Staruszek Tate zapłacze krwawymi łzami, kiedy dowie się o wydatkach. Po co ta trucizna? Nie pomoże ci. - Pozbierałem strzały, klej, pióra, nici i wziąłem się do roboty.

- Ponieważ nie wszyscy, których spotkamy, będą uodpornieni Fakt. Niewolnicy krwi będą walczyć, wściekle broniąc szansy dołączenia pewnego dnia do zakonu swych panów.

- Wiesz coś na temat gniazd w Kantardzie, Garrett?

- A kto w ogóle cokolwiek o nich wie?

- Też prawda. Nie przeżyliby tego. Ale?

- Krążą pewne pogłoski. Z powodu sytuacji militarnej w Kantardzie nie zachowują już takiej ostrożności. Mają mnóstwo łatwych ofiar. Nikt nie będzie szukał brakującego żołnierza tu i tam. Dlatego też gniazda prawdopodobnie są większe niż zazwyczaj. Kiedy tu stacjonowałem, podobno w okolicy było ich sześć. Zredukowano je, gdy paru agentów karentyńskich porwało córkę władcy wojennego Venageti i rozpuściło pogłoskę, że została porwana do gniazda. Władca zapomniał o całym świecie, ruszył na pomoc, znalazł gniazdo, i za fatygę dał się zabić. Podczas gdy jego armia dziesiątkowała nocny lud, jeden z naszych

skradał się za nimi. I to wszystko, co wiem. Poza tym domyślałam się jeszcze, iż są bardzo szczęśliwi, że aż tyle srebra opuściło ich świat.

- Wiedzą wszystko na temat srebra, co?

- Wiedzieli wszystko i na każdy temat. To wyjaśnia przy okazji, w jaki sposób Kayean mogła uczynić Denny'ego tak bogatym.

Dla ludu nocy srebro jest mniej więcej tak śmiertelne jak jad węża dla ludzi. Zabija ich błyskawicznie, skutecznie i trwale, jak niewiele innych rzeczy. Pozostałe metale aż tak im nie szkodzą.

- O wilku mowa - mruknął Morley.

Pojawił się Dojango, obładowany dragami, drzewcami łuków i nie wiadomo czym jeszcze. Był lekko wstawiony.

- Wszystko przygotowane na jutrzejszy wieczór - powiedział.

- Ile mieliście? - zapytał Morley.

- Tym się nie kłopotcz, kuzynku. Doszedłem tu czysty jak łąza. Doprawdy. Będą czekali z końmi i sprzętem tylko przez jedną noc, w opuszczonym młynie, który według nich znajduje się o pięć kilometrów od czegoś, co się nazywa North Creek. powiedzieli, że zabiorą zwierzęta i resztę jutro rano i przywiozą następnego dnia, jeśli się nie pokażemy. Wydawali się nieco zdenerwowani na myśl o zapuszczeniu się poza miasto, doprawdy.

- Podejrzewam, że trzeba będzie wskrzesić naszego centaura. Siadaj i zamieniaj te gałazki w strzały. Garrett, wiesz coś o North Creek?

- Tak. - Miałem wielką ochotę zapytać, kto według niego tu rozkazuje, ale ugryzłem się w język. Morley zajął się dokładnie tym, czym powinien.

Dojango zaczął robić strzały.

- Tuż przed moim powrotem zaczęły krążyć ciekawe plotki - oznajmił. - Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zagłądaliśmy do grobowca, niejaki Głory Mooncalled bez pomocy, doprawdy, zaatakował Indigo Springs.

- Indigo Springs? - zdziwiłem się. - To sto osiemdziesiąt kilometrów na południe od miejsca, gdzie kiedykolwiek zapuściła się armia. I chciał to zrobić bez pomocy czarowników?

Dojango skrzywił się.

- Nie tylko chciał, ale nawet zrobił, doprawdy. Zaskoczył ich we śnie. Za jednym zamachem zabił Wojennego Władcę Shonaatzo-Zha i

całą załogę, po czym sprzątnął z powierzchni ziemi połowę jego armii. Reszta zwała na bosaka w głąb pustyni, w samych tylko koszulach nocnych.

- Dobrze łowy dla ludu nocy - mruknął Morley.

- I jednoroźców, centaurów, łowców niewolników, dzikich psów, hipogryfów i wszelkich innych stworów, które miały ochotę na kawałek żołnierza - dodał Dojango. - Jeśli mamy pozostać tam nieco dłużej, to oznacza problemy.

- Dlaczego?

Dojango wyglądał na zaskoczonego.

- To klęska bez precedensu dla wojsk Venageti. Kiedy Glory Mooncalled zmienił szefa, poprzysiął zemstę pięciu wojennym władcom. Przez całe lata przeganiał ich po Kantardzie jak idiotów. Teraz uderzył głęboko w tradycyjnie bezpieczne terytorium i rozdeptał jednego z nich tak, jak ja rozdeptałbym pluskwę.

- No i co?

- No i teraz Venageti zaczną szaleć jak bokser z nabiegłymi krwią ślepiami w nadziei, że coś upolują. W związku z tym siły karentyńskie przemieszczą się. Wszystkie nieludzkie plemiona w Kantardzie będą starały się skorzystać na zamieszaniu. W ciągu tygodnia zrobi się tam taki rwetes, że droga do wychodka może cię kosztować życie, jeśli nie będzie cię miał kto przypilnować.

- Więc chyba lepiej się pospieszyć, co? - zapytał Morley.

Zgodziłem się z jego stwierdzeniem. Mój podstęp w stosunku do niewolnika krwi stojącego na straży w sali balowej Zeck Zacka jeszcze nie przyniósł żadnych efektów i obawiałem się że niespodzianka może się pojawić po kilku dniach... Jeśli w ogóle.

XL

Zeck Zack był bardzo rozsądny jak na centaury, który spędził sporo czasu wśród trupów. Nie protestował, aż do chwili, kiedy wyprowadził nas z miasta przez podziemny kanał przemytników i dowiedział się, że bierze udział w naszym przedsięwzięciu do końca.

Morley miał morderczo-krasomówczy humor.

- Ależ, sir, widzisz przecież, że jakiegokolwiek jeremiady nic tu już nie pomogą. Jeśli chwilę pomyślisz, natychmiast zrozumiesz, że mamy rację. Gdybyśmy cię wypuścili, jak to nierozważnie sugerujesz, popędziłbyś z powrotem przez tunel i zacząłbyś nam robić kłopoty, ponieważ sądzisz, że to my jesteśmy przyczyną twojego niepowodzenia, nie zaś ty sam, jak to jest w istocie.

Rozmieściłem moje oddziały w szyku rombowym, z jednym grollem na przodzie, a drugim z tyłu, Dojangiem po lewej i Morleyem po prawej. Jako osoba nie widząca w ciemności, szedłem pośrodku, gotów, żeby przyjść z pomocą każdemu z rogów rombu w razie zagrożenia. Zeck Zack plątał się pomiędzy Morleyem a mną.

Wkrótce centaur poddał się, zdradzając nagle ukryty dotąd talent krasomówczy. Zaczął się kłócić z Morleyem, używając również kwiecistego języka i skomplikowanych, przesadnie ugrzeczniczonych zdań.

Mężczyźni, którzy dostarczyli konie i sprzęt, ucieszyli się bardzo na nasz widok, ponieważ nie musieli się już martwić, co z nimi zrobić, gdybyśmy się nie pojawili. Przed ich ewentualnymi niecnymi zamiarami chroniła nas obecność grolli.

Rozeszliśmy się natychmiast po załatwieniu spraw.

Chłopcy uważali, że nocne spacerowanie mogą kosztować życie. My z kolei hołdowaliśmy opinii, że człowiek, któremu życie miłe, stara się oddalić od tych, którzy chcą go zabić.

Nie była to duża odległość. Konie już się o mnie dowiedziały - dla samej przyjemności sprawiania kłopotów - ale uznały, że najbezpieczniej będzie pozostać u złobu.

Ich przecież nikt nie zabije. Przynajmniej nie tamci z tyłu.

Nie zmieniły zdania, nawet kiedy wstało słońce i stwierdziły, że

kierują się do Kantardu.

Morley oskarżył mnie o antropomorfizowanie i przesadną interpretację naturalnej niechęci, z jaką głupie bestie zapuszczają się w nieznany teren.

To znaczy, że ich wybieg doskonale się udał. Sprytnie są, złośliwe - jednorożce w końskiej skórze!

Nie doznałem żadnego objawienia, więc zarządziłem kurs na zachód, gdzie rozciągają się najbardziej nagie i nieprzyjazne tereny karentyńskie po tej stronie Kantardu. Jest to pustynia pełna barwnych skal i płaskowyz, dokładnie taka, jaką wyobrażają sobie ludzie z TunFaire, kiedy myślą o Kantardzie. Postanowiłem jechać właśnie tam, gdyż wydawało mi się, że to jedyne miejsce, w którym lud nocy mógł ustanowić gniazdo. Ziemia ta była zawsze niegościnna i odpychająca dla większości ras. Nie ma tam nawet bogactw naturalnych, które mogłyby ściągnąć eksploratorów ze strażnikami. Wokół kręci się mnóstwo potencjalnych ofiar -zwłaszcza kiedy Zeck Zacki zajmują się ich dostarczaniem.

Drugiego dnia naszej wędrówki Morley zaczął podejrzewać, że nie jestem pewien, dokąd właściwie idziemy. Postanowił rozpracować centaury.

- Morley, nie musisz tego robić - odezwałem się. - Nie byli dość głupi, żeby mu zaufać.

Doris mruknął coś za naszymi plecami. Umiałem już rozróżniać grolle, ale mimo to kazałem im nosić różne kapelusze.

- Co jest? - zapytałem.

- Mówi, że biegnie za nami jakiś pies.

- Ojjoj.

- Kłopoty? - dociekał Morley.

- Przypuszczalnie. Musimy go zwabić w pułapkę, jeśli chcemy się dowiedzieć. Poszukaj miejsca, w którym będziemy mieć wiatr w naszą stronę.

Nasuwały się trzy możliwości. Pies był udomowiony i szukał towarzystwa człowieka. Choleśnie mało prawdopodobne. Mógł być także wyrzutkiem większego stada, co oznacza wściekłą lub inną frację. Albo, najgorszy z wariantów, był tropicielem szukającym zwierzyny.

Marsha znalazł przyzwoitą kupę kamieni położoną na łagodniejszym zboczcu wzgórza, które właśnie mijaliśmy. Ruszył wąską, krętą ścieżką wiodącą pomiędzy ocienione skały. Morley, Dojango i ja zsiadliśmy z koni i skierowaliśmy się w ślad za nim. Przy okazji ćwiczyliśmy na upartych bydłętach inwektywy we wszystkich znanych nam językach.

- I co, Morley? Czy nie mówiłem, jakie są konie?

Doris przycupnął między kamieniami i zaczął zmieniać kolor.

- Idź dalej, Morley - poleciłem. - Psy polują nie tylko z pomocą węchu, ale i wzroku. Będzie musiał zobaczyć ruch.

Morley burknął coś, Marsha odburknął wściekle, ale się wspinał. W chwilę potem w dole rozległ się krótki skowyt obrazonej psiny, zakończony mięsistym młaśnięciem.

Konie nie stawiały oporu, schodząc ze zbocza. Leniwe bydłéta.

Dojango załatwił powsinogę bardzo sumiennie. Stał teraz nad nim, tak zachwycony sobą, jakby pokonał wrogą armię.

- Fuj! - krzyknąłem. - Wygląda jak szczur przejechany przez naładowany wóz. Dobrze, że nie trafiłeś w łeb.

Pochyliłem się i dokładnie obejrzałem uszy psa.

- Cholerny świat!

- Co? - dopytywał się Morley.

- To był tropiciel. Tresowany tropiciel. Widzisz te otwory w uszach? Przebił je zębami jedorożec. W obrębie kilku kilometrów znajduje się grupa myśliwych na polowaniu. Będą szukać psa, jeśli nie wróci na czas. Oznacza to, że musimy zostawić po sobie parę naprawdę niemiłych niespodzianek, które ich zniechęcą. Jeśli nas dopadną, nie uciekniemy im.

- Ilu ich jest?

- Jeden dorosły samiec i samice z jego haremu, które nie są ciężarne ani nie prowadzą młodych. Może kilka młodych samic, które się jeszcze nie odłączyły. Liczba dowolna, od sześciu do dziesięciu. Jeśli nas dogonią, skoncentrujcie się na samicy-przewodniczce. Samiec nie będzie się wtrącał. Zostawia polowanie i ciężkie prace samicom. On tylko wydaje rozkazy, zapładnia samice, zabija młode samce, jeśli oddalają się od stada, i podbiera najładniejsze samice z innych stad.

- Całkiem niegłupio się urządził - zauważył Morley.

- Byłem pewien, że spodobają ci się takie układy.

- Czy zabicie szefa nie dezorganizuje haremu?

- Słyszałem, że jeśli tak się stanie, walczą do śmierci swojej lub wroga.

- Prawda - wtrącił się Zeck Zack. - Jednorożec to paskudne bydlę. Najbardziej nieudany eksperyment natury. Pewnego dnia mój gatunek zajmie się ich całkowitym wytrzebieniem... - urwał. Widocznie przypomniało mu się, że nasz pogląd na nieudane eksperymenty natury jest nieco odmienny.

Przyspieszyliśmy. Po pewnym czasie Zeck Zack odezwał się znowu, wyjaśniając, w jaki sposób działają najzłośliwsze narzędzia, których jego plemię używa do likwidacji kłopotliwych kuzynów. Niektóre były bardzo wymyślne.

Do tej pory jedynie kłócił się i narzekał. Nagła chęć pomocy świadczyła o tym, że bliskość jednorożców przyprawiła go o drzenie pęcin.

XLI

Zatrzymaliśmy się przy mętym strumieniu, żeby napoić konie i nazbierać drewna na opał, po czym pokonaliśmy ponad sto metrów wokół ogromnej wydmy. Obóz rozbiliśmy w zagłębieniu, do którego nawet mysz nie mogłaby się zbliżyć bezszelestnie. Widok roztaczał się doskonały, ale nikt z nas, mimo rozmaitych rodzajów widzenia i lornetki, nie był w stanie dostrzec w półmroku ani żywego ducha.

Usiedliśmy wokół maleńkiego, dokładnie osłoniętego ogniska. Nie mieliśmy najlepszych humorów, toteż ukreśliśmy szyję jednemu z malutkich gąsiorków i puściliśmy go w obieg. Starczyło po hańście dla mnie, Zeck Zacka, Dojango i po małym łyczku dla grolli.

- Fu! - stwierdziłem. - Wypicie tego paskudztwa okazało się drugą pomyłką, jaką w życiu zrobiłem.

- Nie jestem aż tak natrętny i nie zapytam, jaka była pierwsza omyłka - skwitował Morley. - Podejrzewam, że chodzi o twoje przyjście na świat. - Skrzywił się niemiłosiernie. - Przypuszczam, że piwo wytrzęsione w pełnym słońcu na grzbiecie jucznego zwierzęcia traci nieco na smaku.

- Tak jakby. Co cię opętało, Dojango? - zapytałem.

- Wyjątkowo namolny sprzedawca.

Po kolacji długo siedzieliśmy wokół ogniska, patrząc, jak dogasa. Od czasu do czasu ktoś opowiedział anegdotę lub żart, ale najczęstszym tematem były możliwości rozprawienia się z jednorożcami, jeśli dojdzie do spotkania.

Nie brałem udziału w rozmowie. Zacząłem się martwić moją niespodzianką.

Coś się musiało przydarzyć. Mieli już dość czasu, żeby dotrzeć do gniazda. Tak mi się przynajmniej wydaje. Może niewolnik krwi zdradził się? Może go znaleźli? Bez niego perspektywy są raczej marne. Możemy łązić po Kantardzie i szukać aż do chwalebnej starości. W którymś momencie przyznam się do porażki i ruszymy na północ. Podejrzewam, że będziemy się tak miotać, dopóki nasze zapasy nie schudną na tyle, że wystarczy ich jedynie na podróż łądem do Taelreef, najbliższego przyjaznego portu po Full Harbor. Powrót w łapy majora,

nawet tu, na pustyni, wydaje się szaleństwem...

Jeden z grolli opowiadał kawał Morleyowi, który chichotał przez cały czas. Przestałem zwracać na nich uwagę i ułożyłem się do drzemki.

- Hej, Garrett. Musisz usłyszeć tę historię. Doris właśnie mi ją opowiedział. Pęknieš ze śmiechu. Jęknąłem i otworzyłem oczy. Ogień już zgasł, a czerwone, ponure węgle dawały zdecydowanie za mało światła. Nawet w tych warunkach było widać, że słowa Morleya nie mają nic wspólnego z jego wyrazem twarzy.

- Jeszcze jedna z tych smętnych, żalonych historyjek o lisie, który przechrzył niedźwiedzia, dobrał się do jego jagód, pożarł wszystkie, dostał biegunki i zasnął się na śmierć? - Była to najbardziej znana z grollich anegdot, ale nawet ona nie miała ani dobrej pointy, ani morału.

- Nie. Tę złapiesz od razu. A jeśli nawet jej nie zrozumiesz, śmieję się głośno i długo, żeby się nie obraził.

- Jak mus, to mus.

- Właśnie mus. - Przesunął się i usiadł blisko mnie. - Jesteśmy obserwowani przez dwóch nocnych ludzi. Śmieję się.

Nawet mi się to udało, bez patrzenia na boki. Czasami zadziwiam sam siebie.

Doris zawołał coś do Marsha, który odpowiedział donośnym grollim śmiechem. Wyglądało to tak, jakby się zakładali, jak zareaguję. Wygrał Marsha.

- Doris i Marsha skoczą na podglądaczy. Może potrafią ich załatwić, a może nie. Nie rozglądaj się. Kiedy skończę opowiadać kawał, wstaniemy i ruszymy w stronę Dorisa. Chichocz i kiwaj głową.

- Myślę, że poradzę sobie bez dodatkowych uwag reżysera. - Zachichotałem i kiwnąłem głową.

- Kiedy Doris ruszy, pójdziesz za nim i zrobisz to, co trzeba. Ja pójdę za Marshą.

- Dojango? - Walnąłem się w kolano, krztusząc ze śmiechu.

- Pilnuje centaury.

Zeck Zack wcisnął się w szczelinę, by nic nie mogło go zaatakować od tyłu. Nogi zwinął pod siebie, podbródek wsparł na złożonych ramionach i wyglądał na głęboko uspięnego.

- Gotów? - zapytał Morley.

Przybrałem minę bohatera nr 1, która mówiła, że jestem wieloletnim i zasłużonym mordercą wampirów.

- Prowadź, chłopie. Idę tuż za tobą.

- Ryknij śmiechem.

Ryknąłem, jakbym usłyszał dowcip o młodej żonie, która nie wiedziała, że ptak przed wbiciem na rożen powinien być oskubany. Morley przykleił sobie odpowiedni wyszczerz i wstał. Ja także się podniosłem, usiłując pokonać sztywność w kolanach. Podeszliśmy do Dorisa.

Doris i Marsha ruszyli z zadziwiającą zwinnością. Przebiegłem tylko dwa kroki, kiedy zobaczyłem coś czarnego, trzepoczącego się wśród kamieni. Doris dorwał to i natychmiast rozległ się przeraźliwy wrzask i skowyt. Wkrótce gdzieś za moimi plecami zawtórował mu podobny. Nie obejrzałem się.

Kiedy dotarłem na miejsce, Doris trzymał wampira w niedźwiedzim uścisku, pyskiem na zewnątrz. Jego mięśnie były napięte do granic możliwości, stawy trzeszczały. Silny przecież groll miał wyraźne kłopoty z utrzymaniem chwytu. Z ran od szponów na jego boku sączyła się krew. Jej zapach przyprawił wampira o szaleństwo. Kły minęły ramię grolla dosłownie o dwa centymetry.

Niech zatopi choć jeden, a już po Dorisie. Wstrzyknie mu jad nasenny, który może powalić mastodonta.

Stałem z nożem w jednej, a srebrną półmarkówką w drugiej ręce, zastanawiając się, co robić. Ilekroć mijała mnie opazurzona tylna łapa, usiłowałem przeciąć ścięgno nad piętą.

Nagle błysk światła rozjaśnił mrok. Dojango ponownie rozniecił ogień.

Doris złapał kostki wampira między kolana. Rzuciłem się w przód, usiłując trafić ostrzem w kolano diablęcia, żeby je okulawić. Nóż skręcił o centymetr. Trafiłem w kość. Ostrze ześliznęło się, tnąc ciało twardsze niż wysuszony rzemień. Z rany spłynęły ze trzy krople płynu. Wampir wydał z siebie ostry, piskliwy wrzask bólu i wściekłości. Spojrzał płonącymi ślepiami, usiłując pochwycić mnie w sidła śmiertelnie hipnotycznego wzroku.

Zanim rozpoczęło się gojenie, wcisnąłem do rany półmarkówkę. Zrobiłem to tak szybko, zręcznie i instynktownie, że do dziś się dziwię.

Wampir zamarł na długą chwilę. Martwe wargi odwinęły się i wydały z siebie wycie tak okropne, że przstraszyło nawet skały i musiało być słyszalne w promieniu trzydziestu kilometrów: wycie zdradzonej nieśmiertelności. Zacisnąłem ranę, żeby utrzymać w niej monetę. Nocny potwór odchylił się w tył jak człowiek w ostatnich chwilach agonii, syknął, zabulgotał i zadrżał tak potężnie, że ledwo go utrzymaliśmy.

Ciało wampira już miękło. Wokół półmarkówki miało konsystencję galarety. Zaczęło przeciekać mi między palcami.

Doris rzucił to świństwo na ziemię. Ogień malował jego ogromną zieloną twarz w ciemne i jasne plamy odrazy i nienawiści. Ścierwo leżało na kamieniach, wciąż sycząc i drąc swoją nogę pazurami. Silny egzemplarz. Trucizna powinna zadziałać wcześniej.

Doris złapał głaz, mniej więcej dwa razy większy ode mnie, i rozwalił bestii łeb.

Przez kilka sekund przyglądałem się, jak ciało wampira zmienia się w galaretę i ocieka z kości. I, jakby śmierć stwora miała być sygnałem, pojawiło się moje objawienie.

Znałem kierunek. Kiedy przyjdzie świt...

Jeśli przyjdzie w ogóle. Marsha i Morley jeszcze walczyli z drugim wampirem. Doris biegł im na pomoc. Po drodze zgarnął trzymetrową maczugę. Zadygotałem na całym ciele i także ruszyłem z odsieczą.

Kiedy się zbliżaliśmy, nocny potwór jakimś cudem wyrwał się z matni. Upadł na ziemię, po czym wyleciał w powietrze trzydziestometrowym skokiem, który ignoranci uważają za latanie wampirów.

Skok rzucił go wprost na mnie.

Nie przypuszczam, żeby to było umyślne. Sądzę, że skoczył byle gdzie, oślepiiony ogniem.

Otworzył pysk, kły zalsniły, ślepia zabłyśły, pazury wyciągnęły się...

To był „on” czy „to”? Za życia było rodzaju męskiego. Wciąż jeszcze mogło płodzić małe. Czy jednak zasługiwało...

Pała Dorisa wyszła mu na spotkanie. Wampir łukiem poleciał w tę stronę, z której się pojawił, i upadł do stóp Marshy. Ten przygniótł go głazem, zanim gadzina w ogóle zdołała się poruszyć... O ile jeszcze była w stanie.

Nie patrzyłem, co działo się dalej. Zawróciłem do ognia i cuchnących gąsiorków, w nadziei na parę nietrzeźwych refleksji.

Dojango trząsał się jeszcze bardziej niż ja, ale dzielnie spełniał swoje zadanie, jedną ręką podsycając ogień, a drugą trzymając kuszę wycelowaną w Zeck Zacka. Nie unióś głowy, żeby zobaczyć, kto lub co idzie w jego kierunku.

Kolejny mrozący krew w żyłach wrzask rozdarł nocną ciszę.

XLII

- To daje dwanaście - stwierdziłem. - Jeden kulawy. Jeśli jeszcze chwilę będę się gapił przez to szkło, oko zostanie mi w środku.

Morley wziął ode mnie lunetę i przyjrzał się jednorożcom, które tańczyły wokół wodopoju, udając, że nie wiedzą o naszej obecności.

- Jedna z pułapek zadziałała - zwrócił się do Dojanga i oddał mu lunetę.

Centaur od rana nie raczył z nami rozmawiać.

Cofnąłem się w miejsce położone nieco wyżej, skąd miałem lepszy widok i gdzie mogłem się zastanowić nad objawieniem, jakiego doznałem ostatniej nocy, a które wciąż mi towarzyszyło.

Sprowadzało się ono do kierunku, linii, na której Kayean i ja byliśmy punktami. Linia biegła przeze mnie, więc kłopot polegał na tym, że nie wiedziałem, która spośród dwóch dróg wskazuje na Kayean.

Stara Wiedźma nie wspomniała o tym problemie.

Wolałbym iść na południowy wschód. To by oznaczało, że gniazdo znajduje się bliżej Full Harbor i dróg wiodących do strefy wojny. Na linii leży także duży, obiecujący płaskowyż.

- Hej! - zawołałem. - Niech ktoś przyniesie mi lunetę! Morley wgramolił się na górę.

- Kto ci usługiwał wczoraj, paniczu? - mruzczał.

- Geniusz. Ktoś jednak wywalił jego butelkę z piwem do ognia. - Omiotłem płaskowyż lunetą i rzuciłem przez ramię: - Dlaczego wczoraj tak długo marudziłeś z wampirem?

- Usiłowałem zmusić go do mówienia. Młody egzemplarz, niedawno wykształcony z niewolnika. Nie był z urodzenia przystosowany do krwi, i myślałem, że może popuści. Hej! Ogier i dwie klacze ruszają!

Rzeczywiście. Podążyły naszymi śladami pełnym galopem. Inne jednorożce schowały się za postrzępionymi drzewami, które obrosły wodopój. Obróciłem lunetę.

- Masz jakiś pomysł?

- Nic, co mogłoby cię zainteresować. A to co?

- Ktoś jeszcze podąża naszymi śladami. Za daleko, żeby powiedzieć coś pewnego, ale wygląda na dużą grupę.

Wziął ode mnie lunetę.

- Fortuno, ty bezzębna, wyszczerzona dziwko. Z tej strony jednorożce, a z tamtej... Mogę się w tej chwili założyć... nadchodzą przyjaciele twojego majora.

- Nie zakładaj się, dopóki się nie zbliżą.

- Chcesz być pewien, co?

- Nigdy nie wisiał mi nad głową żaden hazardowy dług. Skrzywił się i oddał mi lunetę.

Samiec jednorożec wrócił. Wraz z psami czaił się za żywym parawanem nad strumieniem. Czekał, aż zrobimy przerwę. Samice wybrały się na obowiązkową suchą kąpiel o kilometr dalej.

Odpowiedziałem na pytanie Morleya:

- Wyskoczą i spróbują przestraszyć konie, co nie jest trudne, jeśli nie były specjalnie szkolone. Jeżeli im się uda, zabiorą kilka, zjedzą te, które padną, a jeźdźców przekażą tym, które nie brały udziału w polowaniu. Jeśli jeźdźcy przegrupują się i wrócą, ludzie nie będą nieść martwych koni.

- Już powinni być dość blisko.

Podniosłem lunetę. Jeźdźcy byli już tak blisko, że mogłem ich zobaczyć w tumanie pyłu, ale za daleko, żeby rozpoznać twarze.

- Powiedziałbym, że to piętnastu konnych i dwa wozy. Zobacz, co ty o tym sądzisz, Morley.

Patrzył przez chwilę, wreszcie mruknął:

- Jadą jak wojsko. Zdaje się, że wpadliśmy z deszczu pod rynnę. No, ale wygląda na to, że przynajmniej wiedzą, dokąd zmierzają.

- Ja wiem, dokąd zmierzam. Na ten płaskowyż.

- Cały dzień drogi z powrotem? Kiedyż cię tak oświeciło? Udałem, że nie słyszę. Wcale nie musiał wiedzieć. Jeźdźcy minęli miejsce, gdzie ukryły się samice jednorożca.

- Zaatakują ich od tyłu. - Wziąłem lunetę do ręki. - Dobrze. Wiesz co, stary? Sprawdziłeś ten wóz na początku?

- Nie.

- Znasz jakieś kobiety, które mogłyby się pętać po Kantardzie w towarzystwie Saucerheada Tharpe'a?

- Co takiego? Dawaj to cholerstwo. - Zajrzał w okular. - Głupia dziwka. Draństwo. Twój kumpel Vasco i jego chłopcy też tam są. Istne

zebranie Towarzystwa Adoracji Garretta. Zdaje się, że są więźniami. Jest z nimi dziesięciu żołnierzy i jeden oficer.

Kiedy nadeszła moja kolejka, spojrzałem w lunetę i przekonałem się, że ma rację.

- To major Bezimienny. Jestem związany moralnym obowiązkiem.

- Czym?

- Nie mogę pozwolić, żeby naszym paniom coś się przytrafiło.

- Miej to gdzieś. Same chciały. Ciekawe, jak zareagowałyby, gdybyśmy to my tam byli, a one tu?

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Jednorożce wyprysnęły z kąpieli na sucho. W pierwszej chwili wydawało się, że ich strategia jest doskonała. Konie żołnierzy rzuciły się na boki, każdy w inną stronę. Nagle wszystkie zawróciły, ale żołnierze byli już uzbrojeni w lance.

Grupy starły się ze sobą. Jednorożce zrezygnowały pierwsze i zawróciły do basenu. Żołnierz i dwa konie leżeli na ziemi. Jednorożce nie poniosły strat, ale większość obrażeń była po ich stronie.

Nagle strzała trafiła grzbiet najwolniejszej z samic, która potknęła się i upadła na kolana. Zanim zdołała wstać, rzucili się na nią żołnierze z lancami. I wtedy major Bezimienny uczynił coś bardzo odważnego. Wysłał pięciu ludzi, żeby szyli strzałami w basen. Rozwścieczone jednorożce wyskoczyły na brzeg. W następnym krótkim starciu zginął jeszcze jeden żołnierz, jeszcze jeden jednorożec i dwa konie. Bezimienny nie ustępował i drwił sobie z atakujących. Żołnierze, którzy stracili wierzchowce, zastąpili je końmi jeńców.

- On chyba bardzo nie lubi jednorożców - zauważył Morley.

- Patrz, samica-przewodniczka idzie po rozkazy.

- Schodzę. Daj mi znak, jeśli jej powie, żeby zabrała ze sobą psy.

- Dobrze.

Major spodziewał się walki. Sporządził prowizoryczną barykadę z wozów i bagażu, który zdjęto z jucznych koni. Umieścił za nią wszystkie wolne zwierzęta, uzbroił więźniów i kazał im czekać w wozach. Ciekaw byłem, co im powiedział.

Samiec był albo głupi, albo stracił swoją faworytę. W takich wypadkach jednorożcom czasami odbija.

Dałem znak Morleyowi. Chyba wiedziałem, o co mu chodzi. Nie bardzo mi się to podobało, ale nie było innego wyjścia.

Właśnie psy ruszyły na grupę majora. Jednorożce zaatakowały w ślad za nimi. Zaczęło się śliczne, wesolutkie kłębowisko.

Samiec nie chciał się przyglądać. Morley udowodnił to, przebiegając dystans od podnóża pagórka do wodopoju. Nikt go nie zatrzymał. Zeck Zack wyprzedził Morleya, zanim ten dotarł do połowy drogi. Nie znajdziesz szybszego czworonoga - oczywiście na krótki dystans - niż centaur, który ma motywację.

Jednorożec usłyszał tętent kopyt. Wystawił głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Za późno. Zeck Zack już go dopadł i zademonstrował, jak walczył sam na sam z jednorożcami za młodu. Nie trwało to długo.

Tymczasem ja zbiegałem ze zbocza. Najwyższy czas, żeby ruszyć dalej.

XLIII

Na dole wszyscy i wszystko było w stanie pełnej gotowości. Wdrapałem się na pokład mojego konia. Chociaż raz panowała między nami absolutna zgoda. Byliśmy drużyną o jednym mózgu, który podpowiadał „Ruszej przodem”.

Wysforowałem się tak, by każdy mógł mnie widzieć. Okrążyliśmy podnóże wydmy, kierując się znowu na wschód, do chwili, aż pole bitwy znalazło się w zasięgu naszego wzroku. Podróż trwała około półtorej godziny.

Zatrzymaliśmy się. Podniosłem do oczu lunetę. Z wyjątkiem sępów nic się nie ruszało. Z tak małego kąta nie widziałem, jak wielkie było dzieło zniszczenia. Zauważyłem jeden wóz leżący na boku. Sęp przysiadł na jego kole.

- Ktoś powinien przyjrzeć się temu bliżej - stwierdziłem, patrząc na Zeck Zacka.

Skinął głową. Bez komentarzy pożyczył dwie szable i potruchtał w tamtą stronę. Poranek odmienił go w sposób cudowny i nie do poznania.

- Mógłby wrócić do wojska - powiedziałem Morleyowi. Dotes mruknął tylko coś pod nosem, więc dodałem: - Nie zapominaj, że ktoś myślał o nim wystarczająco serdecznie, by mu załatwić obywatelstwo karentyńskie.

- Nieważne, kim byłeś; ważne, kim jesteś, Garrett. A to stworzenie jest najpaskudniejszym egzemplarzem nocnych handlarzy. Jeden z tych, którzy takich jak ty sprzedają tamtym.

Też prawda.

Zeck Zack okrążył kilkakrotnie pole bitwy, zbliżając się do niego coraz bardziej. Wreszcie, wiedząc, że nie spuszcza go z oka, zamachał do mnie szablą.

- Idziemy.

Widok był przykry. Wszystkie psy leżały martwe, podobnie jak większość jednoroźców i tuzin koni. Nie zauważyliśmy jednak ani jednego ludzkiego trupa.

- Poszli dalej - stwierdził centaur.

- Jak na Venageti, naprawdę stosuje karentyńską doktrynę wojenną - odezwałem się do Morleya. Prowokuj jednorożce, ile wlezie. Zabieraj swoich zabitych. Zatruj wszystkie martwe zwierzęta, które pozostały na polu bitwy.

Wszystkie martwe zwierzęta były głęboko ponacinane nożem. Rany błyszczały szafirem po wtarceniu krystalicznej trucizny.

Nikt nie skorzysta z zabitych wojskowych zwierząt.

Naliczyłem osiem zabitych jednorożców. Naprawdę trzymały się dzielnie. Trzymały się dzielnie do chwili, w której nie padła samica-przewodniczka. Te, które przeżyły, miały się bardzo kiepsko.

Przez jakiś czas jednorożce w tej okolicy Kantardu będą polować na nieco łatwiejszą zdobycz.

Podniosłem lunetę i spojrzałem na zbocze. Byli tam i gapili się na nas.

- Widzisz ich? - zapytał Morley.

- Aha. Chowają zabitych. Nie mogę rozpoznać nikogo poza Saucerheadem.

Zeck Zack wziął sobie te słowa do serca i pogalopował tam, gdzie major zwracał ziemi jej dzieci.

- Usiłuje się przypodobać - wyjaśnił Morley. Liczy na to, że popuścisz cugli, gdy przyjdzie odpowiednia chwila.

- Jak ci się zdaje, kiedy spróbuje wiać?

- Skoro tylko ruszymy w stronę gniazda. Nie odważymy się tracić czasu na pogoń. A ponieważ nasza obecność zajmie ich nieco, ma spore szansę na dotarcie do celu w jednym kawałku. To jego kraina i wciąż jeszcze potrafi robić z pogonią, co zechce.

Przez chwilę obserwowałem Dojango. Zbierał pamiątki. Odciał pazury nieżywemu jednorożcowi, wyrwał mu kilka ostrych jak brzytwy zębów i zaczął medytować, jak dobrać się do rogu. W Full Harbor za taką zdobycz zapłacą mu ponad pięćdziesiąt marek, a w TunFaire będzie to więcej niż ciekawostka.

- No i co z nim zrobimy? - zapytał Morley.

- Niech wieje. Już nie jest nam potrzebny.

Zeck Zack wrócił w podskokach. Zameldował, że czterech żołnierzy i major, a także czterej inni mężczyźni przeżyli. Wiedziałem, że jednym z nich jest Saucerhead. Drugi pasował mi na Vasco. Pozostali

mogli okazać się kimkolwiek.

- To, że przeżyli, nie znaczy, że są cali - oznajmił centaur. - Nieźle ich posiekały.

- A co z kobietami?

- Raczej nie mają obrażeń. Trochę poszarpane, tu i tam, jak przy takich okazjach.

- Możemy za to podziękować temu świrowi Saucerheadowi - burknął Morley.

- Jedna z nich nie przestawała się wydzierać. Groziła, że ubije twoje jaja, usmaży i nakarmi nimi jednorożce. Kiedy dowódca żołnierzy usiłował ją uciszyć, ugryzła go i kolanem załatwiła jego jaja.

- Moja słodka, kochana Różyczka. Jaką cudowną żoną byłaby dla jakiegoś biednego durnia. Dobrze. Idziemy.

Skierowałem wierzchowca na wschód. Nasza jedność zaczynała się kruszyć na spojeniach.

- Ale ona potrafi się odciąć - zauważył Morley, tonem, który dziwnie kojarzył się z podziwem. - Odjedziesz sobie tak po prostu?

- Owszem. Major już nigdy nikogo nie uwięzi. Zrobiłoby się z tego trzystronne małżeństwo z rozsądku, tak kłótlive, jak potrafią być takie związki. Ale zajmą się sobą. Myślisz, że można by zmusić Dorisa i Marszę, żeby pociągnęli wóz? Może nam się jeszcze przydać.

Wóz akurat nie był uszkodzony, tylko przewrócony do góry kołami i bez zaprzęgu.

- Należy do wojska. Lepiej, żeby nas z nim nie złapali.

- Nie złapią.

Poszeptał z grollami. Odpowiedziały w chyba dość nieuprzejmy sposób.

- Chcą pozbierać rogi jednorożców - wyjaśnił Morley - które mogą się okazać pożyteczniejsze niż wóz. Przebijesz rogiem serce jednego z tamtych i po wszystkim. Pewniejsze niż srebro, bo rogów nie wyczują.

- Dobrze, zawrzyjmy umowę. Wóz za rogi. Ci ludzie długo jeszcze będą grzebać zabitych i lizać rany.

Grolle przyjęły układ.

Krach! Wóz stanął na kołach. Grolle zaczęły biegać od jednorożca do jednorożca, marząc pewnie o kupnie trunków.

Para młodych samic, widocznie niezbyt ciężko rannych i oburzonych

zbieraniem łupów, wyskoczyła z kanionu i natarła na nich. Dziwne, ale grolle zatłukły je ze spokojem.

XLIV

Tego dnia nie próbowaliśmy się dostać na płaskowyż z gniazdem. Chciałem ruszyć wcześniej, kiedy się ułożą, żeby przespać dzień, a nie wieczorem, gdy są rozbudzone. Gdy słońce stoi wysoko, śpią tak mocno, że właściwie nie można ich dobudzić. Nawet starsi niewolnicy krwi miewają kłopoty z reakcją.

Tak przynajmniej mówiła legenda.

Wydostaliśmy się poza zasięg wzroku naszych prześladowców, po czym zajęliśmy zacieraniem śladów i rozmieszczaniem fałszywych tropów. Zeck Zack pracował ciężko, starając się być pożyteczny. Znał wszystkie tricki. Nawet kazał grollom nieść pół kilometra wóz na rękach, żeby pozostawić fałszywe ślady kół.

Na noc rozłożyliśmy się na szczycie niskiego pagórka, niewiele ponad trzy kilometry od płaskowyżu. W głowie pulsowało mi od bliskości Kayean. Ze wzniesienia mogłem obserwować większość drogi do płaskowyżu i naszych maruderów.

- Dziś nie będzie ognia - oznajmił Zeck Zack, kiedy przykucnąłem z lunetą, żeby się przekonać, jak radzi sobie major. - Rozpróście się nieco i zostańcie w pobliżu kamieni, które najmocniej nagrzewają się za dnia. Właśnie tak znajdują swoje ofiary na odległość. Kierują się ciepłem. Nie byłoby też głupio przypilnować, aby zbyt dużo metalowych przedmiotów nie nagromadziło się w jednym miejscu. - Nie ostrzeżesz ich przypadkiem, żeby zarobić parę punktów?

- Nigdy nie miałem szczególnych skłonności do samobójstwa. Bywam gwałtowny, krewki, pochopny, nieraz głupi. Ale nie jestem samobójcą. Za bardzo lubię dobre strony życia. - Zapatrzył się w przestrzeń i powtórzył: - Za bardzo.

- Może sobie przypomnisz, że major ma na ciebie ochotę w takim samym stopniu jak na mnie - dodałem. - Twój księżulo-szantażysta był jego kumplem i dobrze o tym wiesz.

- Wyjechał z Kantardu, zanim mógł narobić mi kłopotów. Dzisiaj musi się przedostać. Ostatniej nocy był dla nich za silny. Dzisiaj już nie. Zwłaszcza że chyba przez jakiś czas nie jadły. A nie jadły. Dwa, które przybyły do Full Harbor nie potrafiły się powstrzymać.

Zaatakowały, choć wiązało się to z ogromnym ryzykiem.

- Dlaczego mieliby go spostrzec wcześniej niż nas?

- Jedenastu ludzi łatwiej zauważyć niż jednego.

- Och.

Dzień zbliżał się ku końcowi. Nasi tropiciele nie mieli szczęścia, a teraz wydawali się bardziej zainteresowani noclegiem niż nami.

- Patrz. - Wskazał na coś palcem centaur.

Ze zbrocza płaskowyżu uniosła się czarna chmura. Spojrzałem przez lunetę.

- Nietoperze. Miliardy nietoperzy.

Wyleciały z miejsca na jednym poziomie z moją głową, po mistycznej linii łączącej mnie z Kayean.

Morley wrócił ze zwiadu. Szybko się przystosował jak na mieszcucha. Powtórzyłem rady centaura. Spojrzał kątem oka na Zeck Zacka i krótko skinął głową.

- To ma sens. Nie śpij dziś za dobrze, Garrett.

Jasne. U wejścia do jaskini smoka należy się uznać za szczęściarza, jeśli zmruży się oko choćby na kilka minut. Nigdy nie przyznajesz się kumplom, ale jesteś przerażony. Cholernie przerażony. Tym razem chodziło o coś więcej niż własne życie. Mogłem umrzeć i być zmuszony dalej łązić po tym świecie.

Gdyby ktoś mnie o to zapytał, różnica między bohaterem i tchórzem polega na tym, że bohater zawsze znajdzie jakiś idiotyczny sposób, żeby zmusić się do pójścia naprzód, zamiast zachowywać się rozsądnie.

Nigdy nie uważano mnie za osobę szczególnie rozsądną.

Chyba jednak zasnąłem, ponieważ Morley obudził mnie, szarpiąc za ramię.

Usłyszałem to, zanim ktokolwiek zdążył mi powiedzieć. Piekielna awantura u stóp płaskowyżu. Bogowie, jakże chciałem pobiec tam i ostrzec ich, że wybrali sobie na nocleg miejsce oddalone od bramy gniazda o niecały kilometr. Ale, tak samo jak Zeck Zack, nie jestem znany z samobójczych zapędów.

Kobiety, jak stwierdził Morley, nie były wystawione na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, a tylko na nich powinno nam naprawdę zależeć. Jednakże czułem coś w rodzaju sympatii także do Saucerheada Tharpe'a. Był niepoprawnym romantykiem. Zasługiwał na ochronę jako

ostatni egzemplarz rycerskiego gatunku.

Wspiąłem się na miejsce, z którego zauważyłem, jak w obozowisku pode mną zgasły dwa ostatnie ogniska. Dwie minuty później ustały wszystkie wrzaski i hałasy. Minęły jeszcze dwie minuty i usłyszałem Dojango:

- Chyba już nie będziemy musieli martwić się wojskiem. Nie. Raczej nie.

Nikt nie był w stanie zasnąć. Gapiłem się w gwiazdy i zastanawiałem nad rozmiarem niektórych rozdziawionych wkrótce gąb, oraz nad sposobem porozumienia się majora, Róży i Vasco. Mieli dość czasu, żeby wspólnie dojść do wniosku, co zamierzam dalej robić. Ale czy się spodziewali, że ich jeszcze stamtąd wyciągnę?

- Jutro musimy pracować bardzo ostrożnie - odezwał się Morley przed wschodem słońca. Nie musiał pytać, czy nie śpię. Wiedział. Ja także wiedziałem, że ani on, ani inni nie zmrużyli oka, ściskając w garści coś srebrnego.

XLV

Przejście rozpoczęliśmy o dwie godziny później, niż pierwotnie planowałem. Dzięki temu słońce dobrze oświetliło bramę. Dwie godziny więcej, aby ludzie nocy mogli głębiej zapaść w sen. Dwie godziny więcej dla nas na przygotowanie i dwie godziny coraz bardziej szalonego strachu. Każde włókienko wrzeszczało w nas: „Wynośmy się stąd!”.

Morley spędził ten czas na przejrzeniu każdej cholernej rzeczy, jaką przyjdzie nam nieść: pochodni, bomb zapalających, łuków, mieczy, noży, rogów jednorożca... Lista chyba nie miała końca. Ja obserwowałem bramę przez lunetę, szukałem dodatkowych wyjść i dzielnie pomagałem trojaczkom wypolerować ostatnie gąsiorki piwa. Zeck Zack malował mapę krętej drogi, którą mieliśmy ukryć przed wzrokiem szpiegów. Grolle, skoro tylko uporały się z piwem, zabawiały się noszeniem wody dla koni w takich ilościach, żeby wystarczyło jej na najbliższe kilka dni. Dojango rozważał kłopoty, z którymi należałoby się liczyć, jeśli nie wrócimy. Mówiliśmy niewiele. Kilka kulawych dowcipów pobudziło nas do ataków histerycznego śmiechu. Wszystko, byle rozładować napięcie.

Morley rozdzielił broń i pochodnie, pouczając po sto razy każdego, jak ich używać. Spakowaliśmy wszystko, napełniliśmy manierki, wypiliśmy o wiele za dużo wody, aż wreszcie słońce było dość wysoko jak na moje wymagania.

- Idziemy.

- Chciałbym wiedzieć, czy oni wiedzą, że nadchodzimy - mruknął Morley. - Moglibyśmy zostawić ten metalowy złom. Szczególnie srebro.

Mówił wyłącznie do siebie. Ja także wziąłem udział w tej nierozmowie.

- Ostatni raz byłem tak obładowany, kiedy wylądowaliśmy na wyspie Malgar. - Wtedy też się tak bałem. A teraz Venageti wydają się gromadką przyjaznych szceniąt.

Marszruta centaury zaprowadziła nas do zniszczonego obozowiska. Wiedział, że chcemy się dowiedzieć.

Domyślaliśmy się, naturalnie. Od kilku godzin obserwowaliśmy krążące sępy.

Najpierw usłyszeliśmy ich skrzeczenie. Potem ujrzelśmy muchy. W Kantardzie ta boczna gwardia śmierci staje się tak gęsta, że jej brzęczenie przypomina bzyczenie roju pszczół.

Wreszcie precyzyjnie się między głazami i wtedy zobaczyliśmy.

Sądzę, że ten widok nie był bardziej przygnębiający niż jakiegokolwiek innej masakry. Ciała były jednak tak porozdzierane przez napastników, sępy, dzikie psy i nie wiadomo co jeszcze, że musieliśmy policzyć głowy, aby się przekonać, że tylko czterech spośród żołnierzy majora pozostawiono na pastwę sępów. Zauważyliśmy także nie naruszone ciała dwóch ziemiście bladych i odzianych na czarno niewolników krwi. Pogardziły nimi nawet mrówki i muchy.

Nikt się nie odezwał. Żadnego z zabitych nie można było zidentyfikować. Poszliśmy dalej, a nasz strach przycichł nieco pod wpływem wściekłości, która każe nam ścigać ludojada, czy byłby to wilk, czy dziki tygrys.

W pobliżu bramy rozwinęliśmy szyki. Morley i ja otaczaliśmy dziurę i ostrożnie rozglądaliśmy się za dodatkowymi niespodziankami. Nic nie wyglądało podejrzanie. Podeszliśmy bliżej jaskini.

Smród nietoperzy przetoczył się po nas. Po wampirach ani śladu, ale ja miałem rudy włos okręcony wokół palca. Zabrałem go z najbliższego ciernistego krzewu.

Morley i ja weszliśmy pierwsi, każdy uzbrojony w miecz i róg jednorożca. Dojango szedł zaraz za nami, niosąc pochodnie i bomby zapalające. Oślaniały go grolle z dzidami i kuszami. Zeck Zack pilnował tyłów, ponieważ sądziliśmy, że może się ulotnić w każdej chwili. Gdyby chciał wyjść, nie musiałby potykać się o nikogo.

Zmienilibyśmy broń i taktykę, gdybyśmy podchodzili do właściwego gniazda.

Dałem znak. Wszyscy zamknęliśmy oczy, z wyjątkiem centaura, który, sycząc jak wąż, odliczył do stu. Z ledwo, ledwo uchylonymi powiekami, cichutko jak myszy, weszliśmy do bramy piekieł.

Przeszliśmy parę kroków i zatrzymaliśmy się, nasłuchując. Morley i ja uklękliśmy, żeby trojaczki miały więcej miejsca. Ruszyliśmy dalej. Im głębiej wnikalismy w ciemność, tym częściej przystawaliśmy.

Dojango powinien znaleźć się na moim miejscu, ponieważ miał lepszy wzrok. Morley jednak obawiał się, że nie wytrzymałby nerwowo. Zgodziłem się z nim. Dojango zahartował się i zhardział, ale nie był jeszcze gotowy, by stanąć w pierwszej linii.

Bogowie, jak tam śmierdziało!

Pierwsze trzydzieści metrów nie było jeszcze takie straszne. Podłoga gładka i czysta, korytarz wysoki. Za plecami mieliśmy światło dzienne. Nie dostrzegaliśmy najmniejszego znaku, że ktoś nas oczekuje.

Potem podłoga opadła i skręciła w prawo. Sklepienie obniżyło się tak, że grolle musiały iść ze schylnymi głowami. Ciemność pogłębiła się, zgęstniała i wypełniła szelestem i trzepotaniem zaniepokojonych nietoperzy. Po paru metrach byliśmy przesiąknięci nieczystościami, które stanowiły źródło smrodu. Powietrze stało się lodowate.

Zeck Zack zasyczał.

Przystanęliśmy. Podziwiałem go, jak cicho porusza się na kopytach. Chyba naprawdę przygotował się już na wszystko. Syk był jedynym dźwiękiem. Centaur podał coś do przodu. To coś zamigotało między palcami Dojango.

Był to świetlik, którego Morley dał centaurovi, zanim zamknął go w grobowcu.

Lodowaty dreszcz wpił pazury w moje plecy. W blasku świetlika widziałem, że Morley zmaga się z tymi samymi wątpliwościami: czyżby centaur obwieszczał czas rewanzu? Pogrzebanie nas tutaj rozwiązałoby wiele jego problemów.

Widziałem, że Morley walczy z przemożną chęcią ukatrupienia Zeck Zacka. Pohamował się. Ledwo, ledwo. Dał mi świetlika, ponieważ słabiej widzę. Schowałem go w prawej dłoni, pod palcami, którymi trzymałem drewnianą rękojeść miecza. Jeślibym potrzebował światła, mogłem uchylić jeden lub dwa palce.

Naprzód. Słońce, wolność i świeże powietrze wydawały się odległe o setki kilometrów i lat. Posuwaliśmy się coraz wolniej, przepatrując każdą szczelinę w poszukiwaniu zasadzki.

Wyglądał jak wysuszony trup. Otwarte usta, puste oczodoły, włosy siwe i potargane. Suchy szpon wyciągnął się w moją stronę. Odkoczyłem, na oślep wywijając szpikowanym krzemieniami ostrzem. Kości ustąpiły jak suche gałązki.

Coś, co manewrowało tą kupą starych gnatów, wyskoczyło ze szczeliny.

Dzida grolla przebiła je na wskroś. Puste oczy napotkały mój wzrok, kiedy stwór upadł wprost na nastawiony róg jednoroźca. Zimny, cuchnący oddech na chwilę owionął moją twarz. I znów ujrzałem to co przedtem, jakieś sto lat temu, na tamtym wzgórzu: zdradzoną nieśmiertelność.

Potwór próbował zatopić kły w mojej szyi. Nie były jednak dość dobrze rozwinięte. Choroba nie posunęła się wystarczająco daleko.

Ale i tak byłem przerażony.

Noga Dojango trafiła go w głowę.

Porwałem świetlika i ruszyłem dalej. Ani kupa gnatów, ani niewolnik krwi nie poszli w moje ślady. Do imprezy dołączyli jednak pobratymcy tego ostatniego. Ich jedyną bronią były zęby, pazury, okrucieństwo i przekonanie o własnej nieśmiertelności. Nic im to nie pomogło.

Morley i ja stanowiliśmy dla nich przeszkodę. Dojango schował się za plecami braci i zapalił pochodnię. Nocni ludzie zaskrzeczeli i wbiły szpony w oczy. Kilka minut później było po wszystkim.

Naliczyłem ich tylko czterech, plus jednego, który musiał być martwy od lat. A wydawało się, że to cały batalion.

Zbadaliśmy się wzajemnie, czy nikt nie został ranny. Morley miał jedno płytkie zadrapanie, ale lekceważąco machnął ręką. Nie był na tyle człowiekiem, żeby się martwić.

Pierwszy kontakt z wrogiem nastąpił. Zwyciężyliśmy już w pierwszym starciu. Nasza odwaga umocniła się. Przejęliśmy kontrolę nad ogarniającym nas strachem. Dojango był z siebie bardzo dumny. Pokazał, że mimo przerażenia potrafi myśleć.

Złapaliśmy drugi oddech i ruszyliśmy. Bez centaury Zeck Zacka. Nie wiadomo, kiedy właściwie wziął nogi za pas. Prawdopodobnie w czasie walki, i dlatego nikt nie zauważył jego ucieczki.

Za nami dopalała się pochodnia. Nietoperze zaczęły się uspokajać. Powietrze stawało się coraz zimniejsze.

XLVI

Druga banda stawiała większy opór, choć i im się nie powiodło. Dalej trafialiśmy przeważnie na niewolników krwi. Trudniej było ich zabić, ale równie łatwo dali się oślepić, a na moc rogu jednorożca reagowali prawie natychmiast. Mimo to spociliśmy się trochę.

Trzecia gromadka okazała się paskudna. Byli to ci niewolnicy, którzy przeszli już przez wszystkie zasadzki pokus i upadków, a ich zgnilizna posunęła się na tyle, że wkrótce dołączyliby do swoich mistrzów. Co oznaczało, że są niemal równie szybcy, silni i śmiercionośni jak ich dwaj kumple, których zabiliśmy na wzgórzu. Nadzialiśmy wprawdzie jednego na róg, ale pozostałych trzech trudno było sięgnąć, nawet kiedy oślepiiliśmy ich blaskiem pochodni. W ciemności, w której żyli, nie używali wzroku. Zignorowali ból i korzystali ze słuchu.

Jeden znalazł się za mną i Morleyem. Grolle przyszpiliły go dzidami, a potem wykończyły rogami jednorożca. Dojango, z siłą zdwojoną przez gorączkę walki, pokonał dwóch kolejnych, uderzając bombami zapalającymi. Dobiliśmy ich, kiedy, wrzeszcząc, wili się w płomieniach.

- To tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia - stwierdził Morley. - Jeśli w ogóle można mówić o czymś takim.

- Aha.

Były to pierwsze, słowa od chwili wejścia do jaskini, poza cichym grollim przekleństwem Dorisa w momencie przygwożdżenia do ściany niewolnika krwi.

Ognie zgasty. Przygotowaliśmy się do dalszej drogi.

- Teraz już niedaleko - domyśliłem się. Morley mruknął coś.

- Chyba mamy większe szansę - dodałem. Morley mruknął znowu.

Wyjątkowy gaduła. W blasku świetlika wyglądał dziwnie. Chyba zaraz nie padnie?

Zebrał się do kupy, zrobił krok do przodu, uderzył rogiem o miecz i nasłuchiwał echa. Po około piętnastu metrach echa już nie było.

Wypuściłem trochę światła pomiędzy palców. Ani śladu ścian jaskini.

Ani śladu sklepienia.

- Dojango, daj Dorisowi pochodnię.

Groll wiedział, co ma zrobić. Rzucił najwyżej i najdalej, jak mógł.

Znajdowaliśmy się na platformie, zawieszanej nad podłogą na wysokości około dwunastu metrów. Wykonane przez człowieka schody wiodły na sam dół. A tam ponad sto... stworów... spojrzało na nas i zaczęło krzyczeć, wciskając łapy w oczodoły. Tuzin z nich, ubranych na biało, przywodził mi na myśl widok robaków na martwym psie.

Marsha rzucił dzidą z wysokości schodów. Trafił młodzika, który wbiegał na stopnie w chwili, gdy zapłonęła pochodnia. Stwór spadł.

- No, a teraz, kiedy odgryźliście już ten kęs, jak zamierzacie go przeżuć? - zapytał Morley. Drżał z zimna.

- Na pewno nie pomoże nam zmiana zamiaru. Musimy przede wszystkim utrzymać panikę - odparłem.

Warknął na grolle. Spojrzałem wzdłuż linii biegnącej od mojej głowy i spostrzegłem gromadkę kobiet w bieli. Niektóre trzymały dzieci zrodzone po to, by żywiły się krwią. Nie mogłem jej dostrzec. Wydawało się, że Morley też kogoś szuka.

- Tam są. - Dojango wskazał na klatki stojące z boku. Zza krat przyglądała się nam, nie zawsze przytomnie, gromada więźniów.

Pochodnia niemal się wypaliła, ale grolle się rozproszyły, rozpakowały plecaki i teraz rzuciły w tłum bombami zapalającymi. Dojango montował potężną lampę. Ja i Morley chwyciliśmy łuki i szliśmy strzałami w kierunku, gdzie wrzask przycichał.

- Najwyższy czas podjąć decyzję, jak powiedziała dama w ciąży do swojego faceta - rzuciłem Morleyowi i zacząłem schodzić uzbrojony w miecz i róg jednorożca, cokolwiek zgięty pod ciężarem ładunku śmiertelnych przyrządów. Morley wybrał tę samą broń; ściągnął rzemienie plecaka. Dojango wziął róg i kuszę. Jego ładunek był już pusty, więc go zostawił. Grolle zabrały swoje ciężary, ale uzbroiły się tylko w pałki przywiązane wcześniej do pasów, jak sztywne, grube ogony; ciągnęły je od wejścia przez wszystkie przeszkody.

- Najpierw więźniowie? - zapytał Morley.

- Raczej nie. Nawet gdyby można im było zaufać, będą się plątać pod nogami. Zaatakujmy tam, gdzie idą kobiety. Pewnie wśród nich zaszyli się władcy.

Dotarliśmy do dna jaskini. Grolle ruszyły przodem, wymachując pałkami. Morley ciął obok, mamrocząc coś pod nosem i po kostki tonąc w brudzie. Uderzył stopą jakiegoś nocnego stwora, który próbował się bronić.

Tionie i Róża, wrzeszcząc, potęgowały ogólne zamieszanie. W wolnej chwili zasalutowałem im mieczem. Chyba nie doceniły tego gestu.

Morley kopnął leżący na drodze ludzki piszczel.

- Zastanawiałeś się kiedyś, czym żywią się niewolnicy podczas rozwoju choroby? - zapytał.

- Nie. I nie chcę, żebyś mi mówił.

Wspięliśmy się do szpary, przez którą uciekły kobiety. Była wysoka na półtora, a szeroka może na metr, zupełnie zapchana niewolnikami krwi, szukającymi ratunku u swoich panów.

Grolle waliły w nich z pasją górników, którzy właśnie trafili na nowe, bogate pokłady.

- A ty chciałeś zabrać muły - krakał Morley.

Kusza Dojanga zaświszczała, zaskrzypiała, znowu świsnęła. Groll bohatercko próbował przedostać się do lampy, którą pozostawiliśmy u wejścia.

Ludzie nocy zaczęli napierać. Niedobrze. Uzbrojeni czy nie, nie oprzemy się takiej liczbie wrogów.

Wciąż jeszcze miałem parę niespodzianek poukrywanych w rękawach i cholewkach, ale chciałem zatrzymać je na ostateczną rozgrywkę.

Grolle oczyściły przejście.

Morley przemówił do nich. Odrzuciły na boki to, co kiedyś było ludźmi, i przecisnęły się na drugą stronę. Poszedłem za nimi, Morley zamykał pochód.

Nic nie próbowano wejść za nami.

- Dobrze. Dotarliśmy do serca gniazda. Zupełnie jak herosi z dawnych legend, przy czym dla nich ten etap był najtrudniejszą częścią zadania, a w naszym przypadku tę przyjemność wciąż mamy przed sobą.

Krwawe narzeczone ustawiły się przed kamiennymi sarkofagami, w których spoczywali ich uśpieni kochankowie. Było ich piętnaście.

Tylko u czterech choroba osiągnęła szczyt. Jedną z kobiet-zjaw spotkałem po drugiej stronie stołu w Full Harbor, w domu, w którym wcześniej mieszkała ona. Kochałem ją. Jej choroba trwała zaledwie kilka lat i wciąż była uleczalna. Obok Kayean stał mężczyzna. To on przekazał mi liścik. Zdradził go wyraz twarzy. Na mój widok kobieta zadrżała i ujęła towarzysza za rękę.

Doskonale. Chciało ci się kiedy płakać? Z dziury za nami odezwał się Dojango:

- Mają lampę, ale ogień już wygasł. Zresztą, nie wygląda na to, żeby chcieli tu wtargnąć.

- Dość już kłopotów. Czy ona jest, Garrett? - zapytał Morley. - Aha.

- Odetnij ją od stadka i zmiotamy. Skinałem dłonią na Kayean.

Podeszła ze spuszczonym wzrokiem, ciągnąc za sobą mężczyznę. Inne narzeczone, a wraz z nimi około ośmiu niewolników, zaczęły szeptać, syczeć i szeleścić.

Czubkiem rogu jednorożca Morley zręcznie odnalazł gardło towarzysza Kayean.

- Gdzie on jest, Clement?

- Zabij go tu, Dotes. Nie zabieraj go.

- Jeśli go nie zabiorę, zabiją mnie. Gdzie on jest? To naprawdę było bardzo interesujące.

Co tu się dzieje, u diabła?

- Tam, z tyłu. - Niewolnicy wskazali gdzieś za plecy narzeczonych. - Chowa się razem z dziećmi. Nie wydostaniesz go, nie budząc panów. Zabieraj ją stąd, zanim dojdą do formy.

Doskonały pomysł i bardzo chętnie bym go zrealizował, lecz...

Nikt właściwie nie powiedział tego wyraźnie, ale przecież weszliśmy tu z nadzieją, że nie pozostawimy przy życiu żadnego z tamtych. Bardziej chodzi o konieczność niż o uczucia. Jeśli pozostawimy ich żywych, rzucą się na nas zaraz po zachodzie słońca. Wtedy im już nie uciekniemy. Nie odważą się nas wypuścić. Będą mieli na karku całą armię karentyńską, skoro tylko wskażemy lokalizację gniazda.

- Musimy pogadać, Morley.

- Potem. Wychodź stamtąd, Valentine.

Za sarkofagami coś drgnęło, zasyczało. Dotarły do nas ledwie słyszalne słowa:

- Przyjdź po mnie.

- Ludzie, za chwilę będzie tu naprawdę bardzo paskudnie - powiedziałem. - Paru umrze prawdziwą śmiercią. Chyba tego nie chcecie. Zabieram ochotników, żeby przedrzeć się do wielkiej jaskini. Kiedy ją wysadzimy, będziecie mogli przenieść się do innego gniazda.

Jeśli tego nie zrobimy, zostaniemy ich nocnym małym co nieco.

Po chwili jedna z "nowszych" kobiet podeszła do nas ze spuszczonym wzrokiem. Większość męskich niewolników krwi zostaje tym, czym jest z własnej woli. Kobiety nie. Wybierane są i dostarczane swoim panom przez nocnych handlarzy, takich jak Zeck Zack.

Jedna ze starszych zaprotestowała, usiłując powstrzymać dezerterkę. Strzała Dojango trafiła ją w środek czoła, wbijając się na dziesięć centymetrów. Kobieta upadła; wiała się i trzepotała. Strzała nie mogła jej zabić, ale nieźle zmiksowała mózg.

Przepuściłem ochotniczkę.

- Ktoś jeszcze?

Starsze kobiety spoglądały na leżącą; słyszały skrzypienie napinanej kuszy. Posyczały między sobą i zdecydowały, że pozostawią nas na pastwę swoich panów.

Tłum rozstąpił się powoli. Małe też zniknęły.

Nie byli wobec siebie lojalni nawet za grosz.

XLVII

- Zathucz to paskudztwo! - krzyknął Morley i powtórzył to samo po grollemu.

Marsha grzmocił miotającą się kobietę, dopóki nie znieruchomiła.

- Wyłaż, Valentine. Znowu syk.

Podniosłem świetlika wysoko nad głowę, żeby spojrzeć na stworzenie, które tak bardzo interesowało Morleya Dotesa.

I nagle wszystko się poukładało.

Znałem tę gębę. Valentine Permanos.

Sześć lat temu porucznik wielkiego szefa, niejaki Valentine Permanos, oraz jego brat Clement zniknęli wraz z połową fortuny swego pryncypała. Krążyły pogłoski, że uciekli do Full Harbor. Jeśli Morley natknął się w życiu na parę innych numerów, powinien teraz wszystko połączyć.

Przecież już dość wykazali moi sprzymierzeńcy, abym się mógł z nimi czuć pewnie.

- Załatwmy to, Garrett - powiedział Dotes, ujmując w dłonie róg jednorożca.

Valentine Permanos zaczął szarpać jedną z nieruchomych postaci. Jego twarz wyglądała przerażająco. Powiadają, że szybkość, z jaką postępuje choroba, zależy głównie od woli jej ofiary. Stopień zaawansowania u niego tego świństwa był znacznie większy niż u Clementa. Chciał zostać jednym z nich.

Przypomniałem sobie dawne plotki, że od chwili obrabowania szefa umiera powolną śmiercią.

Morley zatopił róg w sercu najbliższego wampira. Zrobiłem to samo. Ciało zadygotało. Ślepie rozchyliły się na moment i zanim zaszyły mgłą, ujrzałem w nich tę samą zdradzoną nieśmiertelność.

Morley załatwił następnego. Ja też. Zajął się trzecim. Nie byłem gorszy. Morley zaklął i zwrócił się do Dojango:

- Daj mi drugi róg.

- To sto marek, Morley. A tak, doprawdy, co się właściwie stało z twoim?

- Uwiąż w tych cholernych żebrach! Rzuć mi drugi róg, i to

natychmiast!

Wykończyłem czwartego wampira. Dygotanie w łydkach ustąpiło. Po tym jeszcze szczęściu. Z górki. Wyniesiemy się stąd za kilka minut.

Opuściłem róg.

Ten, którym Valentine potrząsał, bez ostrzeżenia rzucił się na mnie.

Wykręciłem się. Pospiesznie wystrzelona przez Dojanga strzała rozorwała mu gębę. Morley ciął rogiem. Sklepienie było tak niskie, że grolle musiały klęczeć. Mimo to Doris zdołał wbić pałę pod żebra wampira.

Potwór odskoczył tam, skąd wylazł. Oczy mu płonęły; zaskoczony, syczał słowa, których nie zrozumieliśmy. Zauważyłem ogromny wisior z rubinem na jego szyi. Nagle złapałem Morleya za ramię i odciągnąłem na bok.

- Cofać się! Natychmiast! - Przystanąłem. - To sam krwawy mistrz! Dotknijcie mnie! Każdy musi mnie dotykać!

- Co do cholery?

- Zróbcie to!

Dłonie wczepiły się we mnie.

- Zamknijcie oczy.

Wysuplałem zza rękawa przeпоony papierek i rozdarłem go. Odliczyłem do dziesięciu. W każdej sekundzie spodziewałem się, że pazury i kły mogą rozszarpać mi ciało.

Otworzyłem oczy.

Pobudziły się wszystkie. Trzymały się rękami za skronie i pootwierały paszcze w bezgłośnym wrzasku. Ogarnięte szaleństwem, kołysały się w tył i w przód.

- Dwie minuty! - ryknąłem. - Macie mniej niż dwie minuty, żeby z nimi skończyć! Szybko!

Muszę przyznać, że nie kwapiłem się z natarciem. Nie ufałem całkowicie czarom Starej Wiedźmy. A krwawy mistrz też nie wyglądał na zupełnie bezradnego.

Była to ponura robota, z której nie jestem dumny, nawet jeśli to tylko ich zabijaliśmy, rzucając następnie za siebie, by grolle mogły zmiażdżyć im głowy na pulpę. Nie przychodziło nam to łatwo, ponieważ nawet w dwuminutowym szaleństwie wampiry wiedziały, że są atakowane.

Zarobiłem z tuzin płytkich zadrapań pazurami. Później musiałem te ranki bardzo dokładnie oczyścić. Morley omal nie skończył z rozdartym gardłem, ponieważ w przyływie jakiejś dziwnej szlachetności chciał zostawić dla mnie samego krwawego mistrza.

Pałki grolli spadły na czaszkę starego potwora. Lepiej późno niż wcale. Dojango ryczał coś na temat wydarzeń w dużej jaskini, gdzie wreszcie zdecydowano, że należy się ruszyć. Morley był zajęty wiązaniem swojego więźnia. Krzyknąłem na grolle, żeby się odwróciły. Odepchnąłem Kayean i jej faceta z drogi, by ich nie stratowano. Doris mruknął coś do Dojango i zaczął pałką wypychać niewolników krwi z jaskini.

Usłyszałem głośny jęk i obejrzałem się.

Morley wyciągał róg z piersi Clementa.

- To nie było konieczne - warknąłem. Spojrzałem na Kayean, ciekaw, czy teraz pójdzie z nami. Uklękła obok Clementa i znowu ujęła go za rękę. Obróciłem się ku dziurze, chwyciłem plecak i posłałem grollom na odsiecz kilka bomb zapalających. To rozpedziło niewolników.

- Idziemy! - rozkazałem i znowu się obejrzałem. Morley ruszył. Ciągnął za sobą jeńca. Kayean podnosiła się powoli, blada jak śmierć, którą omal się nie stała. Zaś Dojango...

- Do cholery, Dojango, co ty tam robisz?

- Hej, Garrett. Wiesz, ile wart jest prawdziwy krwawy klejnot? Spójrz na tę świnię. Musi mieć ponad trzy, cztery tysiące lat.

Trzy lub cztery tysiące lat. Przez tak długi czas potwór nękał ludzkość. Mam nadzieję, że znajdzie się dla niego specjalne miejsce tam, gdzie ogień piekielny jest szczególnie gorący.

W ślad za grollami dałem nura w otwór i rzuciłem w tłum resztę bomb zapalających i kilka pochodni. Wrzask znów przybrał na sile. Opadłem na kolano. Drewniany miecz trzymałem w pełnej gotowości. Wokół mnie z nieopisaną furią miotały się grolle.

Jakaś dłoń spadła mi na ramię. Spojrzałem w górę i napotkałem łagodne, smutne, a może nawet pełne przebaczenia spojrzenie.

Morley zostawił bagaż i więźnia obok mnie, po czym zaczął rzucać bomby. Świsnęła kusza Dojango.

- Co, u cholery, tam zrobiłeś, Garrett? - zapytał Morley.

- Później.

- Poznam czary, kiedy je wywącham. Co jeszcze masz w rękawie?

- Uwolnijmy więźniów i zmiatajmy.

Mieszkańcy czeluści cofnęli się, ale przy wylocie korytarza wiodącego na zewnątrz już się roili. Jeszcze się nie poddali. Jeśli nas dopadną, będą bezpieczni. Doczekają chwili, kiedy jedno ze zrodzonych dla krwi dzieci dorosnie i zmężnieje na tyle, by wywalczyć pozycję krwawego mistrza.

Z ciemności nagle wyleciała strzała i ugrzęzła w ramieniu Marshy. Ktoś widocznie dobrał się do sprzętu, który zostawiliśmy u wejścia do jaskini. To, co dla gruboskórnego grolla było jedynie skaleczeniem, dla jednego z nas mogło okazać się śmiertelne.

- Ruszać się! - warknąłem. - Podnieś swój tyłek, Dojango! Róża i Tionie darły się jak wściekłe koty. Przepchnęliśmy się w stronę klatek. Większość więźniów wyglądała równie blado jak ci, którzy ich zamknęli. Ludzie nocy nie wyssali ich szybko, jak robią to pająki. Ofiary były już zbyt osłabione, żeby cokolwiek do nich dotarło. Dziwiłem się, że wciąż jeszcze żyją.

- Cześć, Saucerhead - zignorowałem panie w sąsiedniej klatce. - Będziesz tak uparty jak zwykle? Nie chciałbym cię tu zostawić.

Trzeba Saucerheadowi przyznać: ma malutki mózdzek, ale ogromny tupet. Zmusił się do uśmiechu.

- Nie ma problemu, Garrett. Jestem bezrobotny, wylano mnie, ponieważ nie udało mi się uchronić nas przed tymi tarapatami.

Miał na sobie dość ran, by udowodnić, że naprawdę próbował. Był siny z zimna. W jaskini panował iście arktyczny chłód, ale ja w gorączce pragnienia, by wejść i wyjść jak najszybciej, zaledwie go zauważałem.

- Możesz więc przyjąć robotę. Uważaj się za stażystę.

- Jestem twój, Garrett.

- A ty, Vasco? Ciągłe uważasz, że możesz się wzbogacić na podstawianiu mi nogi? Popatrz, to jest dziewczyna Denny'ego. Jak sądzisz, ile jeszcze lat by przeżyła? Przy odrobinie szczęścia może rok. Wszyscy twoi kumple zginęli na darmo.

- Nie praw mi kazań, Garrett. Nie zmuszaj mnie do niczego, tylko wypuść stąd. Sam pogrzebię moich zabitych. - Zęby szczękały mu jak

ogon grzechotnika.

- A ty, Spiney?

- Nigdy nic do ciebie nie miałem, Garrett. Teraz też nie.

- No i dobrze.

Pozostali jeszcze dwaj karentyńscy żołnierze. Wyglądali na nieźle zużytych. Uznałem, że chyba nie przysporzą mi kłopotów i że trzeba ich zabrać.

Tymczasem Morley plotkował sobie z paniami, które siedziały w oddzielnej klatce. Róża gotowa była oddać ostatnią gwiazdkę z nieba, żeby tylko ją stamtąd wydobyć. Użyła właśnie słowa mnie, a nie nas. Kochana, czuła, lojalna dla rodziny Różyczka. Tionie, biorąc pod uwagę okoliczności, zachowywała się z o wiele większą klasą. Postanowiłem wówczas przyjrzeć jej się uważniej, pod warunkiem, że w ogóle kiedykolwiek stamtąd wyjdziemy.

- Myślisz, że powinniśmy je uwolnić? - zapytał Morley.

- Zależy od ciebie. Mogą opóźnić tempo.

Scena ta trwała krócej niż jej opowiedzenie. Mimo to Dojango stracił cierpliwość.

- Chłopaki, przestańcie kłapać dziobami albo ja i moi bracia wychodzimy bez was.

Miał krwawy klejnot i kilka rogów jednorożca, więc uważał się za bogacza. Chciał jednak pożyć tak długo, żeby z tych bogactw skorzystać.

Jego kusza zaśpiewała. W chwilę potem strzała przeleciała tuż nad naszymi głowami.

- On ma rację, Morley.

Dotes pogadał z grollami, które pootwierały klatki kilkoma dobrze pomyślanymi uderzeniami pałek. Mimo protestów Dojango wraz z Morleyem pozbyliśmy się rogów. Grolle rzuciły kilka ostatnich pochodni na schody, i ruszyliśmy ku wolności.

XLVIII

Wolność to cwana suka.

Nasze pierwsze natarcie wyglądało tak, jakbyśmy się przebili. Oni jednak roili się, rzucając w nas czym popadnie, gotowi za wszelką cenę zachować tajemnicę gniazda. Jeśli mówię „czym popadnie”, dokładnie mam na myśli: nieczystości, kamienie, kości, siebie samych. A niektórzy byli niemal tak dobrzy jak ich władcy. Straciliśmy wszystkich dawniejszych więźniów, którzy wlekli się z tyłu. Byli nie uzbrojeni i powolni jak muchy w smole.

Jeden z żołnierzy upadł. Vasco, ranny, zdołał utrzymać się na nogach. Ja zebrałem kolejną kolekcję zadrapań. Saucerhead potknął się i miał kłopoty ze wstaniem. Kiedy Doris złapał go i zaczął nieść, potwory oblaży ich jak mrówki. Już byłem pewien, że Saucerhead przepadł na dobre, a kiedy zobaczyłem, że ciągle żyje, musiałem pokonać obrzydzenie do samego siebie za chwilowe pragnienie, żeby zginął i żebyśmy nie musieli go nieść.

Nagle nocny lud ustąpił i zamilkł. Byłem ciekaw dlaczego, skoro pozostało ich jeszcze około trzydziestu zdolnych do walki. Nagle dotarło do mnie, że dogasają dwie ostatnie pochodnie.

Za chwilę zapanują ciemności. Nocny lud będzie w swoim żywiole i dopadnie nas.

Czas więc na następną sztuczkę z cylindra, czy raczej rękawa. Spodziewałem się, że użyję jej wcześniej.

- Wszyscy do mnie, jak najbliżej. Wystawcie coś spiczastego, twarze do ściany i zamknijcie oczy.

Paru chciało zadawać pytania, a inni dyskutować.

- Ci, którzy mnie nie posłuchają, oślepną - skłamałem. Morley wydał rozkaz po grollemu. Trojaczki zrobiły to, o co prosiłem. Cholerny Doris znowu był na nogach i ścisnął w ramionach Saucerheada.

Zgasła ostatnia pochodnia.

Szelest i szmery - lud nocy ruszył.

Zakłęcie na tę sytuację miałem właściwie w cholewie, a nie w rękawie ani cylindrze.

- Zamknąć oczy - poleciłem i rozdarłem papierek. Smród panujący w

jaskini ustąpił pod naporem podmuchu nasyconego wonią siarki. Blask oślepił nawet przez powieki. Ludzie nocy wrzeszczeli. Doliczyłem do dziesięciu. - Otwieramy oczy i idziemy.

Otoczające nas światło przygasło do jasności, którą mogliśmy już znieść. Stara Wiedźma powiedziała, że wystarczy go na kilka godzin. Bardzo przypominało promienie słoneczne. Ludzie nocy cierpieli męczarnie z tego powodu. Jeśli nie uciekną wystarczająco szybko, blask zniszczy to, co służyło im za rozum.

Weszliśmy na schody. Zdarłem łachmany z jakiegoś padłego niewolnika i zarzuciłem je na Kayean, by uchronić ją przed światłem, bo już zaczynała cierpieć. Morley i Dojango chcieli się zatrzymać i pobawić łukami, które nam pozostały.

- Wychodźcie, póki jeszcze można! - warknąłem. - Mieliliśmy i tak fantastyczne szczęście. Nie przeciągajmy struny.

Morley złapał Dojango i zaczął go ciągnąć. Wszyscy rzucili się do wyjścia. Dotes spostrzegł, że może zostać sam, chwycił więc swój łup i dołączył do uciekających.

Nie było więcej przeszkód. Ludzie nocy uciekli do tunelu, jedyne miejsce chroniące ich przed światłem. Kiedy uwolnią się od jego wpływu, na nowo staną się wściekłymi, straszliwymi wrogami.

Na szczęście wygraliśmy z nimi wyścig do bramy świata.

XLIX

- Co za cholerstwo? - mamrotał Morley, płacząc się w sieci czy pajęczynie z cienkich metalowych drutów, którą w niewiadomy sposób zasnuło się wejście do jaskini.

- A skąd, u diabła, mam wiedzieć? Przebij się przez to.

Martwiłem się o Kayean. Nie odezwała się ani słowem, ale popiskiwała jak małe dziecko. Z początku myślałem, że to ze strachu przed światem, którego nie widziała od tak dawna. Potem jednak zauważyłem, że płatanina, w której siedzieliśmy, była druciana, a dotyk metalu sprawiał Kayean ból.

Kto umieścił te druty?

Stawiałem na Zeck Zacka. Ale skąd mógłby wytrzasnąć drut i w jakim celu?

Wreszcie przedarliśmy się. Na zewnątrz było upalnie, gorąca letnia noc.

- Północ - burknął Morley. - Byliśmy tam dłużej, niż myślałem. - Ruszaj się. Mamy jeszcze dużo do zrobienia.

Byliśmy już w pół drogi na pustynię rozciągającą się u stop zbocza, kiedy za naszymi plecami rozległy się wrzaski. Wyczuwało się w nich nie tylko ból, lecz także frustrację i wściekłość.

Dojango otworzył usta:

- Powiadają, że te stwory potrafią wygrzebać się niemal ze wszystkiego. Myślisz, że któryś z nich może nam zagrozić?

- Nie mam pojęcia - odparłem zgodnie z prawdą. - Ale zawiadomimy wojsko natychmiast, jak to możliwe.

Ruszyliśmy w stronę naszego obozowiska. Księżyc był w trzeciej kwadrze, więc maszerowaliśmy szybko, choć Kayean wciąż popiskiwała, znużona jasnością. Tak samo zachowywali się więźniowie Morleya.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, Dotes odezwał się:

- Trzeba nieszczęśników obłożyć wilgotną ziemią i dobrze opakować, żeby ich słońce nie dosięgło.

- Musimy również pogadać - oznajmiłem.

- Też mi się tak wydaje.

- Co się stało z majorem? Tionie, wiesz coś na ten temat? Kleiła się do mnie co najmniej tak samo jak Kayean.

- Ten, który nas aresztował? Nie wiem, chyba go zabili, kiedy zaatakowały wampiry.

- Vasco, a ty nie wiesz, co się z nim stało?

- Byłem za bardzo zajęty.

- Ktoś jeszcze? Róża mruknęła:

- Chyba widziałam, jak go zabierali. Ale może mi się tylko wydawało. Kiedy przyszlście, nie było go w żadnej z klatek.

- Może go zjedli? - podsunął Dojango.

- Ale przecież doliczyliśmy się ciała - stwierdził Morley i spojrzał na mnie dziwnie, jakby uważał, że wiem coś, czego jeszcze nie powiedziałem.

Rzeczywiście tak było, ale nie odezwałem się tylko dlatego, że doszedłem do tego zaledwie parę minut wcześniej. Szepnąłem:

- To nazwisko przewijające się przez listy nazwisk, które miałem rozpoznać... Nie mogłem sobie przypomnieć, skąd je znam. Teraz już wiem.

- No i...?

- Legendarny agent Venageti. Prawdopodobnie potrafi się przeistaczać. Również prawdopodobnie schwytyany albo zabity. Ale jeśli tak, to dlaczego ludzie... którzy mają kontakty z Venageti.. ciągle się nim interesują?

- Nie wiem i myślę, że raczej nie chcę wiedzieć. Teraz interesuje mnie jedynie wyrwanie się z tego zapomnianego przez bogów i ludzi miejsca. Chcę usiąść i zjeść wreszcie pierwszy od miesiący zdrowy posiłek. Przypuszczam jednak, że musimy się bronić. Sądzisz, że go uratowaliśmy?

- Jest na to szansa.

- Który to?

- Wybieraj.

- Nie kobiety?

- Nie. Każda z nich poznałaby od razu, że druga się zmieniła. Głosowałbym za kimś naszych rozmiarów.

- Oczywiście, jeśli jest tu z nami.

- Oczywiście.

Byliśmy mile zaskoczeni, znajdując obozowisko w takim stanie, w jakim je pozostawiliśmy. Nic nie splądrowano, konie nie zostały zjedzone i cierpliwie na nas czekały. Morley wysłał Marshę po ładunek mokrej gliny. Od razu przyjął rolę strażnika. Pozostali opatrywali się wzajemnie, jak mogli. Kiedy byłem już spokojny, że na skutek odniesienia obrażeń nie złapię żadnej zarazy, zapolowałem na Dotesa. Siedział na kamieniu, w zadumie obserwując pustynię dzielącą nasze obozowisko od płaskowyżu.

- Nie odezwałeś się do niej ani słowem - powiedział.

- Porozmawiam z nią, kiedy sama tego zechce. Na razie jestem zadowolony, że pozwoliła mi się zabrać po tym, co zrobiłeś z Clementem. Może powinieneś wyjaśnić ostatnie ruchy w grze Morley.

- Chyba tak. Inaczej już do końca życia się od ciebie nie uwolnię. Wiesz, że sześć lat temu goryl numer jeden szefa zwiął z polową łupu.

- Starocie. Słyszałem też, że wraz z bratem uciekł do Full Harbor.

- Uzyskanie tej informacji zajęło kilka ładnych lat. Szef wysłał tam swoich ludzi. Musieli zamieszać tak jak my. Coś im się przydarzyło. Przesłali tylko jeden raport z wiadomością, że Valentine opuścił Full Harbor, a jego brat, po krótkiej znajomości poślubił miejscową dziewczynę nazwiskiem Kronk. Wyjechała razem z mężem, kiedy ten udał się za swoim bratem w nieznanym kierunku.

- Więc przez cały czas wiedziałeś, za kogo wysła.

- Tak. Ale nawet gdybym ci powiedział, nie pomogłoby to w jej odnalezieniu. Zatarli już za sobą ślady.

Opanowałem gniew.

- A zatem szef posłał ciebie.

- Niezupełnie. Sam się zgłosiłem. Możliwość, żebym ci towarzyszył, spadła jak z nieba, jak odpowiedź na modlitwę dziewicy. Prawdziwy, uczciwy cud. Szef chciał już mnie umieścić na liście śpiących na posłaniu z rybek. To była pewna szansa. Opowiedziałem mu całą historię i obiecałem, że zdobędę Valentine'a, jeśli da mi święty spokój. Kupił to. Od dawna wolał Valentine'a ode mnie. Wtedy poszedłem na całość i doczepiłem się do ciebie, grając o najwyższą stawkę, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Przypuszczałem, że znajdziesz kobietę i że ona pozostała z Clementem dłużej niż z tobą czy twoim kumplem.

Przez chwilę gapił się na pustynię. Poruszały się tam jakieś cienie, ale żaden nie kierował się w naszą stronę. Ich zmysły nie były tak rozwinięte jak ich mistrzów. Wreszcie Dotes podjął:

- Nie miałem zielonego pojęcia, dokąd wszystko zmierza, póki nie dotarliśmy do domu Zeck Zacka, gdzie czekały na nas wampiry. To był dowód. Wtedy zaskoczyłem. Znałem Valentine'a wcześniej. Nie miał więcej sumienia niż rekin. Dla niego ten sposób uniknięcia śmierci wydawał się całkiem logiczny. Przypuszczalnie Valentine wziął pieniądze na wszelki wypadek, gdyby musiał się wkupić. Znając go, przypuszczam, że spodziewał się zostać krwawym mistrzem przed upływem pięćdziesięciu lat. I tak wszystkie elementy zaczęły do siebie pasować, poza jednym. Kim byli ludzie na jachcie z pasiastym żaglem? Co robili? Dlaczego się nami interesowali?

Miałem pewien pomysł i wydawało mi się, że wyznanie Morleya doskonale potwierdza moją teorię. Postanowiłem jednak zatrzymać to dla siebie. Mogło się jeszcze przydać. Nie wiedziałem na pewno, czy ci ludzie byli w coś zamieszani, czy nie.

- Po co zabierasz ze sobą Valentine'a? - zapytałem.

- Dla spokoju duszy szefa. Mojej także. Nie chcę, żeby wątpił choć przez chwilę.

Zerknąłem na pustynię.

- Co oni tam robią?

Ci, którzy wybiegli za nami z gniazda, miotali się teraz na wszystkie strony jak ślepe myszy.

- Nie wiem. Ale dam ci jeszcze jeden kawałek: Zeck Zack.

- Niewiele możemy mu zrobić.

- Powinienem poderżnąć mu gardło.

- A krytykujesz mnie za skutki jedzenia czerwonego mięsa? - Marsha wrócił. Pakujemy zdobycz.

- Czym ich będziemy karmić?

- Niech trochę zgłodnieją. Potem zjedzą to, co im damy. - Zeskoczył z kamienia. - Dokąd teraz?

- Z powrotem do Full Harbor. Zajrzymy do tunelu centaury. Zobaczmy, ile zamieszania tam narobiliśmy. Nie chciałbym też zostawiać naszych rzeczy, jeśli nie będziemy musieli. Kupując nowe, bardzo mocno nadwerężymy budżet.

- Ten karczmarz chyba już wszystko sprzedał.

- Zobaczymy. Miej oko na naszych przyjaciół, tak na wypadek, gdyby major był z nami.

Wciąż jeszcze trzymałem w rękawie parę asów, a jeden z nich przypuszczalnie wskazałby mi majora, ale nie chciałem ich używać, dopóki nie musiałem. Taka magia, prezent wprost od Starej Wiedźmy, nie powinna być zmarnowana.

Spakowaliśmy zdobycz, jak to ładnie określił Morley, w mokrą glinę dostarczoną przez Marszę, jeszcze ich zmoczyliśmy, zawiązali w toboły i załadowali na wóz. Chociaż byliśmy zmęczeni, chciałem wyruszyć o świcie.

Zanim otuliłem kocem twarz Kayean, dziewczyna spojrzała mi po raz pierwszy w oczy i podziękowała słabiutkim uśmiechem.

Dziewiętnastoletni Marines wciąż żył, można było do niego dotrzeć.

L

Vasco i Saucerhead weszli na wóz wraz z nędznie zbudowanym żołnierzkiem mającym powozić. Doris nalegał, że pomoże Marshy ciągnąć. Doskonale. Niech ciągnie, jeśli chce. Niech się wykrwawi na śmierć. Nie jestem jego mamusią. Pani Garrett nauczyła swoich chłopaczków, żeby nigdy nie spierali się z grollami.

Posadziliśmy kobiety na koniach. Pozostali, chcąc nie chcąc, musieli iść pieszo. Mieliśmy już wyruszyć, kiedy Morley zamachał do mnie ze swego kamienia i krzyknął:

- Przynieś lunetę.

Kiedy do niego dołączyłem, usłyszałem to. Dochodziło od strony jaskini. Wyregulowałem lunetę. Było za ciemno.

- Ci, którzy wyszli z jaskini, nie mogą do niej wrócić - wyjaśniłem.

- Ojej, jakie to smutne.

Nagle mruknął coś jeszcze i pokazał palcem.

- Ojejejeje - powiedziałem. - Zdaje się, że wyszliśmy tylnymi drzwiami.

- Tak. Kiedy tato wraca do domu, Jodie wyskakuje przez okno i bierze nogi za pas. Szybko się zorientuje, że znowu uciekliśmy.

Teraz mogłem ich nie tylko słyszeć, ale i zobaczyć.

- Nigdy przedtem nie widziałem tyłu naraz. Musiał ściągnąć tu całe plemię - stwierdziłem.

Wydawało mi się, że jest tam przynajmniej około pięciuset centaurów. Poruszały się z precyzją, której mógłby pozazdrościć dowódca kawalerii. Zmieniały kierunki i formacje tak łatwo i szybko jak klucz ptaków, i jak one nie używały chyba żadnych sygnałów.

- Nie siedźmy tutaj, bo nas zaskoczą i złapią - rzekł Morley.

- Dobry pomysł. Ruszyliśmy w drogę.

Zeck Zack i jego ludzie nie zwracali na nas uwagi, chociaż na pewno ich zwiadowcy wiedzieli, gdzie jesteśmy. Pędziliśmy na wschód tak szybko, jak to możliwe. Często zostawałem w tyle i gapilem się na naszą grupę, dumając, kto jest majorem.

Nowina o przygodzie Glory'ego Mooncalleda dotarła do najciemniejszych zakątków Kantardu. Ziemia budziła się do życia.

Trzy razy musieliśmy się ukrywać przed mijającymi nas żołnierzami. Wszyscy kierowali się na południe. Najmniejszą formacją okazali się strażnicy Venageti. Nie wiadomo, co wymyślili, kiedy usłyszeli nowiny i zdecydowali się wrócić do domu. Postanowiłem się tym nie przejmować, dopóki nie zamierzali mnie wciągnąć w swoje królewskie gierki.

Razem z Morleyem baczniej obserwowaliśmy naszych kompanów aniżeli strażników Venageti. Major, jeśli w ogóle był z nami, jeszcze się nie zdradził. Nie wierzyłem, że to robi, ale nie zamierzałem przepuścić żadnej okazji.

Szliśmy tak długo, aż wszyscy zaczęli padać na nos. Po odpoczynku znów ruszyliśmy. Nie miałem pojęcia, co mógłby nam zrobić Zeck Zack, ale na pewno nie zachowywałby się przyjaźnie. A poza tym w Kantardzie było wiele innych zasadzek, które Glory Mooncalled przywołał do życia, tak jak deszcz ożywia rośliny na pustyni. W dzień nie mogliśmy przejść pięciu kilometrów bez alarmu; noce były bardziej przyjazne.

Potarliśmy do opuszczonego młyna, cudem unikając złego losu. Ogarnął mnie optymizm.

- Odpoczniemy tutaj dzień lub dwa - oznajmiłem.

Niektórzy z przypadkowych towarzyszy podróży zaprotestowali.

- Jedźcie razem z grollami. Jeśli potraficie popędzić ich batem, proszę, ruszajcie.

Nie czułem się ani trochę demokratą.

Jedynym potencjalnym kandydatem do robienia kłopotów była Róża.

Muszę przyznać, że podziwiałem tę małą za jej upór. Bez względu na wszystko parla naprzód, by dostać spadek po Dennym. Zaczęła rozpracowywać Morleya, ale on doszedł już do takiego stanu, że w głowie były mu jedynie kanapki z wodorostów. Zajął się Saucerheadem, ten jednak wpisał się do mojej drużyny i wszyscy bogowie nie byliby w stanie zmusić go do zmiany zdania, dopóki sam bym go nie zwolnił. Rzuciła się na Vasco, lecz on zaszył się w kącie, marząc tylko o powrocie do domu. Spiney Prevallet wyjaśnił jej, że zarobił już na swoje miejsce tam, w niebie, więc niech wynosi się do diabła.

Postanowiła sama wziąć byka za rogi.

Przylapałem ją, jak z zaostrzonym kijem stała nad tobołkiem zawierającym Kayean i zastanawiała się, gdzie najlepiej uderzyć. Chyba straciłem panowanie nad sobą, bo przełożyłem ją przez kolano i tymże kijem trzepnąłem parę razy po tyłku.

- Powinieneś ją zostawić z duchowymi braćmi - zauważył Morley.

Posłała mu spojrzenie, które mogłoby ciąć stal.

Uwaga ta zraniła ją chyba mocniej niż lanie, choć osoba o temperamencie Róży chętnie obraca parę klapsów w urazę trwającą całe lata. Po przemyśleniu w samotności swojego stosunku do otoczenia, następnej nocy, kiedy czekaliśmy na Dojango, który miał wrócić z raportem o sytuacji panującej w mieście, Róża postanowiła wyruszyć swoją drogą.

Morley przyniósł wiadomość o jej ucieczce.

- Czy mamy ją puścić?

- Raczej nie. Jest duża szansa, że dostanie się w niewolę lub zginie, a ja mam zobowiązania w stosunku do jej rodziny. Wiemy już, że nie nauczy się niczego z doświadczenia, więc po co ma cierpieć. A jeśli nie będzie posłuszna, zrobimy jej coś bardzo nieprzyjemnego.

Tionie siedziała tuż obok mnie, nasze ramiona prawie się dotykały. Przerobiliśmy już wszystkie rozmówki prowadzone przez panie i panów, kiedy w głowie im zupełnie co innego.

- Naprawdę powinieneś ją wykopać, Garrett - odparł z westchnieniem Morley.

- Sumienie by mu nie pozwoliło - powiedziała Tionie. - Tobie też nie, Morleyu Dotesie.

Wybuchnął śmiechem.

- Sumienie? Jakie sumienie? Jestem zanadto skomplikowaną osobowością, żeby mieć sumienie, a Garrett jest na to zbyt prymitywny.

- Idź po nią, Morley - poleciłem. - I zwiąż. Zaledwie odszedł, Tionie spytała:

- Czy naprawdę pozwoliliby jej...

- Nie zwracaj na niego uwagi, Ruda. Tak sobie mówimy, to tylko gadanie.

Róża się nie opierała, gdy Marsha ją przyniósł i postawił w kręgu światła rzucanego przez ognisko. Walka wywietrzała jej z głowy.

- Na coś się natknęła - wyjaśnił Morley. - Wystraszyło się, ale ona nie wie, co to było. Na wszelki wypadek postawmy podwójne strażę i módlmy się za Dojango.

- Jasne. - Zająłem się tym, po czym znowu usiadłem, z ponurą miną obserwując Różę poprzez płomień ogniska.

Tionie dotknęła mojego ramienia.

- Garrett, kiedy wrócimy do domu... - szepnęła.

- Jeśli w ogóle wrócimy. Będzie czas myśleć o tym, co zrobimy, po powrocie. - Wyszło to ostrzej, niż zamierzałem.

Tionie również pogłężyła się w ponurym milczeniu.

LI

Dojango zwlekał z powrotem do popołudnia. Jego raport brzmiał dokładnie tak, jak chciałem. Nikt w Full Harbor nie interesował się bandą ciekawskich z TunFaire. Podczas naszej nieobecności nie wydarzyło się nic niezwykłego. Mówiono tylko o Glorym Mooncalledzie i zadymie wzbierającej na południu. Nasze rzeczy czekały w gospodzie, ukryte i chronione przez karczmarza przyjaźnie do nas nastawionego, odkąd podarowaliśmy mu odzienie łotrów, których wyrzuciliśmy na ulicę nago, jak ich mama urodziła.

- Przynajmniej tak twierdzi - uzupełnił Dojango. - Doprawdy.

- Przyjrzymy mu się. Na razie zabierajmy się do pakowania. Chcę dotrzeć do tunelu natychmiast po zachodzie słońca. Pozafatwiałeś inne sprawy?

- Bez kłopotu. Dostarczą pod tylne wejście gospody. Będą już czekać, kiedy tam wrócimy.

- A problemy z transportem?

- Nie powinno ich być, doprawdy. Każdy statek udający się na północ wiezie trochę dla rodzin, które mogą sobie na to pozwolić. Czysta rutyna, doprawdy.

- Dobrze. Morley, jeszcze jedna sprawa. Dzisiaj w nocy wszystko się okaże. - Powoli odeszliśmy od reszty, starannie odwracając się do nich plecami.

- Masz kogoś konkretnego na myśli? - zapytał.

- Gdyby mnie naciskano, głosowałbym na Vasco. Ale tylko jego znam na tyle, żeby wiedzieć, że nie zachowuje się normalnie. A ma po temu sporo powodów. Może jakiś test?

- Kiedy przejdziemy przez tunel, chcę, żeby Dojango, Marsha i Saucerhead wysunęli się na przód. Ty, ja i Doris pójdziemy z tyłu, a reszcie damy do niesienia ładunek. W ten sposób ich otoczymy, a ponadto będą mieli pełne ręce, kiedy to się stanie.

- Mógłbyś pracować dla szefa z takimi pomysłami.

- Muszę zachować tajemnicę, dopóki jeszcze jesteśmy w stanie zrobić z tego użytek. To nie głupi dzieciak, którego możemy strząsnąć jak dojrzałą gruszkę. On także ma jakieś plany i pomysły.

- Nie damy rady zrobić tego inaczej, co?

Wróciliśmy do obozowiska. Podczas popołudniowego marszu przekazaliśmy instrukcje dotyczące nocnej zabawy. Niektórym nie bardzo podobały się moje dyspozycje, ale wszyscy byli realistami na tyle, by zrozumieć, że mam zamiar umieścić zaufanych ludzi tam, gdzie się najbardziej przydadzą.

Tak też postanowiliśmy, kiedy opuszczaliśmy obozowisko, z tą tylko poprawką, że grolle ciągnęły wóz na zmianę. Pozwoliłem Saucerheadowi jechać tak długo, dopóki nie dotrzemy do murów, ale on stwierdził, że czuje się już nieźle i że może iść. Vasco i ranny żołnierz także woleli maszerować, tłumacząc, że w ten sposób mają większą swobodę ruchów. Morley i ja dreptaliśmy z tyłu, wdychając kurz.

Raz lub dwa przyspieszyłem, żeby sprawdzić, czy Kayean wciąż jest dobrze owinięta. Poczekałem na Morleya i stwierdziłem:

- Widzę, że nic nie zrobiłeś, by twoja zdobycz nie umarła z głodu.

Kayean natychmiast zwymiotowała niemal wszystko, co jej dałem. Kiedy ją odwinąłem, musiałem sprawdzić, czy ma dobrze związane ręce. Przyciąłem jej pazury przy pierwszej nadarżającej się okazji po opuszczeniu gniazda. Miała jednak nadal do dyspozycji zęby, a jej głód nieustannie wzrastał, choć w chwilach rozsądku starała się przewycięzać chorobę.

- Zauważyłeś więc także, że właśnie zasnął długim snem, w który zawsze zapadają, kiedy brak im pożywienia. Pośni aż do TunFaire, a tego tylko potrzebuję.

Chociaż brzydziłem się samym uczynkiem, musiałem przyznać, że Morley dobrze zrobił, zabijając Clementa. Śmierć Clementa uwolniła Kayean.

Mimo że nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, w jakiś sposób dotarło do mnie, że Kayean przeszła przez bramy piekieł tylko dlatego, by być z mężem. Należała do kobiet typu „gdzie ty, Kajus, tam i ja, Kaja”. Co do Clementa, uznałem, że uczynił to w sześćdziesięciu procentach z powodu wyrzutów sumienia, a w czterdziestu z powodu nienawiści. Kayean nie była w bieli wcale nie dlatego, że została jego żoną, lecz dlatego, że jeden z jego władców zabrał mu ją.

Miałem nadzieję, że jej nie zmuszono, by nosiła któregoś z tych

bezdusznym bękartów. Nie sądzę, by jakakolwiek kobieta mogła się z tego otrząsnąć.

Wszystko poszło jak z płatka. Nasi uratowani przyjaciele nieśli jeńców przez tunel. Było tam dość miejsca i dla wozu, ale nie chciałem pętać się po ulicach z przedmiotami należącymi do wojska, których pochodzenia nie umiałbym wyjaśnić.

Morley i ja byliśmy około piętnastu metrów od wylotu tunelu, a Doris tuż za nami, kiedy się stało.

Gdzieś w przedzie Marsha zaczął wrzeszczeć ile sił w płucach.

- Cholera! - zaklął Morley i przetłumaczył: - Pułapka. Dziewięciu mężczyzn, jedna kobieta. Wszyscy z jachtu z pasiastym żaglem. Musieli spozrzeć Dojango, kiedy był w mieście.

- Chciałbym w to święcie wierzyć - odparłem, kryjąc się za rogiem. - Złap się mnie i powiedz Dorisowi, żeby zrobił to samo.

Dobiegł nas wrzask Róży:

- Garrett! Ratunku! Morley!

- Zamknij się, głupia dziwko - mruknął Morley.

- Głupia? Ona myśli, że problem ma rozwiązany za darmo.

Wrzask Róży skończył się tak potężnym klaśnięciem, że poniosło go całym tunelu.

- Do ściany - poleciłem. Przytrzymali się mnie. Rozerwałem papierek z zakłębem.

W dwie sekundy potem czterech facetów z mieczami, gotowych na wszystko, pogalopowało w głąb tunelu. Rozejrzeli się i nie znaleźli nic z tego, czego szukali.

- Tu nic nie ma! - wrzasnął jeden.

Nie usłyszałem odpowiedzi. Wycofali się.

- Co teraz? - zapytał Morley.

- Dopóki poruszamy się powoli i nie robimy hałasu ani gwałtownych ruchów, nie zobaczą nas i nie będą wiedzieć, gdzie jesteśmy. Wyślizgniemy się i zobaczymy, co się dzieje.

A działo się to, że dwóch zbirów, których znałem z jachtu, kobieta, która wyglądała na dowódcę, i siedmiu innych mężczyzn uwięziło moich ludzi w podpiwniczeniu magazynu, w którym znajdował się tunel. Marshę trzymali w szachu za pomocą balisty rozmiarów mniej więcej połowej.

W ciągu pół minuty z ich pytań okazało się, że chodzi im o jedną osobę, ale się nie obrażą, jeśli przy okazji złapią parę innych. Moi ludzie gapili się na nich z głupimi minami. Tylko Róża uderzyła w sceniczny szloch. Domyśliłem się, że jej policzek poczerwieniał od kontaktu z ręką Tionie.

- I co? - szepnął Morley. - Możemy ich uwolnić, jeśli Doris zajmie się balistą.

- Nie potrzebuję rozlewu krwi. Będziemy blefować. Podejdiesz tam i krzykniesz, żeby wszyscy znieruchomieli, kiedy Doris odpali balistę. Przyłożę nóż do gardła damy. Weź to. - Dałem mu kilka ostrych rzutek w kształcie gwiazdy z kolekcji nie-Garrettowej broni.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Powiedział Dorisowi, co robić. Rozeszliśmy się. Podpłynąłem do damy w szarży dowódcy, przypuszczalnie tej samej, której tak bardzo obawia się mistrz Arbanos. Dojango zaczął jej tłumaczyć, że wszyscy inni członkowie kolejnych wypraw, które opuściły miasto, zostali zabici przez jednorożce lub wampiry.

- A to co było? - zapytał jeden z ludzi, stojący przy baliście, obracając się na pięcie. - Szyper, czy tu straszysz?

Balista wypaliła i pocisk uderzył w wiązania podtrzymujące sklepienie.

- Wszyscy stać! - ryknął Morley.

Przyłożyłem nóż do gardła damy i szepnąłem jej w ucho:

- To twój przyjazny duszek. Nie próbuj nawet szybciej odetchnąć. Dobrze. A teraz powiedz chłopcom, żeby odłożyli swoje narzędzia.

Doris zważył z nóg trzech czy czterech mężczyzn z samego tylko młodzieńczego zapachu. Morley kopał i bódł jakiegoś brzydala, któremu przyszło do łba zwrócić się w moją stronę.

Dama wydała rozkaz i dodała:

- Wtrącasz się w sprawy królestwa. Obetnę ci...

- Nic mi nie obetniesz. Wiem cholernie dobrze, czego szukasz, i bardzo chętnie ci w tym pomogę. Po prostu nie chcę, żeby moi ludzie cierpieli, kiedy ty szukasz swojego faceta. Potrafisz go odróżnić w tłumie?

- Odróżnić kogo?

Och, pani ma ochotę grać ze mną w inteligencję.

- Czy jesteś jedyną osobą, która urodziła się z mózgiem w głowie? Mówi twój czarny koń. Wykryłem waszą bandę miesiąc temu.

Skłamałem. Pociągnąłem ją w tył o ostrożne pięć kroczków i kontynuowałem, udając zawziętość:

- Wiem również, że ten Wielgas jest po drugiej stronie. Próbował mnie zabić w Leifmold, co zrujnowałoby twój plan.

Wielgas zaczął się posuwać w stronę najbliższej broni. Uderzyły go dwie rzutki, a za nimi pięść grolla.

- To cholernie wiele wyjaśnia - stwierdziła kobieta. - Myślałam już, że ukąsił nas wąż. Dobrze. Czego chcesz, Garrett?

- Żebyś mnie i moim ludziom dała święty spokój. Zabierz swojego faceta, jeśli go znajdziesz. Zgadzam się na to bardzo chętnie, ponieważ wiem, co dla mnie wyszykował. Psiakrew, nawet ci pomogę. Myślałem już nad tym. Wiem, kto nim nie jest. Mógł zostać zabity, zginęło wielu mężczyzn.

Wydałem rozkazy. Trzy kobiety, Saucerhead, Dojango i Marsha, obładowany Kayean i Valentine'em, przeszli na jedną stronę.

- Przebijaj w tym, co zostało.

- Puścisz mnie?

- Dlaczego nie? Nie wyglądasz na damę-samobójczynię.

- Jeszcze raz nazwiesz mnie damą, to się przekonasz.

- Masz przyjaciela na resztę życia, Garrett. - Morley zachichotał.

To, co mu odpowiedziała, nie nadawało się do powtórzenia.

- Co jest w tych tobołach? - zapytała.

- To, co było potem. Wypuściłem ją.

Morley jakby trochę migotał po brzegach z powodu zbyt wielu gwałtownych ruchów. Doris też. Ja ruszałem się powoli, więc uznałem, że jeszcze się nadaję. Podreptałem na paluszkach za kobietą, która nie była damą.

Przyjrzała się towarzystwu, sięgnęła do kieszeni i wydobyła amulet, w którym osadzony był kawałek bursztynu z zatopionym w środku owadem.

Spiney Prevallet przeszedł ze stanu sennej obojętności w dziką furię tak nagle, że zdziwiłbym się, gdybym miał na to czas. Jedną ręką wytrącił amulet, drugą chwycił kobietę za gardło.

Uklęłem jego rękę nożem w przegubie, przeciąłem mu policzek i

szybcieutko odskoczyłem, ponieważ... przepraszam za wyrażenie... dama wzięła się do roboty.

W zasadzie byłem zadowolony, że tym łotrem nie okazał się Vasco.

Spiney dał nogę. Kobieta złapała amulet i pognąła za Spineyem. Chłopcy z jej obstawy, ci, którzy jeszcze trzymali się na nogach, nie zrobili nic, ponieważ nie byli pewni, czy im pozwolimy.

- Spływać - zaproponował Morley.

- Zgoda.

Dojango był taki czy inny, czasem taki, jakiego nie lubię, ale na pewno nie był głupi. W chwili, gdy zobaczył, że jesteśmy zajęci, zaczął wyprowadzać innych jak najdalej.

Sam Spiney rzucił się w stronę wyjścia i wałnął bykiem wprost w grollową pięść. Kobieta natychmiast skoczyła na niego i wepchnęła mu amulet do ust, póki Spiney jeszcze był zamroczony.

I Spiney zaczął się zmieniać.

Słyszałem, że istoty zmieniające kształty nie mają własnej twarzy. Nie mają nawet płci w takim znaczeniu, jak my to rozumiemy, a kiedy przychodzi czas rozmnażania, po prostu dzielą się na różnej wielkości kawałki.

Spiney zmienił się w majora, potem w faceta, który wyglądał na pirata, następnie w dziwnie znajomą kobietę, najwyraźniej przechodząc przez osobowości, w które się wcielał do tej pory.

Wszyscy już wyszli. Nie byłem wystarczająco ciekaw, by siedzieć do chwili, kiedy agent Venageti przyjmie swój ostateczny wygląd. Dobrze wiedziałem, że ludzie z jachtu z pasiastym żaglem nie są do nas przyjaźnie nastawieni.

LII

Kiedy dotarliśmy do oberży, było już niebezpiecznie, ponieważ zbliżał się świt. Wypuściłem żołnierzy, przyjmując, że będą tak szczęśliwi, wracając w jednym kawałku, iż nie przysporzą nam kłopotów przez jakiś czas. Pokłóciłem się z Morleyem, który uważał, że należało ich oddać w ręce tych spod pasiastego żagla, żeby zajęli się ich przesłuchaniem, gdy tymczasem my opuścilibyśmy miasto.

Krótką rozmową z oberżystą potwierdziła moje podejrzenia w tej sprawie. Zostawił nasze pokoje otwarte i utrzymał sprzęt w stanie nietkniętym, na polecenie załogi jachtu, która myślała, że jeszcze wpadnie na nasz trop. Rzeczywiście, tak się stało w dniu wizyty Dojango.

Przez dobrych kilka godzin spałem jak zabity, a potem poszedłem szukać transportu w stronę domu. Moje szczęście miało jednak swoje granice. Po powrocie oznajmiłem:

- Pierwszy statek, na którym będzie dość miejsca dla całej gromadki, odplywa dopiero pojutrze. Sytuacja, jaką spowodował Glory Mooncalled, sprawiła, że co tchórzliwsi cywile wieją na północ. Krypa, którą znalazłem, to barka do wywozu śmieci, ale nie mam zamiaru czekać cały tydzień na następną szansę.

Nie wspomniałem, że nawet ten najńędniejszy z wehikułów nadwerżył mój budżet do niebezpiecznych granic. Jeśli podróż do domu potrwa za długo, wszyscy będziemy bardzo głodni.

Usiadłem obok Morleya.

- Nigdy już nie wezmę roboty, która wyciągnęłaby mnie z TunFaire, nawet jeśli miałbym z tego sto tysięcy.

- Skoro już mowa o pieniądzach, kiedy nam zapłacisz? Dla mnie to nie takie ważne, ponieważ nie pracowałem dla forsy, ale trojaczki zaczynają się już zastanawiać.

- Muszą poczekać, aż przyprę do muru Tate'a i uda mi się coś z niego wycisnąć. Wszystko, co mi zostało, zużyłem na wynajęcie barki.

- Oni ci ufają, Garrett. Nie rozczaruj ich.

- Znasz mnie przecież. Wyciągnę moją forszę z Tate'a w ten czy w inny sposób, a twoi chłopcy dostaną to, co im się należy. Dojango!

Gdzie są te skrzynie? - Dojango właśnie wszedł. - Chyba nie przepiłeś wszystkiego, co ci dałem, he?

- Doprawdy, przyszedłem tylko powiedzieć, że oni tutaj są, na wozie za gospodą. Oberżysta szaleje, że wystraszą mu nowych gości, jeśli ich wpuści.

- Ja mu poszaleję na jego głowie - mruknął Morley.

Tej nocy włożyliśmy naszą zdobycz do odpowiednich skrzyń. Były to standardowe, prościutkie trumny do transportu zwłok, w jakich ludzie z północy przywożą z wojny ciała swoich zabitych. Dojango przyznał, że trochę sobie popił. Kupił trumny, ponieważ zbyt długi spokój w Kantardzie spowodował załamanie na skrzyniowym rynku.

Byłem zirytowany, ale nie naciskałem.

Po zapadnięciu zmroku wziąłem moją zdobycz i oporządziłem, zanim spoczęła w trumnie. Tionie pomogła mi w najbardziej kłopotliwych miejscach, a i Kayean nie sprawiała zbyt wiele kłopotu. Nawet nie wrzeszczała.

Zastanawiałem się, jakie czary zadziałały podczas stwarzania tych białych szat. Suknia Kayean okazała się odporna na wszelkie próby zniszczenia i brud.

Morley nie był tak wspaniałomyślny. Nasypał do skrzyni trochę świeżego piasku, odwinął swego więźnia, wrzucił do środka i zajął się przybijaniem wieka. Musiał zawołać Marshę na pomoc, bo walenie młotka zbudziło Valentine'a, który natychmiast zaczął się drzeć i wyrwać.

Ledwie go uspokoiliśmy i pozbyliśmy się z karków gospodarza, kiedy pojawił się z wizytą Zeck Zack.

Centaur przyszedł sam i z początku był dość przyjazny. Popatrzył na nas i zapytał:

- Przywiózł ją pan, Garrett?

- Tak.

- Mogę zobaczyć? Nie widziałem jej od chwili, kiedy poszła za swoim idiotą mężem w mroki. Ani nie rozumiałem jej przekłętą i wypaczonego pojęcia o tym, co jest właściwe, a co nie. Powinienem ją jakoś zatrzymać.

- Byłoby miło.

Morley i Saucerhead spojrzeli na niego; miny mieli wściekłe. Tharpe

nie znał go w ogóle. Zacząłem się obawiać, że polecą iskry, ale Zeck Zack rozbroił ich stwierdzeniem:

- Nigdy jej nawet nie dotknąłem i nigdy bym tego nie zrobił, pomimo mojej reputacji. I to nie tylko dlatego, że jej ojciec był moim przyjacielem.

Jeszcze jeden, jak już wcześniej zauważył Morley. Otworzyłem skrzynię. Kayean spała. Centaur przyglądał się jej przez chwilę, po czym się wycofał.

- Wystarczy. Proszę to zamknąć. Panie Garrett, czy można ją wyleczyć?

- Chyba dotarliśmy do niej w porę. Walczyła przez cały czas. Możliwe, że ma jeszcze dość sił.

- Dobrze. A zatem możemy przejść do sedna sprawy. Ktoś spośród was wziął z gniazda coś, co prawnie należy do mojego ludu.

Odpowiedziało mu parę zaintrygowanych spojrzeń.

- Amulet krwawego mistrza. Symbol mocy. Krwawy kamień gniazda.

Nie wiem, kto pierwszy zaczął się śmiać. Owinął się swoją godnością jak płaszczem.

- Panowie, przeszedłem już lata upokorzeń i piekła, aby odnaleźć to przejście, by mój lud mógł oczyścić gniazdo i zebrać dość pieniędzy i łupów na opuszczenie Kantardu. Możecie zatrzymać waszych niewolników. Jeden jest moją własnością, a drugi niewart tyle, żeby sprawiło mi to różnicę. Ale wszystko inne w tej dziurze jest moje!

Wymieniliśmy spojrzenia. Dojango zaczął się denerwować. Nie chciałem niczego zaczynać, ale nie miałem też zamiaru tolerować tonu centaury.

- Masz większe jaja niż mózg, bracie, jeśli sądzisz, że możesz tu przyjść z taką gadką. Zrobisz sobie krzywdę jak nic.

- Nad moją głową nie wisi już żaden miecz, panie Garrett. A w mieście mam przyjaciół, którzy chętnie pomogą odzyskać moją własność.

- Co za ciekawy zbieg okoliczności - stwierdziłem ironicznie. - Dopiero wczoraj zapoznałem się i zaprzyjaźniłem z pewną damą z TunFaire, która załatwiła przyjaciół księdza Venageti. Nie miałem zamiaru wymieniać twojego nazwiska.

Gapił się na mnie przez chwilę, po czym doszedł widocznie do wniosku, że mój blef wymaga sprawdzenia.

- Proszę. Tymczasem przynieś krwawy kamień do mojego domu przed zachodem słońca albo znajdź Kayean nowego strażnika.

- On oszalał - zauważył Morley. - Powinieneś pozwolić mi go zabić, kiedy chciałem to zrobić. Tutaj będzie o wiele trudniej.

- Duża grupa moich przyjaciół czeka na ulicy - odparł Zeck Zack. - Woleliby raczej nie zakłócać spokoju w tak publicznym miejscu, ale przyjdą tu, jeśli nie wyjdę w odpowiednim czasie.

- Wynoś się - odparłem. - No już. Zanim sprawdzę twój blef.

Wyszedł, ale rzucił jeszcze raz ostrzeżenie, że krwawy kamień ma się znaleźć u niego w domu przed następnym zachodem słońca. Albo...

- Nie dasz mu go, co, Garrett? - zapytaj Dojango.

- Damy mu, jeśli tak się naprasza - warknął Morley - ale niezupełnie to, czego chce.

- Spokojnie, Morley - wtrąciłem. - Pomyśl no chwilkę. Usiłuje nas nastraszyć.

- Wiem. I będzie mu wstyd zrezygnować ze swojego planu, bo dla istoty tak upośledzonej jak centaur to w ogóle czarna rozpacz. Mamy kupę czasu. Prześpijmy się trochę. Pomartwić zdążymy się jutro.

LIII

Obudziłem się bardzo późno, a ze słodkiego snu wyrwał mnie Saucerhead Tharpe i grolle, którzy, tupiąc, weszli do pomieszczenia. Cały czas byłem sam z kobietami i Vasco. Sprawdziłem, czy nie mam żadnych ran od noża.

- Gdzie Morley i Dojango? Co wy kombinujecie, chłopaki?

- Gdzieś tu jest - po swojemu, wolno odparł Saucerhead. - Zdaje się, że Morley mówił o czymś przyzwoitym do jedzenia. Zabraliśmy trumny i większość rzeczy na statek, żeby zdążyć z załadunkiem na jutro rano.

Pomruczałem trochę i sam poszedłem rozejrzeć się za śniadaniem. Nie przejmowałem się zanadto, dopóki nie przeszło popołudnie, a po Morleyu i Dojango wciąż nie było ani śladu. Zacząłem obserwować Saucerheada, który miał coś na sumieniu, a ukrywanie tego szło mu kiepsko. Potem znalazłem ciała.

W zasadzie to nie były ciała, tylko Kayean i Valentine opatuleni i wciśnięci pod różne śmieci i drobiazgi, złom i słomę, pozostałe z czasów, kiedy nasz pokój był stajnią. Wtedy zrozumiałem, co zrobił Morley.

Wydawało się, że Saucerhead jest uszczęśliwiony.

- Kazał po prostu siedzieć na tyłku i udawać, że gdzieś tu są, gdyby ktoś pytał - oznajmił.

W dwie minuty później stwierdziłem, że zniknął mój ostatni papierek z zakłębieniem. Domyślałem się już, co Morley zamierzał z nim zrobić, skoro nie wiedział, co się stanie po otwarciu. Próbowałem rozumować na pięćdziesiąt sposobów, ale nie mogłem się zdecydować. Te czarnoelfickie bękarty robią rzeczy całkiem nie do przewidzenia.

Gdy nastał wieczór, ogarnęło mnie zdenerwowanie. Grolle także zaczęły się zachowywać niespokojnie i gdyby nie jak najsurowszy zakaz, chętnie opuściłyby gospodę. Przekomarzanie się z Tionie straciło wdzięk. Nawet Róży, która nie wiedziała, o co chodzi, udzielił się nasz nastrój. Tylko Saucerhead był całkowicie odprężony. Musiałem stoczyć ze sobą solidną walkę, by nie stwierdzić, iż pewnie jest o wiele za tępy, żeby zrozumieć, co się dzieje.

Nic się nie działo aż do północy, kiedy to pojawił się jeden z „kumpli” Zeck Zacka i zaczął nam zawracać głowę, że nie dostarczyliśmy przesyłki na czas.

- Czekamy tutaj na niego, jeśli ma ochotę nas poskubać - oświadczyłem. - Niech lepiej weźmie ze sobą drugie śniadanie, bo to może trochę potrwać.

Posłaniec wyruszył w drogę powrotną z niezbyt radosną miną. Ciekaw byłem, jak się mają nerwy centaury, zwłaszcza że pewnie czekał na cmentarzu czy gdziekolwiek, iż któreś z nas spróbuje go zaskoczyć. Podejrzewam, że przewidział każdą okoliczność i każdy nasz ruch, z wyjątkiem siedzenia na tyłku. Mogłem mieć tylko nadzieję, że Morley nie wpadł w którąś z zastawionych przez niego pułapek.

W dwie godziny później grupka ludzi siedzących w ogólnej sali zaczęła zachowywać się dziwnie głośno. Wyjrzałem, żeby zobaczyć, co się dzieje. Rozprawiano o ogromnym pożarze w jednej z posesji na Narrow Hills.

Ruch Morleya na wejście, pomyślałem.

Przez następne trzy godziny znowu panowała cisza, aż wreszcie pojawił się Dojango. Poraniony, zdyszany wpadł do środka, mamrocząc coś po grollemu. Gdy Marsha i Doris wybiegli, usiadł po prostu tam, gdzie stał.

- No i co? - zapytałem.

- Poszli po trumny.

Opatrzyłem go trochę przy pomocy Tionie. Ta dziewczyna ma lekką rękę do ran.

- To wszystko, co masz do powiedzenia?

- Morley odesłał mnie, ponieważ jestem ranny, doprawdy. On został tam i dalej nad nimi pracuje. Jeśli ten stwór wyjdzie żywy, to pewnie nie za darmo.

W chwilę potem pojawiły się grolle z trumnami, a za nimi gospodarz wrzeszczący coś na temat bandy łążącej w tę i w tę po sali ogólnej w czasie ciszy nocnej.

- Już nigdy nie opuszczę TunFaire - obiecałem sobie i wrzasnąłem: - Przestań biadolić! Zbiłeś grubą forszę, grając na wszystkich możliwych frontach! Za godzinę zwijamy manatki, ale zrób nam wszystkim tę

przyjemność i wynieś się stąd teraz!

Miałem tak wściekłą minę, że bez trudu pojął ostrzeżenie.

Wypełniliśmy na nowo trumny, zapieczętowali wieka i pozbieraliśmy nasz skromny dobytek. Dla Tionie, Róży, Vasco i Saucerheada Tharpe'a oznaczało to chwilowy brak zajęcia. Dzięki przygodom cały ich majątek stanowiło tylko to, co mieli na sobie. Zastanawiałem się, czy nie powinienem dyskretnie zapuścić żurawia pod siodło Dojango, ponieważ doskonale pamiętałem, jak skrupulatnie przetrząsał ruiny ostatniego obozowiska w poszukiwaniu monet i klejnotów zapomnianych przez ludzi nocy. Doszedłem do wniosku, że lepiej się stanie, jeśli oni wszyscy będą siedzieć u mnie w kieszeni.

Wymaszerowaliśmy z gospody, odprowadzani westchnieniami gospodarza i służby. Dotarliśmy do barki i zaokrętowaliśmy się bez większych problemów.

Czas mijał. Nadchodził odpływ, więc żeglarze przygotowywali krypę do opuszczenia portu. I wciąż ani śladu po Morleyu.

- Mówił, żeby się nie martwić i ruszać w drogę, żeby niczego nie opóźnić z jego powodu - powtarzał Dojango bez przekonania, ale widocznie czuł potrzebę powiedzenia czegokolwiek.

Nie wierzyłem własnym uszom. Morley Dotes nie należy do tych, którzy mogliby się dla kogoś poświęcić.

- Idzie - zawołał Saucerhead.

Załoga statku zbierała ostatnie cumy z dziobu i rufy.

Rzeczywiście szedł, a raczej biegł z przeraźliwą szybkością, z jaką potrafią biegać tylko elfy. Około trzydziestu metrów za nim pędził Zeck Zack, a odległość między nimi zmniejszała się błyskawicznie.

- Doskonale - szepnął Dojango.

Aha, doskonale, jak cholera! Nie poradzi sobie bez pomocy. Rozglądałem się za bronią, ale jakoś niczego nie mogłem znaleźć.

- Teraz! - powiedział Dojango i dodał: - Doprawdy! Kobieta z jachtu z pasiastym żaglem i jej załoga wyłonili się nagle zza stert frachtu na nabrzeżu. Wszyscy byli uzbrojeni w napięte już kusze. Morley minął ich pędem, ale Zeck Zack przyhamował czterema kopytami i zatrzymał się; dygotał na całym ciele. Morley, uśmiechając się szeroko, skoczył z nabrzeża na pokład.

- Czy to on? - zawołała kobieta.

- Dokładnie on, skarbie - odparł zdyszany Morley. Banda zacieśniła krąg wokół centaury.

- Ty cholerny durniu! - wrzasnąłem pod adresem Morleya. - Mogli cię zabić!

- Ale, jak widzisz, nie zabili.

LIV

Podróż na północ trwała dłużej niż na południe, ponieważ nie sprzyjał nam wiatr. Nic właściwie się nie działo. Pojawiły się wprawdzie pewne kłopoty związane z Różą, która próbowała wypchnąć Kayean za burtę, ale w nagrodę za poświęcenie zostało jej jedynie kilka sińców. Nie spotkaliśmy piratów, korsarzy, Venageti, ani nawet karentyńskich marynarzy. Dotarliśmy do Leifmold i nieomal uwierzyłem, że bogowie zdecydowali się odczepić ode mnie na jakiś czas.

Atak Róży na Kayean był wynikiem braku przezorności z mojej strony.

Wymowałem Kayean na noc ze skrzyni, żeby mogła przez jakiś czas pooddychać świeżym powietrzem i przyzwyczajać się chociaż do światła gwiazd.

Jeśli chodzi o jedzenie, udało mi się ją nakłonić do przełknięcia małych ilości przynajmniej lekko zrumienionego kurzego mięsa. Opuściłem pokład, żeby przynieść mięso i wdałem się w kłótnię z Tionie, która uważała, że inaczej powinienem rozplanować sobie czas. Róża niecznie skorzystała z mojej nieobecności, ale o całym zajściu dowiedziałem się dopiero od marynarza z nocnej wachty, który mnie poinformował, że Róża potrzebuje pomocy.

Zdążyłem na czas, choć Kayean omal nie przekroczyła granicy, dając upust swemu apetytowi. Róża czmychnęła na bok, wprost w czułe ramiona Morleya, który zdążył już odzyskać cyniczne poczucie humoru.

Uspokoilem i nakarmiłem Kayean, po czym usiedliśmy razem w świetle gwiazd, patrząc w połyskującą wodę i obserwując latające ryby.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała wreszcie.

Ledwo rozróżniałem jej słowa. W gnieździe kobietom nie wolno mówić, więc nic dziwnego, że trochę zardzewiała.

Nikt jej wtedy nie powiedział, co się dzieje. Po prostu złapałem ją i wywlokłem z jaskini, oferując akurat tyle wolności w podejmowaniu decyzji, ile miała w otchłani. Opowiedziałem jej zatem całą historię.

- Sądzę, że powinnaś położyć rękę na spadku. Denny chciał, żebyś to

miała, a teraz to przecież jedyna twoja własność na tym świecie.

Posłała mi spojrzenie, które spowodowało, że przeniosłem się w czasie wstecz o ileś tam lat. Musiałem zabrać ją z powrotem do skrzyni, zanim zrobiłbym coś głupiego. Potem wróciłem na pokład i odczekałem, aż widok morza zamieni jajecznicę w mojej głowie znowu w mózg.

Z mroku wyłonił się Morley i przysiadł obok mnie.

- Chciałbym, żebyś zapoznał się z pewną statystyką, Garrett - odezwał się po chwili. - Ze wszystkich facetów, którzy ją kochali, przy życiu pozostał tylko jeden.

I poszedł sobie. Cholerny mieszaniec.

Nieco później skorzystałem z ugodowego nastroju Tionie, żeby odsunąć na jakiś czas dręczące mnie majaki.

Los zetknął nas z Cekinem Binkeya w kanale Leifmold. Nie zdążyliśmy nawet wpłynąć do portu, a już ubiłem interes z mistrzem Arbanosem. Był bardzo rozbawiony, kiedy zobaczył, że znów jestem obwieszony Różą i Tionie.

W Leifmold spędziliśmy prawie trzy dni, cierpliwie czekając, aż mistrz Arbanos rozładuje transport zapasów dla wojska i załaduje dwadzieścia pięć ton wędzonego dorsza. Morley dzielił czas między tuczenie się zieleniną i zabawianie Róży, by trzymać ją z dala od kłopotów. Trojaczki sprzedały jeden z rogów jednorożca i zalały się w sztok. Vasco spędzał czas na samobójczych rozmyślaniach. Reszta po prostu czekała, a ja leniwie kombinowałem, co zrobię, kiedy wrócimy do TunFaire.

Musiałem jeszcze wydebić zapłatę dla siebie i moich współników.

LV

Przycumowaliśmy na miejscu Cekina u nabrzeży TunFaire późnym popołudniem, co wprawiło mnie w nieopisaną radość. Morley i ja mieliśmy do załatwienia parę spraw, zanim ktokolwiek mógłby się dowiedzieć o naszym powrocie. Bardzo się nam spieszyło, by uciec od smrodu ryb i odwiedzić zapomniane kąty. Do zachodu słońca pozostało niewiele czasu, dlatego łatwiej było pozostać nie zauważonym.

Kiedy zapadł zmrok, wyruszyliśmy cichaczem i, klucząc po najciemniejszych uliczkach miasta, dotarliśmy do tylnych drzwi domu Morleya, gdzie wszystko i wszyscy, czy chcieli, czy nie, znaleźli czasowe schronienie. Ja wyśliznąłem się, aby zasięgnąć rady Truposza, a Morley dumiał, jak zrealizuje umowę z szefem. Później poprosił Saucerheada i mnie, abyśmy służyli mu jako osobista straż w dniu spotkania, i oświadczył, że chętnie zapłaci nam standardową stawkę, kiedy ja zapłacę mu za ostatnie kilka miesięcy. Pomyślałem, że już zapłacił, i to grubo powyżej ustalonej ceny, choć zwykle chodziło mu jedynie o ratowanie własnej skóry. Postanowiłem więc, że w rewanżu oddam Morleyowi tę przysługę. Saucerhead też się zgodził, ponieważ i tak zrobiłby każdą, nawet najdurniejszą rzecz, jeśliby mu za to zapłacono.

Truposz zachował się tak, jakbym wyszedł jakieś pół godziny temu, zostawił mu akurat tyle czasu, żeby zdążył zapaść w słodką drzemkę, a wrócił z hukiem i trzaskiem. A kiedy już dał pełne świadectwo reputacji starego zrzędy, łaskawie zapytał o moją historię. Sprawozdanie trwało około pięciu godzin. Nie przerywał mi zbyt często, ponieważ nie potrzebował wielu dodatkowych informacji. Uważał, że moje obawy przed nagłą śmiercią przez uduszenie z rąk Willarda Tate'a są bezpodstawne, ale nieco ostrożności nie zawadzi.

Gdy sprzątałem pomieszczenia, pogadaliśmy sobie dość kąśliwie, a potem pogalopowałem jak młode źrebię do Morleya, gdzie spodziewałem się zaznać pięciu minut snu, zanim wkroczę do jaskini Tate'ów.

Po naszym powrocie nowiny z Kantardu były już na ustach wszystkich; w podróży dużo się traci.

Zdaje się, że w dniu, w którym wszystkie formacje wojskowe, półwojskowe i jakie tam jeszcze spotkały się w okolicach Indigo Springs na wielką imprezę, by rozstrzygnąć, do kogo należeć będzie źródło, Glory Mooncalled zniknął, i to bez śladu, jeśli nie liczyć przyjacielskiego liściku do wojennych władców Venageti z jego listy.

Podoba mi się styl tego faceta.

Bładym świtem zastukałem do bramy Tate'a, szczerząc zęby ze szczęścia.

- No, nareszcie odbiorę sobie coś niecoś.

Zaspany uczeń wreszcie otworzył drzwi. Był zbyt nieprzytomny, żeby mnie rozpoznać.

- Jak tam ramię? Wygląda nieźle. Muszę się szybko widzieć ze starym.

- To pan!

- Tak sędzę. Kiedy sprawdzałem ostatnio, to byłem na pewno ja, słynny na cały świat i obładowany zdobyczą wojenną.

Puścił się pędem, czego zwykli ludzie z reguły nie robią, wrzeszcząc na całe gardło. Zamknąłem za sobą bramę i czekałem.

Muszę przyznać, że Willard Tate był o tej porze bardziej trzeźwy, niż ja będę kiedykolwiek. Zanim chłopak mnie wprowadził, na stole dymiły już kubki z herbatą. Pierwsze słowa Tate'a brzmiały:

- Siadaj. Śniadanie będzie gotowe za dziesięć minut. - Spojrzał na mnie wyczekująco.

Położyłem rachunki obok kubka, usiadłem wygodnie, pociągnąłem łyk herbaty i stwierdziłem:

- Mam ją. Tionie i Różę też, jeśli je zechcesz.

Ten stary był po prostu straszny. Spojrzał na to, co położyłem na stole, przemyślał mój dobór słów, skinął głową, co miało oznaczać, że rozumie sytuację, i zapytał:

- Jaka ona jest?

- Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, ani ci się nie śniło, choćby w najgorszym koszmarze.

Sięgnął po rachunki.

- Można?

Popchnąłem je w jego kierunku.

- Opowiadaj, póki ich nie przejrę.

Wersja, jaką go uraczyłem, była nieco zmieniona i poprawiona w stosunku do tej, którą przedstawiłem Truposzowi, ale nie opuściłem niczego, co powinien wiedzieć. Oględnie mówiąc, był zaskoczony, ale stwierdzenie, że przyjął to dobrze, byłoby niedomówieniem. Skrócona opowieść zajęła dwie godziny; pominąłem w niej najgorsze ekscesy samic rodu Tate'ów. Myślę, że i tak przewąchał, czego mu nie powiedziałem.

Kiedy skończyłem, odezwał się:

- Sprawdziłem cię. Masz opinię uczciwego, jeśli chodzi o wydatki. Są dziwaczne i pokaźne, ale wierzę, że uzasadnione. Przemyszę to.

- Zaliczka pokryła wszystko, z wyjątkiem zapłaty - poinformowałem go. - Mówiąc między nami, będzie to może około setki dodatkowo, głównie za dostarczenie dziewczyn do domu.

Tate burknął coś, złożył rachunki.

- Przed wyjściem dostaniesz rozliczenie.

- A moje honorarium wykonawcy?

- To leży w rękach sądu. Kiedy mogę się spodziewać dostarczenia?

- Dzisiaj, ale bardzo późno. Przypuszczalnie po północy. Muszę najpierw pomóc w czymś Morleyowi. - Sprawa Morleya została wycięta podczas redakcji.

- Dobrze. Sądzę, że musi mi to wystarczyć.

Dopiero wtedy odkryłem, czemu jest taki diabelnie wyrozumiały.

- Masz ochotę przyjąć jeszcze jedną robotę? Jak tylko odpocznesz po tej?

Uniosłem brew.

- Wiesz, że główną część naszego interesu stanowią buty wojskowe. Najdroższa jest skóra na podeszwy, a normy wojskowe wymagają, żeby była z gromojaszczura. Mamy własnych, wynajętych myśliwych i rzemieślników. Sądziłem, że wszyscy są uczciwi, ale ostatnio dostawy znacznie się zmniejszyły.

Wiedziałem, do czego zmierza, i zamknąłem mu usta. Okazałem się i tak dość stuknięty, żeby jechać do Kantardu, ale chyba nigdy nie stanę się na tyle wrzeszczącym psychem, by zapuszczać się na tereny gromojaszczurów. A poza tym obiecałem sobie, że nigdy więcej nie opuszczę TunFaire, i nigdy, bez uprzedniego zezwolenia sobie na to, nie złamię danego przyrzeczenia.

Przeczekałem, aż się wyklapał. Kiedy już wysechł od gadki, stwierdziłem, że pomyślę o tym, i wyprysnąłem jak z bram piekielnych, unosząc rachunki moich wydatków. Wiedziałem, że skoro tylko poczuję w dłoni honorarium wykonawcy, wyrzesczę Tate'owi ogromne „Nie”.

LVI

Morley wyznaczył spotkanie na zalesionym brzegu strumienia, na granicy pomiędzy prawdziwym światem a wspaniałym miastem diuków, baronów, władców burzy i czego tam jeszcze. Miejsce to często służyło takim spotkaniom. Wszelkie zamieszanie, spowodowane choćby cieniem zdrady, zwabiłoby natychmiast armię obrońców wytwornego miasta.

Po wielu latach formuła i etykieta „nad strumieniem” stały się tradycją. Jako wychodzący z propozycją, Morley miał podać czas spotkania i liczbę obu grup. Wybrał godzinę po zachodzie słońca i trzech ludzi. Potrzebni mu byliśmy do niesienia trumny Valentine'a, a ponadto Dojango, Saucerhead i ja mieliśmy go osłaniać.

Szef, jako strona przyjmująca, mógł wybrać swoją połowę brzegu i przyjść wcześniej, jeśli zechce, by sprawdzić, czy to nie pułapka. Morleyowi nie przysługiwało takie prawo. Szef zgodził się jednak na jego warunki spotkania.

W godzinę po zachodzie słońca pomagałem wnosić trumnę na wzgórze. Sytuacja nie wydawała się szczególnie sprzyjająca dla żadnego z nas. Co prawda, szef uchodził za osobę słowną, a więc jeśli obiecał Morleyowi cokolwiek, należało przypuszczać, że dotrzyma umowy. Nie mam pojęcia, dlaczego zgodził się na to spotkanie, chyba że nienawiść do Valentine'a zagłuszyła w nim głos rozsądku.

Morley Dotes to twardziel i szczwany, niezależny lis, zawsze bez grosza i w długach. W TunFaire było paru takich, którzy zapłaciliby ładną sumkę za głowę szefa.

Morley i Dojango szli z przodu, ja z Saucerheadem z tyłu, więc jako silniejsi dźwigaliśmy większy ciężar. Ostrożnie ustawiliśmy trumnę na ziemi, Morley stanął obok niej. Reszta z nas zatrzymała się o dziesięć kroków z tyłu i trzymała ręce w takiej pozycji, by były całkowicie widoczne.

Po chwili spośród topoli naprzeciwko nas wyszedł cień i skierował się w stronę Morleya.

- Jest w skrzyni?

- Tak.

- Otwórz ją.

Morley ostrożnie podniósł wieko od strony nóg.

- To może być on, trudno stwierdzić przy tym oświetleniu. Morley zatrzasnął wieko i odparł:

- No to przynies pochodnię. - Kopnął trumnę. - On przecież nigdzie nie pójdzie.

Człowiek szefa odszedł.

Miałem nadzieję, że obaj z Saucerheadem stoimy na tyle daleko, że trudno byłoby nas rozpoznać. Dręczyły mnie złe, bardzo złe przeczucia.

Pośród drzew rozległy się głosy. Potem ktoś skrzesał ogień. Zapłonęła pochodnia.

- Wynosimy się stąd, Garrett - szepnął Saucerhead i zaczął się cofać. Zauważyłem, że Dojango już zniknął. Morley też powoli odsuwał się od trumny. Dryfowałem z Saucerheadem, aż znalazłem sobie przyjemny krzaczek. Tharpe szedł dalej. Morley zatrzymał się może o dwa metry od boku trumny.

Szef i jego ludzie podeszli bliżej.

- Otworzyć - rozkazał szef szefów. Jeden z jego chłopców zajął się robotą.

- Bogowie, ale on dziwnie wygląda - powiedział drugi.

- Dotes, coś ty mu zrobił? - zapytał szef.

- Nic - odparł Morley. - Sam to sobie zrobił.

- Jasne. - Szef rzucił Morleyowi sakiewkę. Sądząc po dźwięku, z jakim wylądowała w dłoni Dotesa, czyste złoto. - Jesteśmy kwita, Dotes.

I wtedy szef szefów musiał właśnie to zrobić. Pochylił się nisko, żeby się lepiej przyjrzeć.

- Masz rację - rzekł Morley. - Masz całkowitą rację.

Z trumny wystrzeliło nagle białe i suche jak kość ramię. Długie, wygięte pazury wbiły się w odsłoniętą szyję szefa. Pełna kłów paszcza uniosła się do pokarmu. Zapach krwi wprowadził potwora w taką gorączkę, że nie mógł już myśleć o niczym innym, jak tylko o zaspokojeniu głodu.

Ludzie szefa zaczęli czynić swoją powinność, a ja zacząłem się zmywać. Zanim uszedłem sto metrów, Morley był już przede mną i chichotał, co diabelnie mnie rozwścieczyło.

Pokłóciliśmy się o to jak cholera i mogłoby się nawet źle skończyć, gdyby nie Saucerhead, który zgadzał się ze wszystkim, co mówiłem.

Rano rozeszła się wieść, że znaleziono wampira otoczonego przez czterech martwych ludzi. Żał jeszcze, choć był już tak napęczniały, że nawet nie mógł się bronić, kiedy pojawiły się strażę z dzielnicy bogaczy. Posiekali go na kawałki, potem kawałki spalili na miejscu wraz z trumną. Ofiary także wrzucono w ogień, na wszelki wypadek, żeby zaraza się nie rozprzestrzeniała.

Byliśmy na czysto, ale to i tak nie zmieniło mojego stosunku do Morleya.

Przynajmniej na razie...

Na razie odstawiłem kobiety do siedziby Tate'a, takie śliczne i urocze, jakimi ich jeszcze nie widziałem. Szkoda, że mają tyle wad niewidocznych gołym okiem... Chociaż i tak planowałem zobaczyć się jeszcze z Tionie.

Tate w bramie, kochanie. Nie, doprawdy, jakby powiedział Dojango, Tate'owie w bramie, kochanie. Około piętnastki, wliczając starego we własnej osobie. Co za uściski, całowanie, poklepywanie i popłakiwanie.

- Niesamowite, Ruda! - zwróciłem się do Tionie, kiedy ogólny rozgardiasz pozwolił mi wreszcie na wtrącenie jednego słowa. - Myślałby kto, że rzeczywiście cieszą się na wasz widok.

Dwie trzecie uwagi poświęcono Tionie, a resztę, aż nadto, Róży. Tylko stary trzymał się na uboczu. Kiedy oko cyklonu się oddaliło, przepchnął się do mnie i zapytał:

- A ona gdzie, panie Garrett?

- Na wozie.

Spojrzał w jego kierunku. Zobaczył jedynie skrzynię.

- Przywiozłeś ją w trumnie?

- Czy ty w ogóle słuchałeś, co do ciebie wczoraj mówiłem? Jest w stanie, w którym nie może tak po prostu sobie chodzić.

- Dobrze, dobrze.

Zachowywał się jak niezdecydowany, bardzo zdenerwowany stary człowieczek.

- Daj spokój, Papciu. Wszystko w porządku. Spręż się i zrób coś pożytecznego. Masz przygotowane miejsce?

- Tak.

Teraz załamywał ręce i wyglądał jak moja stara ciotka, ale Kayean stała się nagle ważnym mostem łączącym go ze straconym synem.

Kiedy się temu lepiej przyjrzeć, zaczynam jakby rozumieć, co czuła Róża, żyjące dziecko, którego powrotu nawet nie raczył zauważyć. Może sądziła, że jeśli ona położy rękę na tej forsie, stary wreszcie zwróci na nią uwagę.

- Nie spodziewaj się zbyt wiele, Papciu. Jedyne, co może zrobić, to usiąść i gapić się na rzeczy, których nikt poza nią nie widzi.

Nie wiedział, że Kayean była ze mną, zanim zaczęła kręcić z Lennym. Nie powiedziałem mu o tym, ale przyznałem:

- Ja też zainwestowałem tu pewne uczucia. Chciałbym ci coś poradzić. Spróbuj jakichś sztuczek, potraktuj tę kobietę inaczej niż z całkowitym szacunkiem, a uwolnisz się od wszelkich trosk o podeszwy butów i skóry gromojaszczurów.

Chyba trochę przeholowałem. Cofnął się i spojrzał na mnie tak, jak patrzy się na idiotę, który stoi w kącie i dowodzi, że wróżki to agenci obcej cywilizacji i że jeśli nie zaczną się działać, uciekną z naszymi siostrami i córkami. Potem skrzyknął gromadę kuzynów i zabrał trumnę.

Przygotował pomieszczenie, nie można powiedzieć, bez okien, tak światłoszczelne, jak tylko możliwe. Jedna bledziutka, poświęcona świeca płonęła przed ogromnym lustrem wiszącym nad kominkiem. Bardzo czarna, bardzo ogromna, bardzo tłusta, bardzo pomarszczona i bardzo stara kobieta siedziała w kącie, a narzędzia jej pracy leżały obok na stole. Rozpoznałem ją. To ta baba Mojo, Mama Doll, główny autorytet TunFaire w sprawach chorób ożywieńców.

Może powinienem jednak kogoś przeprosić.

Pojawiło się kilku chłopców z koziołkami do piłowania drewna. Kuzyni ustawili na nich trumnę. Mama Doll zaczęła przemieszczać swoje cielsko tak, jakby to była najcięższa praca we wszechświecie. Poruszyła się najpierw jedna część tej ogromnej masy, potem następna, i tak dalej, jak dryfujący w tysiącach części rozbity statek. Zanim ktokolwiek zdecydował się unieść wieko, Mama Doll uderzyła otwartą dłońią w miejsce, gdzie powinna znajdować się ręka Kayean spoczywająca na jej sercu. Wywróciła oczy i mamrotała coś do siebie

przez kilka minut, po czym skinęła głową i cofnęła się. W czasie, gdy chłopcy odbijali wieko, pozbierała ze stołu amulety ochronne. Wielki wstęp do wielkiego rozwiązania akcji.

Kiedy otworzono trumnę, Kayean po prostu spała. Musiałem nią potrząsnąć, żeby się ocknęła. Widać było, że panuje nad sobą i jest całkowicie bezpieczna dla otoczenia.

- Wynosić się! - krzyknął Willard Tate. - Wszyscy wynocha stąd! Rodzina i uczniowie pospieszyli w stronę drzwi. Mama Doll też podryfowała w tamtym kierunku, na swój zwykły, złowieszczy sposób. Garrett został tam, gdzie był. Szef spojrział na mnie.

- Wynocha!

- Wynieś mnie, Papciu.

- Zawołam chłopców.

- Zanim tu dotrą, zdążę połamać ci oba kulasy.

- Dość tego - odezwała się Kayean. Jej głos był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu. Dotknęła mojego ramienia. - Zaczekaj na zewnątrz.

Po jej bladych ustach przemknął cień uśmiechu, ulotniejszy niż pocałunek ómy.

- Sama potrafię połamać mu kulasy, jeśli będzie się mocno napraszał.

- Jej dotknięcie stało się nagle mocniejsze, głos odrobinę bardziej miękki. - Dzięki, że wciąż troszczysz się o mnie.

I młody Marines znowu ożył.

W takiej sytuacji można było zrobić tylko dwie rzeczy: zachować się jak dureń albo wynieść się do wszystkich diabłów. Wyniosłem się.

* * *

Kiedy Tate opuścił pokój, na zewnątrz zrobiło się już jasno. Był teraz zniszczonym, znużonym starcem. Natknął się na mnie, bo zagroziłem mu drogę. Pospiesznie mamrocząc, powiedział mi wszystko, żeby jak najszybciej z tym skończyć.

Kayean ma zostać przez jakiś czas tu, gdzie jest. Część jej schedy posłuży na zakup domu, a część Kayean zainwestuje w spokojne życie, skoro tylko Mama Doll oznajmi, że jest zdrowa. Z reszty fortuny dziesięć tysięcy poleciła wypłacić Vasco, a pozostałe pieniądze podzielić między innych spadkobierców Denny'ego.

A zatem Róża w jakiś sposób dopięła swego.

- Ona jest w rodzinie i jest członkiem rodziny, panie Garrett, ze względu na miłość do niej mojego syna. Nie musi się pan o nią obawiać. My, Tate'owie, potrafimy się zaopiekować jedną z nas.

- Myślę, że ma pan rację, Tate. Dzięki. - Odstąpiłem na bok. Powoli pokulał do swej sypialni.

Leżała na łóżku w blasku samotnej świecy, zimna, podobna do trupa. Przynajmniej miała porządne łóżko i nie leżała już w tej cholernej trumnie. Przysunąłem bliżej niej jedyne krzesło w tym pokoju.

Patrzyłem na nią długo, zmagając się z tym smarkaczem - Marines. Dotknąłem jej włosów, które zaczynały już nabierać koloru. Kiedy nie mogłem dłużej wytrzymać, wstałem, pochyliłem się i po raz ostatni musnąłem ustami lodowate wargi.

Ruszyłem w stronę drzwi.

Usłyszałem westchnienie. Obejrzałem się.

- Żegnaj, Garrett - powiedziała i uśmiechnęła się.

Nie zwolniłem kroku.

Wszedłem i nafaszerowałem się piwem.

* * *

Każdego roku, w rocznicę dnia, kiedy wyciągnąłem ją z gniazda, posłaniec przynosi mi paczuszkę. Prezent zawsze jest wspaniały. Wiem, gdzie mieszka; nigdy tamtędy nie chodzę.

LVIII

Sąd wykrztusił pieniądze w cztery dni po dostarczeniu przeze mnie spadkobiercy Denny'ego. Skontaktowałem się z Tionie i uczciliśmy to razem. Była ze mną, kiedy poszedłem odwiedzić Truposza. Sama się wprosiła i ani jej się śniło wyjść. Rudzielce to uparte osobki.

Rozejrzała się po mieszkaniu.

- To śmietnik, Garrett - stwierdziła.

- To jego dom.

- Nie szkodzi, i tak śmietnik. Jak się czujesz?

- Chyba się przełamałem. I jakoś mi z tym dobrze.

- Nazwałabym to słodkim zadowoleniem z siebie.

- Wchodź. Spróbuj na nim swoich czarów. Zobaczymy, co zwojujesz.

Obudził się w takim samym stanie jak zwykle po przebudzeniu. Zrzęda.

Garrett, znowu zaczynasz to swoje piekielne nachodzenie mnie.

A potem spostrzegł Tionie.

A co tu robi to stworzenie?

Niepotrzebne mu kobiety w żadnym wieku ani żadnego gatunku, choć ja uważam, że to zbyt ascetyczne podejście. Nie ma jednak żadnego sposobu, żeby go przekonać - nawet, gdyby jeszcze żył.

Za wiele od ciebie znoszę, Garrett. I zbieram zżarte przez robaki żniwo mojej pobłażliwości.

- Będziesz musiał znosić jeszcze więcej, Kupo Gnatów. A jeśli nie, czeka cię biwakowanie na ulicy. Rozmawiasz teraz ze swoim nowym gospodarzem.

Po jakiejś pół minucie zapytał:

Kupiłeś ten dom? Wydałeś pieniądze zarobione u Tate'a?

Ach. Geniusz wciąż żywy.

- Tak. Nazwij to moją inwestycją na przyszłość. Nachodzenie dopiero się zaczęło.

Po raz pierwszy od czasu naszej znajomości zabrakło mu odpowiedzi. Milczenie przedłużało się.

Rozpocząłem sprzątanie, a on wciąż jeszcze dochodził do siebie.